

Verney Lovett Cameron

Czarny książę

Pewnego wieczora siedziałem sobie wygodnie w zacisznej gospodzie Woolpack Inn. przy ulicy Dale w Liverpoolu, pociągając z fajki napełnionej karolińskim tytoniem i rozkoszując się wraz z moim gospodarzem, Johnem Pye, wazką ponczu przyrządzonego z cytryn i rzetelnego rumu, który przywiozłem mu z Jamajki w Indiach Zachodnich. Nagle drzwi otworzyły się i wszedł mój stary przyjaciel z lat szkolnych, Tom Merrick, strząsając krople deszczu z włochatego płaszcza. – Dowiedziałem się, Bob, że tu jesteś i przyszedłem coś ci zaproponować w imieniu mego ojca i jego współnika, starego Floyda. Dyskutowali oni właśnie, komu by powierzyć dowództwo ich statku, Black Prince, co słysząc, powiedziałem: „Jest tu właśnie mój szkolny towarzysz, Hawkins, chwilowo bez statku” – dodając, że najlepiej by uczynili, gdyby ci oddali dowództwo. Orzekli z początku, że skoro chodziłeś ze mną do szkoły, musisz być jeszcze dzieciuchem, zapominając – jak to zwykle starzy ludzie – że gdy sami się starzeją, to ci, których pamiętają jako dzieci, dochodzą już średniego wieku. Co prawda, jeśli już o to chodzi, to – jak myślę – żaden z nas w wieku trzydziestu ośmiu lat nie stacza się jeszcze z życiowej górką, ale w każdym razie, zanim zgodzili się, abym do ciebie przyszedł, musiałem ich długo przekonywać i opowiadać, jak to stary Grog Vernon wychwalał twoje zasługi przy zdobywaniu Porto Bello i twoje umiejętności żeglarskie, jakie okazałeś prowadząc z Charlestonu do kraju ten stary, rozsypujący się statek, Elizabeth. Teraz gonię za tobą od trzech godzin i wreszcie cię tu dopadłem. A więc czynię ci propozycję: Czy zgadzasz się objąć dowództwo Black Prince’a?

Czy zgadzam się dowodzić Black Prince’em? No chyba, że się zgadzam! To najlepszy statek w Liverpoolu. Nigdy nie zapomnę, jak śmigał pod wiatr mimo przyłądka Tom Shot przy Kalabar i jak manewrował nim Price, czy też Ap Rhys, jak lubił, aby go nazywano. Ale co się stało z Price’em? Z nim przecież nie mogli się chyba poróżnić.

– Och nie, nie było żadnego poróżnienia, ale kapitanowi Ap Rhysowi, jak musimy go teraz nazywać, jakiś krewny pozostawił w spadku fermę w Walii, wobec czego zmienił on teraz kurs na rolę, tym bardziej że – jak słyszę – dziedziczy nie tylko fermę, lecz i ambonę małej kapliczki, z której nauczał jego kuzyn.

– Myślę, że Ap Rhys okaże się równie dobrym rolnikiem i kaznodzieją jak żeglarzem. Był zawsze, jak mówią marynarze, chłopem z tęgą głową. Jestem nieskończenie wdzięczny jego krewniakowi, że pozostawił mu fermę i umożliwił mi objęcie dowództwa Black Prince’a.

– A zatem, Bob, bierzesz go? Byłem pewien, że się zgodzisz, ja zaś

pójdę jako supercargo. I powiem ci coś więcej. Słyszeliśmy, że zanosi się na wojnę z Francją i ojciec mój oraz pan Floyd postanowili starać się o list kaperski.

– Co? A więc będę dowódcą okrętu korsarskiego? Toć to prawie jakby dowództwo okrętu wojennego.

– Tak, mój drogi, ale statek pójdzie nie tylko w rejs korsarski, lecz ma przy tym zrobić daleką podróż do Afryki i Indii Zachodnich, pilnując dobrze żagli i dział, aby się nie dać przychwycić.

– Och, statek żegluje znakomicie, to pewne, trzeba tylko dobrać mu dzielną załogę. Byli tu gdzieś trzej spośród czterech dobrych marynarzy z tej starej krypy Elizabeth i jeśli tylko nie schwycili ich werbownicy-naganiacze, to ośmielam się twierdzić, że uda mi się ich dostać; wszyscy służyli na okrętach wojennych. Jest tu Czarny Jack Jago i jego wierny druh Cundy, zwany Krwawym Billem, a także John Beer, Tom Batten i Sam Moxon – wszystko ludzie z Falmouth i dobrzy żeglarze. A ponadto można wzdłuż brzegów Mersey znaleźć jeszcze wielu chwackich marynarzy.

– Widzę, że jesteś w swoim żywiole. Przyjdź więc jutro rano na nabrzeże do kantoru, a otrzymasz instrukcje.

– Zgoda. Ale gdzie jest teraz statek? Powróciłem ze stryjowskiej fermy dopiero dziś po południu, przebywałem tam od chwili zejścia z Elizabeth i nie wiem, co się dzieje w mieście.

– Statek leży teraz na brzegu w Runcorn, gdzie wymieniają mu części poszycia kadłuba i opalają obrosty. Tuż przed zejściem kapitana Ap Rhysa statek dostał nowy komplet dolnego takielunku i pierwszy oficer zajęty jest teraz jego stawianiem. Zdaje mi się, że mój stary ojczulek dobrze zrobił budując ten statek. W ostatnim rejsie Ap Rhys wioził sześciuset pięćdziesięciu siedmiu niewolników z Kalabar do Jamajki i nie stracił podczas całej podróży ani jednego człowieka. Wszyscy w Liverpoolu mówili, że statek o pięciuset tonach jest za duży, aby odbywać na nim podróże handlowe do Afryki lub dokądkolwiek.

– Czyżby on miał pięćset ton? Nie przypuszczałem, że jest tak duży. Ma budowę fregaty i przy swoim kształcie rufy jest równie przestrzenny jak niektóre nasze dwupokładowce; jest to raczej statek innej klasy niż stara Elizabeth.

– Zdaje się, że masz rację, drogi chłopcze, i statek, jak mówisz, żegluje dobrze. Pokaże zawsze gładko rufę każdemu „francuzowi”, który mógłby być dla niego za silny. A teraz muszę już iść. Powiem ojcu, że zajdziesz do kantoru około ósmej z rana. Jeszcze jedną szklanę ponczu za zdrowie kapitana Black Prince’a.

– Z chęcią, Tom. Gospodarzu, nalej do pełna szklanicę pana Merricka i moją i wypij z nami za pomyślność Black Prince’a i jego nowego kapitana.

John Pye usłuchał skwapliwie i toast spełniono z zapalem, po czym wymieniono życzenia dobrej nocy i Tom odjechał.

Skoro tylko nas opuścił, spytałem Pye’a, czy nie wie, gdzie by mógł obracać się teraz Jack Jago i jego starzy okrętowi kamraci.

– Jack Jago? Czy ma pan na myśli człowieka zwanego Czarnym Jackiem, który był w niewoli u Maurów?

– Tak, tego samego.

– No, dokładnie nie wiem. Słyszałem, że widziano go przed kilku dniami, lecz pewnie przycupnął gdzieś cicho, kryjąc się przed werbownikami. Na szczęście kuter naganiaczy utknął dziś po południu na ławicy u wejścia do portu i Jack jest teraz bezpieczny. Znam chyba wszystkie dziury, w których ukrywają się marynarze, ale Jack jest bardzo czujny jeśli chodzi o naganiaczy i trzeba będzie trochę czasu, aby go znaleźć. W każdym razie pošlę chłopaka, by się za nim rozejrzał i jeśli da się go znaleźć do siódmej rano, to stawi się tu na pewno.

– Doskonale. Możesz to uczynić natychmiast?

– Tak, wyślę natychmiast. Życzę dobrej nocy. Czym można jeszcze służyć przed udaniem się na spoczynek?

– Dziękuję, niczym więcej.

John Pye wyszedł z izby, ja zaś oddałem się rozmyślaniom nad dalszymi widokami na przyszłość. Cóż za szczęśliwy traf zdarzył, że mój druh szkolny ofiarował mi dowództwo Black Prince’a. Z wyjątkiem starego gruchota Elizabeth nie dowodziłem dotąd żadnym innym statkiem, a teraz zostałem oto dowódcą jednego z najlepszych statków w Liverpoolu, a być może we wszystkich angielskich portach.

Dotąd – raczej obijałem się po świecie. Mój ojciec był ongiś porucznikiem marynarki, ale gdy się ożenił, porzucił służbę w marynarce wojennej, zamierzając osiąść jako rolnik w pobliżu fermy swego brata w Cumberland. Kiedy jednak matka moja zmarła przy połogu, ojciec powrócił na morze, otrzymując dowództwo statku handlowego w Liverpoolu. Do siódmego roku życia przebywałem u stryja, drobnego właściciela ziemskiego w Cumberland, potem zaś ojciec – już wtedy właściciel pływającego pod jego dowództwem statku, na którego nabycie poświęcił wszystkie swe oszczędności – zabrał mnie ze sobą na morze na cztery lata. Za radą przyjaciół oddał mnie później do szkoły w Liverpoolu, gdzie kształcił się Tom Merrick. Tam zawarłem z nim znajomość, a ta

rozwinęła się w gorącą przyjaźń, przetrwała długo poza szkolne lata.

Gdy miałem piętnaście lat, naukę moją przerwała nagle śmierć ojca, poległego podczas bezskutecznej obrony swego statku przed nieprzyjacielską fregatą. Że zaś ojciec włożył wszystko, co posiadał, w statek i jego ładunek, zostałem sierotą bez grosza. Stryj, mający liczną rodzinę, wzięby mnie chętnie do swego domu i ułatwił zdobycie zawodu na równi z kuzynami, ale jeden z przyjaciół ojca zaproponował, że zabierze mnie ze sobą na morze. Odłożyłem więc na bok szlachetne urodzenie i jawszy się najczarniejszej roboty dobiłem się dzięki zapałowi i dobremu sprawowaniu stopnia oficerskiego. W 1739 roku brałem udział w zdobywaniu Porto Bello przez admirała Vernona, zwanego przez marynarzy Starym Grogiem, i tam zdarzyło mi się zwrócić na siebie jego uwagę, gdy przenosiłem meldunki pod ogniem. Potem uczestniczyłem w nieszczęsnych operacjach przeciw Cartagenie, gdzie skorbut i choroby zdziesiątkowały nasze załogi. Okręt, na którym służyłem, pływał w czarterze jako transportowiec. W tym czasie poznałem Rodericka Randoma, pomocnika lekarza na jednym z okrętów wojennych. Łodzi, na której się znajdowałem, udało się pewnej nocy uratować go od utonięcia w chwili, gdy jego własna łódź przewróciła się stępką do góry.

Mając lat dwadzieścia dwa zostałem pierwszym oficerem kapitana Howa, mego starego przyjaciela i opiekuna. Aż do jego śmierci, która nastąpiła kilka lat później, służyłem pod jego rozkazami na tym stanowisku, odbywając przeważnie rejsy handlowe do Afryki i Indii Zachodnich. Po śmierci kapitana Howa dowództwo statku objął nowy kapitan, który zatrudnił jako pierwszego oficera jakiegoś swego krewnego, wobec czego straciłem na pewien czas pracę i musiałem przenieść się do marynarskiego kubryku. Jako starszy marynarz odbyłem podróż do Indii Wschodnich, gdzie toczyła się nieustająca walka między angielską i francuską Kompanią Wschodnioindyjską, mimo iż oba państwa nie znajdowały się ze sobą w stanie wojny. W owych jednak czasach nie było pokoju po drugiej stronie równika.

Podczas starcia, jakie mieliśmy z francuskim okrętem wojennym, poszczyliło mi się zwrócić na siebie uwagę naszego kapitana. Ten, poznawszy moje koleje losu, powierzył mi stanowisko trzeciego oficera” na miejsce poległego w walce, i usiłował uzyskać zatwierdzenie dla mnie tej funkcji po powrocie statku do Anglii. Wniosek jednak odrzucono, ponieważ miejsca tego zażądał jeden z urzędników departamentu do spraw Indii dla pewnego młodego człowieka, swego protegowanego.

Pozostawszy znów bez środków do życia zamierzałem zaciągnąć się na

jeden z okrętów królewskich, gdy oto natknąłem się na mego przyjaciela, Toma Merricka, który był przez pewien czas zatrudniany w jednym z londyńskich domów handlowych. Zdziwił się widząc mnie w tak nędznych warunkach i wysłał mnie natychmiast do Liverpoolu, gdzie dzięki jego wpływom uzyskałem miejsce pierwszego oficera na statku uprawiającym rejsy handlowe do Gwinei. W służbie tej pozostawałem aż do chwili, w której rozpoczyna się ta opowieść. Podczas ostatniej podróży statek, na którym pływałem, został doszczętnie zniszczony przez huragan i tylko mnie oraz dwóm innym członkom załogi udało się uratować na jakichś jego szczątkach. Gdy wyłowiono nas po trzech dniach straszliwych męczarni, dwaj moi towarzysze znajdowali się już w stanie tak wielkiego wycieńczenia, że zmarli wkrótce potem, mnie zaś przewieziono do szpitala w Port Royal, gdzie przez długi czas walczyłem z niebezpieczną chorobą.

Po powrocie do zdrowia udałem się do firmy utrzymującej stosunki handlowe z moimi armatorami i tą drogą otrzymałem od nich polecenie, aby zaokrętować się w podróż powrotną na jeden z ich statków mający zawinąć do Charlestonu w drodze do kraju. W Charlestonie zastałem statek Elizabeth, który schronił się tam podczas sztormu. Jego kapitan i kilkunastu członków załogi zmarło na żółtą febrę. Statek był w tak lichym stanie, że trudno było znaleźć kogokolwiek, kto by zgodził się na nim płynąć przez ocean. Widząc w tym okazję do otrzymania dowództwa, zgłosiłem się ochotniczo i zaproponowałem, że doprowadzę statek do kraju, o ile uda mi się znaleźć załogę. Kupiec, do którego statek został skierowany, przyjął skwapliwie moją propozycję i tak był uradowany okazywaną przeze mnie gotowością do odbycia ryzykownej podróży, iż nalegał, abym zamieszkał w jego domu przez cały czas potrzebny na dokonanie niezbędnych napraw Elizabeth.

Zarówno pan Penmore, potomek starego angielskiego rodu, jak jego małżonka i córki, byli nader miłymi ludźmi. Zwłaszcza jedna z córek była tak zachwycająca, iż nie mogąc oprzeć się jej urokom, zakochałem się w niej wkrótce na umór. Muriel Penmore odwzajemniała moje afekty i zgodziła się, abym zaloty ujawnił jej ojcu. Penmore, który mimo opuszczenia ojczyzniego kraju zachował nadal rodową dumę, wpadł w pasję. Uznał moje zamiary za zuchwałość i kazał opuścić swój dom; nazwał mnie impertynentem i morskim wycieruchem pośledniego urodzenia, zakazując nawet pożegnać się z Muriel. Musiałem więc wynająć kwaterę w mieście. Pan Penmore przynaglał przygotowania statku do podróży i byłby zaiste nie omieszkał, jak sądzę, odebrać mi dowództwa, gdyby był pewny, że nie pozostanę w Charlestonie i gdyby

mógł znaleźć innego kapitana.

Usiłowałem na wszelkie sposoby skomunikować się z Muriel, ale nie powiodło mi się i wszystkie listy, jakie posyłałem do niej i do jej ojca, wracały do mnie nie otwierane. Starłem się także wielokrotnie spotkać Penmore, lecz unikał mnie tak dalece, że nawet sprawy handlowe związane ze statkiem musiałem załatwiać z jego zastępcą.

W końcu powiadomiono mnie, że Elizabeth jest już gotowa do wyjścia na morze, wobec czego przenieśliśmy się na statek i przygotowałem go ostatecznie do wyruszenia. Ponieważ, mimo dokonanych napraw, statek w dalszym ciągu mocno przeciekał, zaokrętowano grupę dwudziestu niewolników, aby mogli częściowo zastąpić marynarzy w pracy przy pompach. W łodzi, która ich przywiozła, dostrzegłem chłopaka stale widywanego w domu Penmore'a. Udało mu się, poza plecami dozorczy, który przybył, aby przekazać niewolników i otrzymać na nich pokwitowanie, podać mi karteczkę od ukochanej. Muriel zapewniała w niej o nie słabnących ku mnie afektach. Przez tegoż chłopaka mogłem posłać odpowiedź ułożoną w najbardziej namiętnych słowach, na jakie potrafiłem się zdobyć. W podzięcie za lok włosów przysłany mi przez Muriel ofiarowałem jej takż własny lok, wraz z pierścieniem nabytym w mieście; od dawna czekałem z utęsknieniem okazji, by go jej przesłać.

Następnego ranka wyruszyliśmy z Charlestonu i po niezwykle uciążliwej i niebezpiecznej podróży, w której jedynie umiejętności żeglarskie załogi i niestrudzona praca Murzynów przy pompach uratowały statek od zagłady, Elizabeth przybyła do Liverpoolu. Znajdowała się jednak w tak nieprzydatnym do żeglugi stanie, że porzucono wszelką myśl o naprawie, a tym samym pogrzebano żywioną przeze mnie nadzieję, że obejmę dowództwo tego statku, gdy znów wyruszy na morze.

Jak to zawsze miałem w zwyczaju, ilekroć przybywałem do Liverpoolu, udałem się do Cumberland, aby odwiedzić stryja a kuzynów i właśnie tego dopiero popołudnia powróciłem stamtąd w poszukiwaniu pracy. Zamierzałem zobaczyć się następnego dnia z Tomem Merrickiem i dowiedzieć się, czy nie mógłby mi, pomóc w znalezieniu zajęcia.

Uradowałem się widokami, jakie otwierały się teraz przede mną, wierząc, iż kilka pomyślnych podróży pozwoli mi powrócić do Charlestonu, aby znów ubiegać się o rękę Muriel. Gdyby ojciec jej trwał nadal w uporze, zamierzałem nakłonić Muriel, aby porzuciła dom i związała swe losy z moimi.

Gdy tak rozmyślałem nad moimi projektami, wszedł z powrotem do izby gospodarz i rzekł:

– Czarny Jack zjawi się tu jutro rano. Jeden z moich najsprytniejszych chłopców powiedział, że wie, gdzie ukrywa się Jago z towarzyszami, ale trzeba mu dobrze zapłacić, aby tam poszedł. Musi, on mieć ponadto jakiś znak od was, panie, aby wykazać, że przybycie jego nie jest podstępem naganiaczy. Chłopak, zwany Rat, może tam pójść natychmiast i przekazać ludziom zlecenia, jeśli pan sobie tego życzy.

– Doskonale, Pye. Oto mój puginał – ludzie znają go dobrze. Ja idę do łóżka, ale daj mi natychmiast znać, gdy zjawią się rano. W nocy śniłem o pomyślnych bojach i przyzach obładowanych dublonami i o tym, że powracam jako bogaty człowiek do Charlestonu, aby zdobyć rękę, Muriel, Ze snów tych obudziło mnie pukanie do drzwi, po czym do izby wszedł jeden ze służących oznajmiając, że jest godzina wpół do siódmej i że na dole dopytuje się o mnie dwóch marynarzy.

Zerwałem się bezzwłocznie i ubrałem naprędce, a zeszedłszy na dół zastałem czekających na mnie Czarnego Jacka Jago i jego nieodłącznego przyjaciela Cundy'ego, zwanego pospolicie Krwawym Billem. Trudno było sobie wyobrazić dwóch ludzi o bardziej różnym wyglądzie. Jago mierzył ponad sześć stóp wzrostu, był chudy, ponury i – jak wskazywało jego przezwisko – czarny jak Hiszpan. Włosy jego zaczynały z lekka siwieć, a jedna strona twarzy zeszpecona była blizną po ranie, jaką otrzymał podczas ucieczki z niewoli algierskiej, w której spędził pięć lat. Nigdy nie można go było skłonić, aby opowiedział o swoich tam przeżyciach, ale ciało jego nosiło liczne ślady okrucieństwa i znęcania się, jakim musiał być poddawany. Na przegubach rąk i nóg widniały blizny po kajdanach, którymi był skuty. Chociaż piraci naruszyli jego powłokę cielesną, nie potrafili jednak osłabić w nim ducha; ci, co go znali, uważali, że jest to jeden z najlepszych i najdzielniejszych brytyjskich marynarzy. Towarzysz jego był tęgim, niskim człowiekiem, wzrostu nie większego niż pięć Stóp i trzy cale, a przy potężnej budowie wyglądał jak skrócony olbrzym. Wiatry i bryzgi wielu sztormów spaliły mu twarz na czerwono, także i włosy miał ognistoczerwone, z czego wywodziło się jego przezwisko. Ale jakkolwiek przezwisko to uosabiało dzikość i okrucieństwo, jasnoniebieskie oko – miał bowiem tylko jedno – i igrający na wargach uśmiech zupełnie temu przeczyły. Był on współziomkiem Jaga i należał do załogi statku, który wyłowił Jaga na morzu, jako jedyne pozostałego przy życiu spośród sześciu ludzi, którym udało się skraść łódź w Algierze i dokonać na niej ucieczki. Jago leżał bez zmysłów na dnie łodzi, wśród trupów swych towarzyszy, i nikt się nigdy nie dowiedział, ile dni spędził tak bez wody i pożywienia. Mówiono, że wyzdrowienie

zawdzięczał tylko troskliwości, jaką otoczył go Cundy. Później kiedyś Cundy wypadł w Indiach Zachodnich za burtę w porcie, w którym roiło się od rekinów. Zraniwszy się podczas upadku nie mógł utrzymać się na wodzie i albo by niechybnie utonął, albo padł ofiarą tych drapieżnych potworów, gdyby Jago – nie bacząc na niebezpieczeństwo – nie skoczył mu z pomocą i nie przyholował bezpiecznie do okrętu.

Od tego czasu obaj stali się nierozłącznymi przyjaciółmi. Zawsze zaciągali się razem na statki i starali się nawet pełnić służbę w jednej wachcie i mieszkać w tym samym kubryku; gdziekolwiek zobaczono jednego, można było być pewnym, że i drugi kręci się w pobliżu.

Zastałem obu siedzących w izbie, której umeblowanie stanowiły drewniane ławy, a podłoga wysypana była piaskiem. Zerwali się na mój widok, przyglądając zwichrzone czupryny, i powiedzieli jednocześnie:

– Dzień dobry i pokłon, kapitanie.

– Dzień dobry, chłopcy – odrzekłem. – Chciałbym wiedzieć, czy gotowi jesteście ze mną popłynąć? Obiecano mi dowództwo Black Prince'a, statku należącego do panów Merricka i Floyda.

– Popłynąć z wami? Pewnie, że chcemy! Nieprawdaż, Bo? – powiedział Cundy, zwracając się do Jaga. – Wiemy, że kapitan Hawkins jest dobrym i zręcznym marynarzem, potrafi rozumieć ludzi i o nich dbać.

– A więc dobrze, kochani chłopcy, ale nie wiecie jeszcze dokąd mamy płynąć i co mamy robić.

– To nam wszystko jedno. Nawet szczypty tytoniu nie warte namyślanie się, czy to będą Indie Wschodnie, Morza Południowe, czy morza hiszpańskie. Dla nas ważny tylko dobry kapitan i dobry statek, a tu jest jedno i drugie. Nie, Bo? – tu Cundy swym zwyczajem zwrócił się do Jaga, który skinieniem głowy i mruknięciem wyraził aprobatę.

– A więc pójdziemy wzdłuż wybrzeży Afryki, a potem przez ocean do Indii Zachodnich, przy czym, jak się spodziewam, będziemy mieli list kaperski. Cóż wy na to?

– My? Pójdziemy choć w dwadzieścia takich podróży.

– Dobrze, moi drodzy. Statek leży teraz na brzegu w Runcorn, gdzie mu opalają obrosty i dokonują napraw. Musicie pójść i rozejrzeć się za jakimiś dobrymi ludźmi. Znacie takich?

– Tak, John Beer i Sam Moxon są w tym samym miejscu, gdzie i my kryliśmy się przed naganiaczami, a znajdzie się tam jeszcze siedmiu czy ośmiu odpowiednich ludzi. Na wiadomość o rejsie korsarskim na morza hiszpańskie powyłażą ze spelunek.

– Zważcie, co mówię: nie potrzeba mi mętów portowych ani

nadbrzeżnych włóczęgów, każdy, kogo przyprowadzicie, musi być marynarzem.

– To się wie, kapitanie! Jak dobra załoga, to i lekka praca. Nie chcemy na statku leniów, gamoni i niedorajdów, co to pierwsi do żarcia, a jak przyjdzie ciągać talie, to ręki nie przyłożą.

– O to chodzi. A teraz krzyknijcie na gospodarza, aby dał wam coś zjeść i nie zapomniął o napitku. Ja muszę iść na nabrzeże do armatorów.

Za czym udałem się na górę do mej izby, aby dokończyć ubioru. Przy pomocy mego czarnego służącego, Toby'ego, nałożyłem najlepszą perukę, granatowy surdut lamowany srebrną taśmą, a do boku przypasałem krótką, wysadzaną srebrem szpadę pozostawioną mi przez ojca. Na głowę wdziałem trochę na bakier trójgraniasty kapelusz. Tak przybrany wyglądałem, jak mi się zdawało, na najbardziej szykownego kapitana, jakiego dałoby się dojrzeć na liverpoolskim bruku.

Gdy kończyłem już prawie ubieranie, dosłyszałem tętent konia na ulicy, a w następnej chwili Tom Merrick wpadł do mej izby.

– No jazda, leniuchy! Jadę z domu pana Floyda, a tyś jeszcze nie ubrany.

– Chwileczkę. Toby, daj no mi chusteczkę. Teraz jużem gotów, choć jestem na nogach od dawna. Na dole mam już dwóch ludzi do załogi Black Prince'a, których szukałem; mówią, że znajdą dalszych.

– To dobrze. A teraz chodź. Wyglądasz jak istny dandys z kontynentu, ale widać też żeś marynarz, Mój ojciec oraz pan Floyd mają głowę nabitą tym listem kaperskim trzeba nam jednak będzie jechać do Londynu, aby go dostać. Mogą z tym być pewne trudności, jako że wojna nie została jeszcze wypowiedziana, ale myślę, że pomoże nam Sir John Dormer, przyjaciel ojca będący w łaskach u dworu dzięki usługom, jakie oddał rządowi podczas powstania jakobitów.

Wraz z Tomem Merrickiem znaleźliśmy się wkrótce w domu jego ojca, którego dolne izby służyły za biura; tam oczekiwali nas panowie Merrick i Floyd.

Gdy wszedłem, pan Merrick powitał mnie słowami:

– Dzień dobry, kapitanie Hawkins. Sądzę, że syn mój powiedział już panu, iż potrzebujemy kapitana na Black Prince'a, ponieważ kapitan Price postanowił rozstać się z morzem. Tom polecił nam pana, my zaś – po zasięgnięciu starannych opinii u właścicieli Elizabeth – zdecydowaliśmy zaofiarować mu dowództwo Black Prince'a. Pamiętamy dobrze pańskiego ojca, który był zawsze człowiekiem honoru i dobrym marynarzem. Jeśli tylko wdałeś się pan w niego, jestem pewien, że nigdy nie znajdziemy

powodu, aby żałować, iż powierzyliśmy mu dowództwo jednego z naszych statków.

– Mogę zapewnić, panie – odrzekłem – iż uczynię wszystko, by zasłużyć na wasze uznanie. Nie wypada mi teraz wiele mówić ponad to, że składam wam, panie, i panu Floydowi me pokorne usługi i podziękowanie za honor, jaki wyświadczyliście, obdarzając mnie dowodem tak wielkiego zaufania.

– To nam się podoba – przyłączył się pan Floyd. – Nie myśl pan jednak, że wybór nasz zawdzięczasz temu oto nowicjuszowi w sprawach morskich; kierowaliśmy się tylko zasługami pana i jego zdolnościami żeglarskimi. Byłem wczoraj u braci Malcolmson, właścicieli Elizabeth, i dowiedziałem się od nich, jakieś to trzymał w kupie ten stary, rozsypujący się statek podczas podróży do kraju i jak doprowadziłeś go do Mersey, z czym inni nie daliby sobie rady.

– Tak, panie, niełatwa to była robota, ale jestem za wszelkie trudy sownie wynagrodzony powierzeniem mi takiego statku jak Black Prince. Rad jestem oznajmić, że będę mógł zwerbować na mój statek najlepszych ludzi, jacy pływali ze mną na Elizabeth.

– To bardzo dobrze – rzekł pan Merrick – ale pomówmy teraz o interesach. Z Londynu mamy wiadomości, że w najbliższym czasie zanoszą się na wojnę z Francją, my zaś uważamy, że zamiast narażać się na zwłokę spowodowaną żegluga w konwoju, uzbroimy Black Prince'a i pozwolimy mu samemu dbać o własne bezpieczeństwo; aby zaś w pewnym stopniu odzyskać związane z tym wydatki, zamierzamy wystarać się o list kaperski przeciw Francuzom:

– Nie pragnę niczego więcej. Wiesz, panie, że ojciec mój służył w marynarce królewskiej, a i ja też powąchałem trochę prochu. Ale czyż Black Prince nie jest jeszcze uzbrojony?

– Oczywiście, że jest. Ma działa, jako że na wybrzeżu Sierra Leone i wszędzie na wybrzeżach afrykańskich kręci się wielu piratów; pragniemy jednak uzbroić go tak, by mógł nawiązać równorzędną walkę z każdym okrętem jego wielkości.

– Jeśli uczynicie tak, panie, mam nadzieję, że potrafię dać dobrą odprawę każdemu napotkanemu „francuzowi”. Widziałem, jak statek żegluguje i wiem, że może prześcignąć prawie wszystkie okręty.

– Dobrze, kapitanie Hawkins. Teraz weźmiemy łódź z przystani i powiosłujemy z przyływem do Runcorn, gdzie statek leży na brzegu.

Zeszliśmy po schodach wiodących do rzeki, po czym wsiedliśmy do łodzi należącej do pana Merricka. Płynąc z prądem przyływu, dobiliśmy

wkrótce do miejsca w górze rzeki, gdzie wyciągnięty był na brzeg Black Prince. Cieśle uwijali się przy kadłubie, my zaś, wspinając się i gramoląc, dostaliśmy się wreszcie na pokład. I jeśli Black Prince podobał mi się oglądany z zewnątrz, znalazłem podwójny powód do radości, gdy poszedłszy na rufę mogłem istotnie osądzić jego wielkość i przestrzenność. Na rufie znajdowały się z każdej burty po trzy furty dla dział, również na nadburciach przewidziane były miejsca do ustawienia dział obrotowych; działa znajdowały się także na głównym pokładzie i na forkasztelu. Wszystkie były zdjęte na ląd, na czas naprawy statku. Część okrętu pomiędzy forkasztelom a pokładem szańcowym przykryta była uszczelnionym, ruchomym pokładem, który można było usuwać, aby umożliwić dostęp powietrza dla niewolników pomieszczonych w międzypokładach i ładowniach.

Pierwszego oficera wraz z grupą robotników portowych zastaliśmy przy stawianiu nowego dolnego takielunku. Nie wydawał się zbytnio zachwycony moim przybyciem, toteż rad byłem słysząc, że prosi pana Merricka, aby wolno mu było zmienić kurs na ląd. Przekonałem się, że robota nie była wykonywana tak, jak bym sobie tego życzył, wobec czego postanowiłem, że Jago i Cundy oraz ludzie, których będą mogli zwerbować, przystąpią od następnego dnia do roboty, zaś Jones, jak zwał się pierwszy oficer, będzie mógł opuścić statek natychmiast. Stanowisko drugiego oficera Black Prince'a zdecydowałem się powierzyć niejakiemu Harry'emu Trenalowi, obiecującemu młodzieńcowi, pełniącemu ongiś obowiązki trzeciego oficera na Elizabeth, i zlecić mu ogólny nadzór nad pracami do czasu, dopóki nie znajdę dobrego i godnego zaufania marynarza na miejsce pierwszego oficera. Stengi, reje, żagle i cały ruchomy takielunek, podobnie jak pozostały osprzęt i zapasy znajdowały się na lądzie, na pokładzie pozostały tylko dwie kotwice z łańcuchami oraz balast niezbędny przy przeholowywaniu statku.

Mogliśmy obejrzeć bardzo dokładnie cały statek, przy czym przekonałem się z zadowoleniem, że nie zaniedbano silnego umocnienia rufy i forkasztelu, co bywa często lekceważone na statkach trudniących się handlem na wodach afrykańskich. Po szczegółowym zbadaniu statku, zanotowaniu przeróbek niezbędnych w celu przystosowania go do roli okrętu korsarskiego i udzieleniu potrzebnych wskazówek cieślom oraz Jonesowi, powróciliśmy do kantoru pana Merricka.

Skoro tylko tam przybyliśmy, rozesłaliśmy gońców w celu natychmiastowego sprowadzenia pana Trenala, Jaga i Cundy'ego, po czym zaczęliśmy omawiać kroki, jakie należało przedsięwziąć dla uzyskania

listu kaperskiego.

Pan Merrick oznajmił, że będą z tym duże trudności, gdyż wojna nie została jeszcze wypowiedziana; nie było jednak wątpliwości, że wkrótce to nastąpi, ponieważ istniejący stan rzeczy nie mógł dłużej trwać. Pan Merrick pokładał wielkie nadzieje we wpływach, jakie miał u dworu jeden z jego londyńskich przyjaciół, Sir John Dormer, piastujący dawniej godność burmistrza Londynu. Sir John, prócz tego że był doradcą dworu w sprawach finansowych, oddał mu wielkie usługi podczas powstania jakobitów w 1745 roku przez to, że mając rozległe stosunki w Szkocji i na północy Anglii, mógł dostarczać stamtąd cennych wiadomości. Jakkolwiek przyczynił się do utrzymania dynastii Hanowerskiej i za swe usługi otrzymał tytuł szlachecki, był rzetelnym Anglikiem, używając całej swej władzy i wpływów, aby uchronić Kawalera od gniewu króla i udzielając wielu znajdującym się w potrzebie jakobitom pieniężnego wsparcia i pomocy w przedostaniu się na kontynent. Był on również w dobrych stosunkach z panem Pittem i nikt bardziej od niego nie mógł liczyć na uzyskanie względów.

Postanowiono wkrótce, że Tom Merrick i ja, skoro tylko puszcze w ruch roboty na Black Prince'ie, udamy się do Londynu z listami do Sir Johna. W Londynie powinniśmy jednocześnie zaangażować lekarza i wywiedzieć się, jak się tylko da, o krokach, jakie rząd zamierza przedsięwziąć na wypadek wojny z Francją.

Zaledwie skończyliśmy rozmowy, gdy goniec wysłany po pana Trenala wrócił z oznajmieniem, że zjawi się on za pół godziny. Zaraz potem doszły nas dźwięki piszczałek, bębna i skrzypiec, a gdy wyszliśmy, aby zobaczyć, co było przyczyną tego hałasu, ujrzeliśmy Jaga i Cundy'ego oraz ich druhów Beera i Moxona wraz z około dwudziestu innymi zuchowatymi żeglarzami. Oświadczyli, że przyszli zamustrować na statek Black Prince, pod rozkazy kapitana Roberta Hawkinsa.

Cundy wystąpił, jak zwykle, jako rzecznik całej gromady, zwracając się co chwila do Jaga o potwierdzenie swych słów. Oznajmił, że ludzie ci, wszystko dobre chłopcy i prawdziwi marynarze, gotowi są popłynąć ze mną do każdej części świata i że mogą wyszukać jeszcze wielu innych, jako że kuter naganiaczy opuścił już rzekę.

Spytałem pana Merricka, czy można tych ludzi zaraz zamustrować i kazać im przystąpić do prac przy wyposażeniu Black Prince'a, wiedziałem bowiem z doświadczenia, że marynarze mają dużo więcej zaufania do takielunku i osprzętu, który sami przygotowali, niż gdy uczynili to inni, zainteresowani tylko w jak najszybszym pozbyciu się

roboty.

Przyniesiono zaraz księgę załogi, do której wpisałem Jaga jako głównego kanoniera, zaś jego przyjaciela Cundy'ego jako bosmana okrętowego.. Sam Moxon otrzymał funkcję żaglomistrza, do czego, jak nauczyło mnie doświadczenie z Elizabeth, bardzo się nadawał. Wszystkich pozostałych zamustrowano jako starszych marynarzy, od których, według zwyczajów panujących w marynarce brytyjskiej wymagano, aby umieli: refować, zwijać, sterować, zszywać, stawiać, sondować.

Gdy umowę opatrzone stemplami, oznajmiłem im, że mamy dobry statek, na którym spodziewam się odbyć szczęśliwą i pomyślną podróż zakończoną powrotem z kieszeniami pełnymi dolarów. Dałem im również kilka dublonów, aby wypili za pomyślność Black Prince'a, jego właścicieli oraz kapitana i kazałem stawić się na drugi dzień rano do pracy.

Wydali trzy gromkie „hurra!” i odmaszerowali kupą z orkiestrą na czele, uradowani nadzieją zabawy, jak to zwykle marynarze na lądzie.

W tym czasie nadszedł Trenal i ustaliliśmy wkrótce, że obejmie on od następnego dnia obowiązki Jonesa, po czym zwolni ludzi zatrudnionych obecnie przy takłowaniu statku i przystąpi do pracy z marynarzami przed chwilą zamustrowanymi. Pan Merrick obiecał, że w razie potrzeby doda im do pracy tuzin Murzynów sprowadzonych z rynku, gdzie w tej chwili było ich wielu na sprzedaż. Znajdowali się wśród nich tacy, którzy należeli do załóg statków przybyłych z Indii Zachodnich, jako że duża część tych załóg wymarła na żółtą febrę. Prosiłem go, aby starał się szczególnie o tych, którzy pływali ze mną na Elizabeth, gdyż było między nimi wielu dobrych marynarzy. Miałem przy tym nadzieję, że w razie gdybyśmy przypadkiem zaszli do Charlestonu, może udałoby mi się przy ich pomocy porozumieć się z moją drogą Muriel.

Te i tym podobne sprawy zapełniły nam cały dzień i prawdziwie się ucieszyłem, gdy pan Merrick zaproponował, abym zjadł kolację z nim i jego rodziną. Było to znacznie przyjemniejsze niż towarzystwo mego gospodarza Johna Pye'a, pocziwego zresztą jegomościa, w gospodzie Woolpack.

Już przedtem poznałem matkę i dwie siostry Toma, tak że nie czułem się tam obco. Spędziłem bardzo miły wieczór i, gdy około dziewiątej nadeszła pora pożegnania, nie zauważyłem, że czas minął tak szybko.

Tom Merrick towarzyszył mi do Woolpack na fajkę i szklanekę ponczu, przy której omawialiśmy naszą bliską podróż do Londynu. Chcąc uniezależnić się od wiatru i prądu, postanowiliśmy odbyć podróż konno zamiast morzem. Tom zapewnił, że może dostarczyć mi dzielnego

wierzchowca, jak również dobrych koni dla Toby'ego i Standena. zaproponował, aby połączyć się z grupą jego przyjaciół, wybierających się do Londynu w interesach, dałoby nam to potrzebną ochronę przeciwko opryszkom i innym niebezpieczeństwom mogącym czyhać na drodze.

Gdy powiedziałem Toby'emu, że zobaczy Londyn, którego nigdy nie widział, choć nasłuchiwał się mnóstwo o jego dziwach, ucieszył się okrutnie. Radość jego przygasła jednak nieco, gdy mu oświadczyłem, że całą drogę będzie musiał odbyć konno, jako że nigdy dotąd nie zdarzyło mu się siedzieć na końskim grzbiecie.

Po dwu dniach zakończyliśmy przygotowania. W tym czasie, co mnie bardzo uradowało, Black Prince spłynął na wodę i rzucił kotwicę naprzeciw kantoru pana Merricka. Pod kierunkiem Trenala prace postępowały na nim szybko.

Rankiem trzeciego dnia opuściliśmy z Tomem dom pana Merricka, dosiadłszy dwóch dzielnych i pewnych wierzchowców. Za nami jechali Toby i Standen, każdy uzbrojony w garłacz i parę pistoletów. My z Tomem oprócz pistoletów mieliśmy jeszcze krótkie miecze o szerokiej klindze. Do siodła przytroczyliśmy zwinięte, obszerne płaszcze, zaś w wewnętrznej kieszeni każdy z nas miał akredytywę i listy polecające. Pożegnawszy się z moimi pracodawcami i rodziną Toma podjechaliśmy do wzgórza granicznego, gdzie umówiliśmy się z towarzyszami mającymi odbyć wraz z nami podróż do Londynu. Gdy nadjechali, okazało się, że grupa nasza składa się z czternastu dobrze uzbrojonych ludzi, co – jak sądziliśmy – było dostateczną liczbą dla odparcia ataku rozbójników lub bandy dezerterskiej, których wielu w tym czasie włóczyło się po drogach, ściągając haracz z każdego, kogo udało im się zastraszyć i zmusić do uległości.

Podróż mijała nam bez żadnego godnego wzmianki wypadku do chwili opuszczenia gospody na Spustoszonych Wzgórzach, gdzie przystanęliśmy na popas i posiłek. Jechaliśmy dość szybko, ja zaś z Tomem, siedząc na lepszych od innych koniach, wysforowaliśmy się nieco naprzód. Nagle, tuż po zapadnięciu zmierzchu, kula świsnęła mi nad głową i czterech jeźdźców, przeskoczywszy żywopłot, zakrzyknęło:

– Stój, poddaj się!

Wyszarpnąłem pistolet z olstra i wycelowawszy w najbliższego opryszka pociągnąłem za cyngiel, pistolet jednak nie wypalił. Dobytek przeto miecza i rzuciłem się na napastników. Z ich strony padło kilka strzałów pistoletowych, z których jeden zabił konia pod Tomem, pozbawiając mnie na pewien czas pomocy. Zręcznymi ruchami konia udało mi się udaremnić próby ściągnięcia mnie z siodła, sam zaś zdołałem

zadać jednemu z opryszków cios mieczem w głowę, który zwałił go na ziemię.

Tom, uwolniwszy się od swego rumaka, schwycił konia powalonego rabusia, a trzech jego kamraci, widząc nadjeżdżających naszych towarzyszy, umknęli. Kazałem Toby'emu zająć się leżącym na drodze rannym, jęczącym i na wpół ogłuszonym. Toby zaaplikował mu łyk mocnego trunku, po którego przełknięciu ranny uniósł głowę, a otwarłszy oczy i ujrawszy tuż obok swej twarzy czarną twarz Toby'ego, wykrzyknął:

– O Boże, diabeł mnie schwycił i leje mi w gardło płynny ogień! – po czym porwał się na nogi i przesadziwszy płot, zniknął.

Część towarzyszy chciała go ścigać, ale pozostali doradzili, aby tego zaniechać ze względu na trudność dostawienia go do miasta i możliwość długiego przetrzymania nas jako świadków; zdanie to przeważało. Zdjęliśmy siodło, uzdę i czaprak z konia Toma, mocując je na jego walizie za Standenem. Tom zaś dosiadł wierzchowca zdobycznego nie mogąc zaprzeczyć, że dokonał zamiany na lepsze. Nowy koń okazał się bowiem pięknym i dobrze odkarmionym zwierzęciem.

Pozostawiwszy na drodze martwego rumaka ruszyliśmy w dalszą drogę, postanawiając mieć się na baczności aż do osiągnięcia celu podróży. Obejrawszy naszą broń stwierdziliśmy, że podsypka została wszędzie usunięta z panewek, co wskazywało, że rabusie musieli być w zмовie ze stajennymi w gospodzie na Spustoszonych Wzgórzach, gdzie stawaliśmy na popas.

Po przybyciu do Londynu pożegnaliśmy z Tomem naszych towarzyszy podróży i skierowaliśmy się do gospody w Holborn, gdzie, zleciwszy opatrzyć konie, zjedliśmy kolację i udaliśmy się na spoczynek.

Rano obudził nas donośny, rozlegający się na zewnątrz hałas. Podszedłszy do okna zobaczyłem zebrany pod gospodą tłum, a otwarłszy je dosłyszałem, jak ciżba krzyczała coś o rozbójnikach. W tej samej chwili drzwi naszej izby otwarły się z trzaskiem, po czym wkroczyło do niej kilku ludzi oświadczając, że jesteśmy aresztowani. Tom, będąc jeszcze w łóżku, dopytywał w czym rzecz, stajenny zaś kroczący u boku tych ludzi, których czerwone kubraki wskazywały, że są strażnikami miejskimi, zawołał:

– Tak, to ten w łóżku! On jechał na dużym kasztanie o białych pęcinach, ze strzałką na łbie. To kapitan Starlight!

– Kapitan Starlight? Ludzie, o co wam chodzi? – rzekł Tom.

– Chodź, kapitanie – powiedział przywódca. – Nie ma co się wyłgiwać, capnęliśmy cię i musisz pójść z nami.

– O czym myślicie? – wtrąciłem się. – To jest mój przyjaciel, pan Merrick z Liverpoolu, armator, a ja jestem kapitanem jednego z jego statków.

– Dobrze, dobrze. Nigdy nie słyszałem, aby opryszkowie drogowi mieli coś wspólnego z morzem. Port wasz, jest daleko, jak się o tym zaraz przekonacie. Nigdy nie przypuszczałem, że kapitan będzie tak szalony, aby swego kasztana umieszczać tu, w Holborn.

– Możemy dowieść kim jesteście. Oto nasze papiery.

– Papiery zostaną sprawdzone, ale teraz musicie obaj iść z nami. Ubierajcie się szybko i jazda!

Widząc, że opór jest bezcelowy, nałożyliśmy ubrania i oświadczyliśmy, że możemy być zaraz gotowi, ale niech nam będzie wolno napisać parę słów do Sir Johna Dormera.

– Och, możecie pisać, jak zapłacicie... Ale to pisanie... Ha, ha! Oprychy korespondują z radnym miejskim! Chodź lepiej, kapitanie Starlight, gwineje przydadzą się wam w Newgate. Jestem dobry człowiek i wolę, abyście zatrzymali waszą kieskę. Wielu już takich capnąłem, ale żadnego z taką fantazją jak wasza.

– Człowieku, nie jestem rozbójnikiem. Jeśli koń, którego wczoraj dosiadłem, należał do takowego, mogę łatwo wyjaśnić, w jaki sposób dostał się w moje posiadanie.

– Tak, możesz wyjaśnić. Ale co do mnie wiem, żeś wart sto gwinei, a każdy z twojej kompanii – pięćdziesiąt. Capnąłem już trzech; robi to razem dwieście pięćdziesiąt gwinei i stać mnie na wspaniałomyślność. Pisz, nie policzę więcej jak pięć gwinei.

Ubraliśmy się szybko i Tom skreślił kilka słów do Sir Johna, prosząc go, aby przybył i uwolnił nas z kłopotliwego położenia, w jakie popadliśmy.

Gdy list został napisany, oficer zapytał, czy chcemy iść pieszo, czy też życzymy sobie – jako arystokracja wśród opryszków – być niesieni w lektykach. Powiedział, że dziesięć gwinei nie będzie za wiele dla nas i naszych służących, jeśli pragniemy być zanieśieni we czterech przed trybunał sędziowski. Po czym wy dobył kajdanki i rzekł:

– A teraz, panowie, założymy bransoletki.

Tego było już dla nas za wiele. Rzuciliśmy się na strażników i kilku z nich powaliliśmy na ziemię, ale na nic się to nie zdało, gdyż byli liczniejsi. Obezwładniono nas i założono nam kajdanki na ręce. Biedny Toby nie mógł zupełnie zrozumieć, co to wszystko znaczy i zapewniał strażników uroczyście, że nie jest niewolnikiem, lecz wolnym

człowiekiem.

Dowódca strażników wyraził nam uznanie za odwagę i obiecał, że przyjdzie popatrzeć, jak będziemy dyndali na stryczku w Tyburn.

Po wyprowadzeniu z gospody usadowiono nas pojedynczo w lektykach, dodając każdemu do asysty strażnika i odniesiono do aresztu wśród wrzasków i ryków gawiedzi, żądanej rzucić okiem na słynnego kapitana Starlighta.

Dowiedziałem się od mego strażnika, chociaż bawiła go moja rzekomo udana nieświadomość, iż kapitan Starlight był notorycznym rozbójnikiem, który wraz z bandą towarzyszy terroryzował od długiego czasu podróźnych przybywających drogą północną.

W areszcie osadzono nas w dużej celi, w której znajdowali się różnego rodzaju przestępcy, kobiety wątpliwej konduity, rzeźmieszki, włóczędzy, młodzi dandysi, którzy pobili się ze strażą, jak i nowicjusze usiłujący ich naśladować, słowem wszystkie męty uliczne Londynu oczekujące na sąd.

Tu zdjęto nam kajdanki, przy czym zauważyliśmy, że przybycie rzekomego kapitana Starlighta i jego kompanii uczyniło niemałe wrażenie. Wielu spośród więźniów sądząc, że w ten sposób okaże nam dowód wysokiego uznania, nalegało, aby z nimi wypić, można tam było bowiem bez trudu dostać porter i gorzałkę po bardzo słonych cenach, jeśli ktoś miał pieniądze.

Odmówiliśmy tych poczęstunków, co współwięźniom nie przypadło do gustu i zostalibyśmy niechybnie poturbowani, gdyby rzucone przeze mnie marynarskie przekleństwa nie przywołały na pomoc kilku żeglarzy zamkniętych tam za pijackie burdy. Ci zapowiedzieli, że nie zniosą, aby nas źle traktowano. Krzepkie ich pięści rychło rozproszyły najbardziej krewkich napastników, po czym zostawiono nas w spokoju. Siłąc się na pogodę ducha czekaliśmy więc na sędziów lub na posłańca od Sir Johna Dormera.

Szczyściem dla nas zacny szlachcic był właśnie w swym domu w Great St. Helen, gdy doręczono mu list Toma. Nie zadowolając się wysłaniem kogoś, kto by nas miał uwolnić, przybył natychmiast osobiście, by rozejrzeć się w całej sprawie. Istotnie, zaledwie pół godziny upłynęło od chwili, kiedy nas uwięziono, gdy wszedł do celi człowiek będący komendantem aresztu i płaszcząc się uniżenie, rzekł:

– Proszę o wybaczenie, wasze dostojności. Sir John Dormer oczekuje was na zewnątrz. Uniżenie proszę przyjąć z powrotem piętnaście gwinei i nic o tym nie wspominać.

– O, nie – rzekł Tom. – Kazałeś nam je zapłacić, więc albo otrzymamy

je z powrotem w drodze urzędowej, albo wcale.

Wprowadzono nas bezzwłocznie do wystarczająco, choć dość obskurnie umeblowanej izby, w której na kominku palił się jasny ogień. Tu czekał na nas Sir John.

– Jak się macie, panie Merrick? Przykro mi, że te służusy zgotowały wam smutne przyjęcie w naszym pięknym Londynie. A to, jak sądzę, jest wasz przyjaciel, pan Hawkins, tamci zaś to wasi służący. Powiedźcie mi, jak wpadłeś w te tarapaty, znam cię bowiem od dawna jako spokojnego, trzeźwego i dobrze prowadzącego się młodzieńca.

– Wprost trudno to wyrazić. Gdy przedwczoraj wieczór jechaliśmy od strony Spustoszonych Wzgórz, zostaliśmy napadnięci przez opryszków, przy czym koń mój padł od kuli. Tu obecny kapitan Hawkins zwałił z konia jednego ze zbójów” który potem zbiegł, przeraziwszy się czarnego oblicza tego oto Toby’ego. Ja zaś, chcąc nie chcąc, musiałem dosiąść jego wierzchowca, aby nie drałować pieszo do Londynu.

– To nic, młodzieńcze, zaraz się wszystko wyjaśni. Czcigodni sędziowie będą tu za chwilę i postaram się, aby was szybko uwolniono. Jeśli zaś te „czerwone drozdy” zrobiły wam tu jaką przykrość, dochodzenie zostanie natychmiast przeprowadzone. Co prawda, bardzo było lekkomyślne nie liczyć się z tym, że się jedzie na wierzchowcu należącym do opryszka.

– Zapewne, panie, ale wiecie chyba jaką zwłokę powoduje taka przygoda, my zaś chcemy wracać na północ, jak tylko załatwimy nasze sprawy w Londynie, w czym też będziemy was, panie, prosić o pomoc i łaskawość.

– Na to będzie dość czasu, bylebym tylko wy dostał was z tego piekła.

W tym miejscu wtrąciłem się do rozmowy i spytałem Sir Johna, czy nie zechciałby także wstawić się u sądu za marynarzami, którzy stanęli w naszej obronie w celi, gdzie nas więziono, w innym bowiem razie rychło skończy się ich wolność i niechybnie wyślą ich z twierdzy Tower do Nore na więziennym kutrze znanym pod nazwą „londyńskiej karetki”.

– Słusznie, kapitanie – powiedział Sir John. – Nigdy nie zapominaj o przyjacielu w potrzebie. Nie wątpię, że przewinienia ich są błahe i dadzą się Bez trudu darować. Muszę iść teraz do sędziów, a wy czekajcie tu, póki nie wrócę.

Sir John powrócił wkrótce z rozkazem uwolnienia zarówno nas, jak i naszych marynarzy obrońców. Kazał potem Tomowi i mnie udać się z nim do pokoju narad sądu, gdzie opowiedzieliśmy o zaszłych zdarzeniach. Z zadowoleniem byliśmy świadkami tego, jak surowo

potraktowano strażników, którzy nas pojмали i jak kazano im zwrócić wyłudzone od nas piętnaście gwinei.

Sir John zaprosił nas potem na obiad na godzinę drugą i zapowiedział, że rad będzie wówczas usłyszeć, co sprowadziło nas do Londynu. Wezwaliśmy zatem lektyki i powróciliśmy do gospody w towarzystwie Toby'ego i Standena oraz marynarzy uwolnionych dzięki wstawiennictwu Sir Johna.

Zamówiliśmy natychmiast śniadanie i udaliśmy się do izby, by przebrać się stosownie do oczekującego nas dnia. Tom, widząc, że wkładam granatowy frak, z którego byłem tak dumny w Liverpoolu, rzekł:

– Słuchaj Bob, mój chłopcze, wypada byś włożył inny strój, gdyż chciałbym zapoznać cię w kilku kawiarniach z literatami i ludźmi błyskotliwymi, którym musisz dorównać.

– Ależ, mój drogi, nie stać mnie teraz na inny strój. Za pieniądze otrzymane od właścicieli Elizabeth odkupiłem zaledwie to, co straciłem podczas katastrofy w Indiach Zachodnich, a teraz pozostało mi wszystkiego kilka groszy.

– Nonsens, masz u mnie kasę. Oto zaliczka na poczet Black Prince'a. A poza tym załatwiasz w Londynie interesy w imieniu mego ojca i pana Floyda i chcę, aby kapitan Black Prince'a prezentował się godnie, gdy stawi się przed lordami Admiralicji po list kaperski. Każę zaraz krawcowi przynieść odpowiednie stroje, a że i sam potrzebuję ubioru, będziemy wybierać razem.

Po śniadaniu przybył wezwany krawiec w asyście dwóch tragarzy niosących, spore paki, z których wydobyto i rozłożono przed nami kaftany i inne stroje najprzeróżniejszych krojów, kolorów i rodzajów.

Zanim zdołałem się opatrzyć, krawiec bardzo wymownie zachwalający swe towary, byłby mnie już wcisnął w bramowany srebrną lamą atłasowy kaftan koloru zielonego groszku, gdyby Tom, który znał go od dawna, nie wmieszał się w tę sprawę.

– Nie tak prędko, Kersey. Nie jesteśmy fircykami czy dandysami i nie trzeba nam takich fatałaszków, lecz czegoś co może włożyć na grzbiet przyzwoity człowiek.

– Do usług, szlachetny panie. Przyjacielowi byłoby doskonale w tym szkarłatnym kaftanie, zwłaszcza jeśliby nosił jedną z ozdobnych peruk, świeżo sprowadzonych z Francji. Zapewniam, że są to peruki ostatniej mody.

– Schowaj sobie te, peruki francuskiej mody. Niech no zobaczą, co tam masz. Chciałbym dla ciebie, Bob, coś marynarskiego.

– Ach, co słyszę, towarzysz wasz, panie, jest oficerem marynarki? Mam akurat, co potrzeba. Oto jest ciemnogrnatowy surdut z białymi wyłogami, zupełnie taki sam, jak ten, co go robiłem miesiąc temu dla dowódcy okrętu jego królewskiej mości, Reasonable.

– Świetnie, Bob – rzekł Merrick. – To chyba najlepsze dla ciebie. A teraz coś dla mnie. O, ten śliwkowy aksamit byłby niezły, jeśli mojej miary.

– Będzie leżał na was, panie, jak rękawiczka. A może jeszcze coś do wyboru? Wybaczcie, panie, ale noce są chłodne, a ten luźny płaszcz jest ciepły i można w nim swobodnie władać bronią; z tą myślą go kroilem. Żaden szlachcic nie wie, kiedy będzie musiał jej użyć. Pełno teraz nocą na ulicach fircykowatych awanturników, co przejść ludziom nie dają.

Mały krawczyzna gadał i gadał, a Tom wybierał za nas obu, aż w końcu musiałem go powstrzymać okrzykiem:

– Stój! Dość tego!

Po odprawieniu krawca przyszła kolej na szewca i fryzjera, wreszcie na płatnerza. Tom nalegał, abym przyjął od niego w podarunku piękną i poręczną szablę abordażową.

Gdyśmy już, jak mówił Tom, otaklowali się odpowiednio, nadszedł czas udania się do Sir Johna Dormera na obiad. Pozostawiliśmy za sobą wyniosły masyw katedry św. Pawła, a potem ruchliwą ulicę Chepe i mijaliśmy właśnie Mansion House, gdy dojrzelśmy wychodzącego z niego Sir Johna Dormera, który wszedł do swej lektyki. Kazaliśmy przeto naszym tragarzom iść w ślad za nim i przybyliśmy niemal jednocześnie do Great St. Helen.

Wysiadając z lektyki Sir John pozdrowił nas serdecznie i oznajmił, że dopiero co dowiedział się w rezydencji burmistrza o mającym nastąpić nazajutrz wypowiedzeniu wojny Francji.

– To właśnie sprowadza nas do tego miasta, sir – powiedział Tom. – Ojciec mój posiada okręt, który oddał pod komendę tu obecnego kapitana Hawkinsa. Dla tego okrętu pragnąłby otrzymać list kaperski, my zaś przybyliśmy prosić o pomoc w tym przedsięwzięciu.

– Wojna będzie popularna i nie sądzę, aby robiono wam w tej sprawie trudności. Kogo macie za poręczycieli?

– Ojciec obawia się, że nadużywa przyjaźni waszej, sir, prosząc, byś zechciał być jednym z nich. Mam upoważnienie od ojca i jego współnika pana Floyda, aby wystawić poręczenie w ich imieniu. Mam tu wszelkie papiery do wglądu i wy, panie, możecie dać odpowiedź po ich przejrzeniu. Jeśli będzie potrzeba, złożę stosowną kwotę, by zabezpieczyć was przed

jakąkolwiek stratą.

– Dobrze, panie Merrick, teraz wam nie odpowiem. Żona moja i córki pewnie nas oczekują, pójdź więc pan odnowić dawną z nimi znajomość i przedstawić swego przyjaciela.

Małżonka Sir Johna i jego dwie nadobne córki przywitały nas w apartamencie solidnie i gustownie umeblowanym. Znać było na nim upiększające dotknięcie dłoni edukowanych niewiast. Oddaliśmy wraz z Tomem należne pokłony, po czym przeszliśmy do sali biesiadnej, gdzie Sir John okazał się nader gościnnym gospodarzem. Tom szepnął mi, że gośćmi tej sali bywali najpierwsi dostojnicy państwa.

Po obiedzie damy opuściły nas i Sir John nawiązał w rozmowie do spraw, które sprowadziły nas do Londynu. Po przejrzeniu wręczonych mu papierów obiecał poprzeć naszą prośbę i wyrobić nam na pojutrze audiencję w Admiralicji. Dodał, że do tego czasu każe sekretarzowi przygotować potrzebne papiery, tak by sprawa nasza załatwiona została z możliwie największym pośpiechem.

Następnie Sir John wyraził przypuszczenie, że Tom zechce odwiedzić kilka modnych lokali i pokazać mi trochę życia londyńskiego, o ile jeszcze go nie znam. Przypomniął jednak, że przez cały czas naszego pobytu w Londynie dom jego stoi dla nas otworem.

Powróciwszy do zajazdu stwierdziliśmy, że czekali tam na nas marynarze, do których uwolnienia przyczyniliśmy się dziś rano. Dowiedzieli się, że objąłem komendę statku korsarskiego i chcieli się nań zaciągnąć.

Po krótkiej rozmowie zdecydowaliśmy przyjąć ich propozycję i zarządziliśmy, by wysłano ich do Liverpoolu dyliżansem, na co przystali z ochotą, bojąc się dostania w łapy werbowników, wobec bliskiego wypowiedzenia wojny. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie wysłać do Liverpoolu również Standena z listami donoszącymi o naszym przybyciu do Londynu i o wypowiedzeniu wojny. Ponieważ powinien on przybyć tam możliwie jak najprędzej, postanowiliśmy posadzić go na zdobytego na zbójcu rumaka, który przysporzył nam tyle kłopotów, tym bardziej że wskazane było wyprawić tego konia jak najrychlej z Londynu, aby nie napytał nam znów jakiej biedy.

Załatwiwszy to wszystko zaczęliśmy z Tomem zwiedzać kawiarnie. W jednej z nich Tom wskazał mi słynnego doktora Johnsona, krótkowidza ogromnej postawy, zdającego się przewodzić swym towarzyszom i nie znosić, aby kompania mu się sprzeciwiała. W innej Tom spotkał paru swych londyńskich przyjaciół, którzy ucieszyli się na jego widok

i zaofiarowali się uchylić przed nami rąbka wytwornego życia Londynu. Zaprosili nas na wieczerzę do tawerny położonej w pobliżu teatru Drury Lane, gdzie spędziliśmy czas wesoło, zabawiając się kielichami i błyskotliwą gawędą. Dochodziła już prawie północ, gdyśmy ich pożegnali i trzeba było wziąć człowieka z pochodnią, by oświecał nam drogę do Holborn. Przechodząc wąską i ciemną ulicę usłyszeliśmy donośną wrzawę, szcęk mieczy i wołania; „Na pomoc!”, „Tchórze!”, „Bandydzi!” Spiesząc w kierunku wrzawy natknęliśmy się na mężczyznę osłaniającego rannego towarzysza i broniącego się przeciwko sześciu napastnikom.

Rzuciliśmy się natychmiast na pomoc, co widząc tchórzem podszyty prześladowcy wzięli nogi za pas i znikli w mroku. Młody, szlachetnie wyglądający człowiek ukląkł i począł badać ciało leżącego przyjaciela rozpaczając, że go raniono.

Pomogliśmy wraz z Tomem opatrzyć powalonego i stwierdziliśmy, że otrzymał on pchnięcie przez bark oraz uderzenie pałą w głowę, którym poczęstował go z tyłu jeden z napastników w chwili, gdy bronił się przeciw innym, atakującym z przodu. Na szczęście kapelusz i peruka osłabiły siłę ciosu i po chwili ranny zaczął dawać oznaki przytomności oświadczając, że może iść do domu. Gdy jednak wstał, zaledwie mógł utrzymać się na nogach, że zaś okazało się, iż zamieszkuje w odległej części miasta, zaproponowaliśmy mu, aby wraz z towarzyszem udał się do naszej gospody, będącej pod bokiem.

– Zaiste, panowie – rzekł towarzysz rannego – jesteście wam wielce zobowiązani, nie wątpię bowiem, że gdyby nie wasz w porę nadeszły sukurs, łajdacy obezwładniliby mnie wkrótce i obaj zostalibyśmy obrabowani i obdarci, jeśli pozostawiono by nam życie, tym bardziej że strażników, jak zwykle, nie było O, nadchodzą właśnie, gdy jest już po wszystkim.

Rzeczywiście, dostrzegliśmy światło latarni i zbliżających się czterech strażników miejskich. Doszedłszy zaczęli pytać, co tu robimy, po czym oświadczyli, że za awanturowanie się na ulicach zabierają nas na odwach.

– Nie ma co, Bob – rzekł Tom – widać sądzone nam wpadać ciągle w kabałę Dziś rano uwięziono nas jako grasantów z gościńca, a teraz zamkną nas za nocne awantury.

– Pozwólcie, panowie – ozwał się nie tknięty spośród dwóch naszych nowych znajomych – zaraz załatwię się z tymi pacholkami Hej, wy tam! Chwytajcie lepiej tych, co nas napadli, ale daję gwineę, jeśli natychmiast zdobędziecie mi lektykę dla mego przyjaciela Inaczej długo popamiętacie

tę noc!

– Wybaczcie, panie – rzekł jeden ze strażników – wiemy już, o co chodzi. Tuż obok mieszkają w podwórzu tacy, co mają lektykę i jeśli dacie nam, panie, zaraz tę gwineę, to ich przywołamy.

– O nie, za starym na to wyga. Dawajcie lektykę, a dostaniecie gwineę, jakem George Dormer!

– Co słyszę! Zwiesz się pan Dormer? – zdziwił się Tom. – Możeś powinowaty Sir Johna?

– Oczywiście. Jestem porucznikiem królewskiej marynarki i mam zaszczyt by jego bratankiem. Czy znasz pan mego stryja?

– Tak. Przybyliśmy tu, by załatwić z nim pewne sprawy i nie dalej jak dziś obiadowaliśmy u niego w Great St. Helen.

– Co? Jesteś więc pan kapitanem korsarskiego okrętu, który zbroi się w Liverpoolu?

– Nie, lecz jest nim tu obecny kapitan Hawkins, ja zaś jestem synem jednego z właścicieli.

– To świetnie, zawarliśmy zatem znajomość wcześniej niż się spodziewałem, zamierzałem bowiem odwiedzić panów jutro i złożyć im pewne propozycje. Ale oto i lektyka. Wchodź do niej, Will – rzekł zwracając się do przyjaciela – i idziemy z tymi kawalerami do ich gospody.

Ranny, który nazywał się Will Griffiths, został umieszczony w lektyce i wkrótce przybyliśmy do gospody, skąd natychmiast posłaliśmy po lekarza. Przybyły lekarz stwierdził, że rany Griffithsa nie są groźne, będzie musiał jednak pozostać w łóżu przez kilka dni.

George Dormer oświadczył gotowość czuwania przy nim przez noc i obiecał przedstawić nam rano sprawę, która leżała mu na sercu. Wyszuszywszy wazę ponczu, w czym dzielnie pomagał nam lekarz, mimo że zabraniał tego swemu pacjentowi, życzyliśmy sobie wzajemnie dobrej nocy i rozeszliśmy się do naszych sypialni.

Rano obudził nas Toby, mówiąc:

– Oficer morski życzy mówić z massa.

– Dobrze, Toby, powiedz, że będziemy za chwilę na dole. – Odziawszy się, zeszliśmy do salonu, gdzie oczekiwał nas George Dormer.

Na nasz widok powstał i zbliżając się, rzekł:

– Dzień dobry, szlachetni panowie. Pragnę wam najgoręcej podziękować w imieniu przyjaciela i własnym za bardzo potrzebną pomoc, jakiej udzieliliście nam zeszłej nocy; bez niej padłbym niechybnie ofiarą tych łobuzów. I tak zresztą o włos uniknąłem gorszego wypadku, wcale

o tym nie wiedząc. Spójrzcie na mój płaszcz – pchnięcie miecza przeszło tuż pod ramieniem.

Wyraziliśmy radość, że mogliśmy pomóc tak szlachetnemu kawalerowi, krewniakowi czcigodnego Sir Johna Dormera, pytając równocześnie o zdrowie przyjaciela.

– Miewa się dobrze i śpi teraz jak dziecko. Biedny Will! Chciał pokazać mi życie Londynu i w rezultacie wpadliśmy między piratów, którzy potraktowali nas gorzej niż hiszpańscy bukanierzy swych więźniów. A teraz, panowie, radbym dowiedzieć się, czy wasz okręt będzie mógł zawinąć na Wyspy Kanaryjskie w drodze do Gwinei?

– Po prawdzie – odrzekłem – nie mamy tam interesu. Ale jeśli właściciele nie będą mieli nic przeciwko temu, można będzie to z łatwością urządzić. Jak myślisz, Tom?

– To będzie oczywiście zależało od mego ojca i od pana Floyda. Ale nie wątpię, że będzie to można z nimi uzgodnić.

– Jeśli tak – rzekł porucznik – zgłaszam się na pierwszego oficera, jeśli to miejsce jest jeszcze wolne.

– Tak, jest wolne, ale pan, oficer królewskiej marynarki, nie zechce chyba służyć na okręcie korsarskim?

– Może się to wam, panowie, wydać dziwne, ale muszę pilnie dostać się na Wyspy Kanaryjskie, a nie widzę innego sposobu.

Odparłem, że będę dumny, mogąc skorzystać z jego usług, ale ostrzegłem go, że zwyczajnie na okrętach korsarskich nie są tak dworne, jak na okrętach królewskiej marynarki i że trzeba się będzie zadowolić gorszą płacą i pomieszczeniem niż te, do których przywykłem.

– Nie chodzi mi o to. Pod rozkazami komodora Ansona poznałem twarde życie, natomiast do Las Palmas muszę dostać się tak lub inaczej.

Tom zaznaczył, że cała sprawa sprowadza się do kosztów i zwłoki, jaką ta eskapada mogłaby spowodować.

– Dobrze się więc składa, gdyż stryj mój, gdy dowiedział się od niego o celu waszego przybycia do Londynu, całkowicie poparł plany, jakie mu przedstawiłem. Może byśmy teraz poszli do niego? Will może tu spokojnie pozostać, zwłaszcza jeśli pan, kapitanie, pozwoli, by służący jego czuwał przy łóżu chorego.

Zgodziliśmy się na to chętnie i udaliśmy się razem do Great St. Helen. Po drodze byliśmy świadkami jak heraldowie i trębacze ogłaszali publicznie przed gmachem giełdy wypowiedzenie wojny Francji, wśród okrzyków i zgiewku podnieconego tłumu wygrażającego zdradzieckiemu, jak wrzeszczeli, narodowi francuskiemu. Przybywszy do rezydencji Sir

Johna zastaliśmy czcigodnego dostojnika w kantorze. Na nasz widok rzekł:

– Widzę, George, że przybywasz przed czasem. Oczekiwałem ciebie dopiero za godzinę. Musiał chyba, panowie, odwiedzić was już wczesnym rankiem?

– Otóż, stryju, spotkaliśmy się zeszłej nocy a gdyby nie pomoc kapitana Hawkinsa i pana Merricka, nie ujrzałbyś swego niegodnego bratanka dziś rano. Zgraja łobuzów napadła Willa Griffithsa i mnie. Will został ranny i sam musiałem opędzać się sześciu opryszkom, póki ci kawalerowie nie przybyli mi z pomocą.

– Na ulicach panują haniebne stosunki Ale gdzież biedny Will? Nie jest taki wytrzymały na cięgi jak wy, wilki morskie.

– Leży teraz w gospodzie Pod Złotym Lwem w Holborn, gdzie stoją kwatery nasi przyjaciele. Lekarz opatrzył go należycie i za kilka dni będzie na pewno zdrow jak ryba. Rozmawiałem właśnie z kapitanem Hawkinsem i panem Merrickiem o Wyspach Kanaryjskich i moim zamustrowaniu na ich okręt. Zdaje się, że oprócz strony finansowej nie będzie innych przeszkód. Stryj zna moją sprawę, a mnie stać na koszty. Czy może ich stryj w tym upewnić?

– Oczywiście, George, chętnie to zrobię. Ale tu chodzi nie tylko o koszty. Jeśli wszystko ma się udać, trzeba będzie porządnie zaryzykować i przyzwoitość nakazuje, aby im o tym powiedzieć. Czy mam wyłuszczyć o co ci chodzi, skoro wstydzisz się sam to uczynić?

– Powiedz, stryju, proszę.

– A więc, panowie, tego oto urwisa, mego bratanka, oczarowały czarne oczy i krucze warkocze pewnej hiszpańskiej damy. Nie udało mu się jednak wyjednać zgody jej rodziny na poślubienie Anglika i do tego innowiercy. Teraz zaś, gdy dowiedział się, że jego umiłowaną zabrał do Las Palmas stryj, mianowany przez jej katolicką królewską mość gubernatorem Wysp Kanaryjskich, zamierza udać się do tego miasta i tam wykonać swe plany. Dama nie ma nic przeciwko temu, by umknąć wraz z George'em, jeśli uda mu się to zaaranżować. Trzeba ją będzie jednak przemycić z wyspy i George chce tego spróbować przy waszej pomocy. Nie imam syna, od kiedy mój biedny chłopiec poległ na moście pod Dettingen, George jest moim jedynym spadkobiercą i pomogę we wszystkim, co może uczynić go szczęśliwym, choć nie rozumiem, dlaczego nie mógłby poślubić jakiejś dorodnej angielskiej dziewczyny. Ze sprawą tą, jak widzicie, połączone jest ryzyko i niebezpieczeństwo, pozostawiam zatem wam, kapitanie Hawkins i wam, panie Merrick, to czy

zechcecie przyjąć jego propozycję.

Odrzekłem, że zrobię wszystko, co będę mógł, lecz że decyzja zależeć będzie od ojca Toma i pana Floyda oraz że o wykonalności planów porucznika Dormera będę mógł sądzić, skoro dowiem się dalszych szczegółów.

– Naturalnie, kapitanie Hawkins. Zrobiłem już początek, a teraz niech George opowiada dalej swą historię. Mam natomiast dla was nowinę. Napisałem wczoraj do Pierwszego Lorda Admiralicji i ten przyrzekł przyjąć nas jutro w południe. Przyjadę wobec tego do gospody moim powozem o jedenastej i zabiorę was do Admiralicji. Teraz, George, mam robotę, gdyż w związku z wojną z Francją muszę załatwić dla rządu wiele spraw; zajmij się więc przyjaciółmi. Przypominam, że obiad jest o drugiej, jeśli zechcecie panowie zaszczyścić mój ubogi dom. Tymczasem życzę powodzenia.

Pożegnawszy Sir Johna przyjęliśmy propozycję George'a Dormera, by przejechać łodzią z Tower do Westminster i przejść się po Mall, gdzie można zobaczyć całą śmietankę Londynu, a nawet – jeśli przypadek zdarzy – rzucić okiem na króla i królową. George zapewnił nas, że o rannego przyjaciela nie mamy co się troskać i najlepiej pozostawić go w spokoju. W końcu przeprosił nas na chwilę, by złożyć uszanowanie swej stryjence i kuzynkom, jeśli nie chcielibyśmy mu towarzyszyć. Nie pragnąc się narzucać oświadczyliśmy, że zaczekamy. Po chwili George wrócił i oznajmił, że zamiast obiadu zjemy u stryjostwa kolację, podczas której poznamy kilku ich przyjaciół. Równocześnie zaproponował, aby po przechadzce po Mall zjeść obiad na pokładzie Folly. Tom zgodził się na to z ochotą, zeszliśmy więc do rzeki i wzięwszy łódź popłynęliśmy do przystani przy Westminsterze. Wylądowawszy tam poszliśmy na Mall, gdzie przewijał się tłum wytwornej publiczności obu płci. Wielu damom towarzyszyli czarni paziowie, którzy – zdaniem George'a Dormera – byli wówczas dla wykwintnej damy równie nieodzownym dodatkiem, jak dla kontynentalnego dandysa opadająca na plecy peruka i owinięta morą trzciniowa laseczka.

Usiedliśmy na ławce pod drzewami, gdzie natychmiast obskoczyli nas służący z pobliskich tawern, nalegając, byśmy zamówili wino. Aby uwolnić się od ich natarczywości, kazaliśmy podać butelkę bordeaux i sącząc je, przyglądaliśmy się różnym znakomitościom wskazywanym przez George'a Dormera.

– Nadchodzi właśnie jeden z najosobliwszych w Londynie ludzi! – wykrzyknął w pewnej chwili George. – Był ongiś pomocnikiem lekarza na

jednym z okrętów królewskich i jeśli prawdą jest to, co opowiada, to był bohaterem wielu najniezwykleszych historii. Ożenił się z posażną niewiastą i teraz pełni rolę arbitra elegantiarum, co mu się dość udaje. Ale oprócz pieniędzy posiada zgoła nieograniczoną pewność siebie. Towarzyszy mu zawsze dziwaczny jegomość, którego nazywa swym kamerdynerem, jednak, na dobrą sprawę, obaj ci ludzie powinni z wielu względów zamienić się rolami. Ale „pan kamerdyner”, jak go niektórzy nazywają, wydaje się wcale zadowolony z roli wiecznego satelity wielkiego Rodericka Randoma.

– Roderick Random! – wykrzyknąłem. – Nie jest to czasem ten sam człowiek, który był pomocnikiem lekarza przy zdobywaniu Porto Bello?

– Tak, mówią, że upadek Porto Bello przypisuje własnej przemyślności i odwadze.

– Otóż jego właśnie uratowałem od utonięcia, za co poprzysiągł mi dożgonną wdzięczność.

– A więc najlepsza sposobność, aby z nim teraz pogadać. Poślę kogoś z wiadomością, że stary przyjaciel chciałby z nim pomówić. Ej, człowieku! – zawołał, zwracając się do jednego z kręcących się koło nas służących.

– Czy wiesz, który jest pan Random?

– Naturalnie, panie. Wysuszył mnóstwo butelek tu, gdzie wy panowie teraz siedzicie.

– A więc idź natychmiast do niego i powiedz, że bardzo dobry przyjaciel chciałby wypić z nim butelkę wina. – Czy mam powiedzieć kto prosi, panie?

– Nie, idź i powiedz, co kazałem. Roderick Random – rzekł po odejściu posłańca – podejdzie do nas niechybnie. Jest teraz wprawdzie w towarzystwie kilku wytwornych dam, ale zawsze gotów jest porzucić je dla butelki. Poza tym będzie miał wymówkę wobec pani Random, która trzyma go mocno pod pantoflem od chwili, jak go już złapała. Patrz, jak kręci się koło niego ten wysłany sługus. Teraz pertraktuje z nieodłącznym kamerdynerem. Teraz kamerdyner zwraca się do Randoma i oto ten żegna damy i idzie ku nam.

W wystrojonym mężczyźnie, zbliżającym się do nas z tabakierą w ręce i laseczką pod pachą, z trudem zaledwie mogłem rozpoznać człowieka, którego uratowałem wiele lat temu. Ubiór jego był wtedy nader skromny i skąpy, zaś jego właściciel starał się z trudem uzupełniać jakoś swe okrętowe racje, by nie głodować. W rzeczy samej aż nazbyt często korzystał z pozoru opieki nad rannymi na transportowcach

towarzyszących flocie admirała Vernona, aby móc dobrze zjeść.

Widocznie nie poznał mnie, gdyż zbliżywszy się na trzy kroki skłonił się głęboko i rzekł:

– Jestem do waszych usług, panowie. Posłaniec wasz oznajmił, że stary mój przyjaciel pragnie wypróżnić ze mną butelkę wina. Wiedźcie jednak, że Roderick Random nie należy do ludzi, z których można bezkarnie sobie zadrwić. Który z was zakpił sobie, wysyłając do mnie gońca? Już miałem przemówić, gdy ozwał się George Dormer:

– Jest oczywiste, panie Random, że żaden z nas nie pozwoliłby sobie na niegrzeczność wobec kawalera pańskiej godności. Zapewne pamięta pan jednak kapitana Hawkinsa, który ocalił go od utonięcia w Porto Bello?

– Co słyszę, mój zbawca! Dzięki szczęsnej fortunie, która pozwala mi uścisnąć mego dobroczyńcę. – To rzekłszy rzucił się ku mnie, porwał mnie w ramiona i ucałował w oba policzki, po czym zakrzyknął na posługacza: – Hej! Sam tu z flaszką najlepszego wina i to migiem!

Zaprotestowaliśmy mówiąc, że to my zaprosiliśmy go do kompanii, ale nie chciał o tym słyszeć i zwrócił się do swego służącego:

– Strap, powiedz twej pani, że odnalazłem kawalera, który ocalił mi życie, a o którym tak często wspominałem i proszę, by wolno mi było go jej przedstawić.

Strap pobiegł natychmiast spełnić polecenie i widzieliśmy jak pani Random, starsza niewiasta ubrana jak podłotek, przypatrywała się nam przez szkła, a wymieniwszy kilka słów ze Strapem wyprawiła go do Randoma z przychylną odpowiedzią.

Tymczasem przedstawiłem mych przyjaciół i nadmieniłem o sprawach, jakie przywiodły mnie do Londynu. Pan Random zapewnił, że sprawy, te leżą mu bardzo na sercu i mogę liczyć, że o cokolwiek bym poprosił zostanie spełnione, ponieważ on pomówi o tym z ministrem.

Strap powrócił z oznajmieniem, że pani jego będzie niezmiernie rada powitać wszystkich przyjaciół swego męża, wobec czego zbliżyliśmy się wszyscy w towarzystwie pana Randoma i skłoniliśmy się jego małżonce i jej towarzyszkom.

Pani Random przyjęła nas czarująco zapewniając, iż zawsze żywić będzie wdzięczność dla tego, kto ocalił życie jej męża wówczas, gdy z powodu wrogości krewnych zmuszony był opuścić na pewien czas Anglię. Następnie prosiła, byśmy przybyli na raut wydawany przez nią następnego wieczora i żegnając nas przypomniiała Randomowi, by zabawił nie dłużej jak do piątej, jako że małżonkowie mieli o tej godzinie wziąć udział w przyjęciu u lady Turbelow.

Po wielu ukłonach i wyrazach uszanowania powróciliśmy na dawne miejsce, gdzie oczekiwał nas już służący z nową butelką. Wdaliśmy się w rozmowę, podczas której pan Random zabawiał nas, niezwykle interesująco opowiadając o swych licznych przygodach. Prosił nas przy tym, by funkcję lekarza okrętowego na Black Prince'ie powierzyć pewnemu młodzieńcowi skierowanemu do niego z najlepszymi referencjami. Zamierzał wprawdzie wyrobić mu stanowisko pomocnika lekarza na jednym z okrętów wojennych, lecz wedle jego mniemania czułby się on lepiej z nami. Nie szczędził przy tym najbardziej płomiennych słów o przedmiocie sprawności i uzdolnień młodego człowieka.

Prosił, by skierował tego cudownego młodzieńca wraz ze świadectwami do naszej gospody obiecując, iż jeśli będzie nadawał się na to stanowisko, otrzyma je, po czym zaproponowaliśmy, aby pójść na obiad na Folly.

– Och, na Folly! Spelunka odwiedzana przez nowicjuszy albo awanturników. Wolałbym raczej zjeść obiad w jakiejś wytwornej tawernie.

– Nie – sprzeciwił się George Dormer. – Chcę, by kapitan Hawkins zobaczył Folly. Nigdzie nie widziałem podobnej gospody, a mieszane towarzystwo, o którym pan mówisz, raczej przysparza jej uroku. Nieraz bawiło mnie patrzeć, jak osoby zaliczane do najbardziej przyzwoitej i szanownej sosjety zalecały się rozpustnie do niewiast wątpliwej konduity. A co do kompanii, to choć można spotkać tam niejednego rzezimieszka i opryszka, to można także otrzeć się o książąt i lordów.

– Dobrze, niechaj będzie. Ale pozwolicie panowie, że będziecie moimi gośćmi z okazji spotkania mego zbawcy. A teraz przejdźmy się trochę, aby nabrać apetytu na obiad.

Przystaliśmy na to i nie mogliśmy wyjść z podziwu widząc, ile pan Random miał najwytworniejszych znajomości i jak wiele ukłonów i pozdrowień wymienił podczas przechadzki po Mall z bywalcami tego uczęszczanego miejsca.

Gdy mieliśmy właśnie skierować się nad rzekę, rozległy się okrzyki oznajmiające nadejście króla. Tłum gapiów zebrał się, gdy król w asyście księcia Newcastle i kilkunastu dworzan przechodził przez Mall. Jakkolwiek okazywano mu, jak i jego otoczeniu szacunek, widać było, że monarcha nie cieszy się popularnością. W pewnej chwili powstało zamieszanie, gdyż kilka osób spośród tłumu wzniosło okrzyki urągające wojskom heskim i hanowerskim, które król zamierzał sprowadzić do Anglii. Wszystko to wydało mi się niezwykle dziwne, jako że myśląc

o Anglii miałem zawsze na myśli naród, a nie różne partie. Pamiętałem naturalnie o zamachu dokonanym przez Kawalera, ale skoro ustaliła się już przy władzy sukcesja Hanowerska, mój prosty marynarski rozum mówił mi, że wszystkie waśnie już się skończyły i mogliśmy jako naród stawiać jednolity front każdemu nieprzyjacielowi.

Doszły wieści o niebezpieczeństwie grożącym z Minorki, co jeszcze bardziej wzmogło niezadowolenie narodu wobec króla i jego ministrów, a jak objaśnił nas pan Random, w Londynie dawało się odczuć jeszcze dość dużo sympatii do jakobitów.

Król wycofał się wkrótce do pałacu St. James, my zaś, torując sobie drogę wśród tłumu, wsiedliśmy w łódź przy Savoy i ruszyliśmy do pływającego zajazdu i tawerny zwanej się Folly. Tam pan Random zamówił z miejsca oddzielny przedział, gdzie obiadowaliśmy swobodnie, nie mieszając się z resztą towarzystwa, mogąc jednak równocześnie obserwować gości, których różnorodność stanowiła jeden z uroków tej gospody. Początkowo naprzykrzały się nam bardzo kwiaciarki, ale usunął je zrzecznie Strap, trzymający się za plecami swego pana.

Spożywając obiad bawiliśmy się opowiadaniem o przechodzących osobach. Był tam i ksiądz jezuita, i zwykły kieszonkowiec, a obok szlachetnego para – dżokej; zaiste – najdziwniejsza zbieranina, jaką kiedykolwiek oglądałem. Nadszedł wkrótce mężczyzna, będący najwidoczniej ośrodkiem zainteresowania. Zwracał uwagę wyniosłym i dumnym zachowaniem, a rysy jego wydały się znajome zarówno mnie, jak Tomowi i Strapowi. Pan Random nie wiedział, kto by to mógł być, ale Strap wyjaśnił, że jest to słynny rozbójnik drogowy, kapitan Starlight. Natychmiast błysnęła nam myśl, że jest to nie kto inny, jak ów jeździec, który zaatakował nas, gdyśmy wyjechali ze Spustoszonych Wzgórz i którego koń przysporzył nam tyle kłopotów.

Chciałem, nie, tracąc chwili, posłać po oficera straży i kazać go aresztować, ale towarzysze moi odwiedli mnie od tego zamiaru tłumacząc, że zanim znajdzie się straż, kapitan Starlight zdąży się ulotnić i że sprowadzenie strażnika do koncesjonowanej tawerny, jaką była Folly, wywołałoby tylko niepotrzebne zamieszanie.

Kapitan Starlight musiał zresztą czuć się zupełnie bezpiecznie, gdyż miał czelność – przechodząc obok nas – zapytać, dotknawszy kapelusza, jak się nam udał jego rumak i przeprosić za to, że jednego z nas wzięto za niego. Chciałem mu z miejsca dać nauczkę, ale towarzysze z trudem powstrzymali mnie od tego. Skinął nam głową i przeszedł z dumną miną.

Nasz przyjaciel, pan Random, przyjmował nas tak szczerze, że trzeba

było wymówić się innym spotkaniem i pożegnać go, zanim wino uderzyło do głowy. Podawszy Strapowi nazwę naszego zajazdu kazaliśmy się tam odwieźć, czas był bowiem zainteresować się rannym przyjacielem, o którym niemal zapomnieliśmy.

Przybywszy pod Złotego Lwa i zapytawszy o Griffithsa dowiedzieliśmy się, że podniósł się z łoża, oznajmił, iż jest bardzo głodny i kazał sobie podać pieczeń wołową z dzbanem piwa, którym jeszcze się delectuje. Gdy weszliśmy do izby, zaczął besztać wesoło George'a Dormera za to, że osamotnił go na tak długo.

– Głowa boli mnie jeszcze – powiedział – ale za kilka dni i głowa, i bark wygoją się całkowicie.

– Cieszy mnie to, Will, ale odeślę cię do domu, gdyż musi się ktoś tobą opiekować, ja zaś opuszczam za kilka dni Londyn. A teraz ubierz się, załóż rękę na temblak i chodźmy do mojej stryjenki.

Twarz Griffithsa rozjaśniła się i oświadczył, że nic nie mogłoby go bardziej uradować.

– Nie tyle chodzi mu o stryjenkę, ile o jedną z jej pięknych córek – wyjaśnił George.

Podczas wieczoru u lady Dormer, który upłynął bardzo przyjemnie, gospodini i jej córki wносиły pod niebiosa dzielność Toma Merricka i moją, zaś co do Griffithsa, ten – jak myślę – dawałby się chętnie ranić co dzień, byleby zawsze okazywano mu potem tyle troskliwej czułości. George Dormer opowiedział, śmiejąc się, historię pieczeni wołowej i dzbana piwa, na co lady Dormer oświadczyła, że nie chce więcej słyszeć o takich figlach i że Griffiths powinien leżeć u niej w domu, po czym wydała polecenie, aby przygotowano dlań łożo.

Okolo dziesiątej towarzystwo zaczęło się rozchodzić, wobec czego złożyliśmy życzenia dobrej nocy i powróciliśmy wraz z Tomem i George'em pod Złotego Lwa, gdzie George opowiedział nam dalszy ciąg swych miłosnych przygód.

Podczas gdy służył na jednym z okrętów floty śródziemnomorskiej, napotkano na morzu okręt francuski zdobyty przez algierskiego pirata i podpalony. Od kilku rannych, pozostawionych swemu losowi na płonącym statku, dowiedziano się, że piraci wzięli do niewoli pewnego hiszpańskiego szlachcica i jego bratanicę oraz resztę załogi, po czym odpłynęli na południowy zachód.

Okręt jego królewskiej mości, Revenge, na którym George odbywał służbę, ruszył w pościg i dzięki temu, że okręt piracki, doznał uszkodzeń w walce ze statkiem hiszpańskim, został tej samej nocy dognany i padł

łatwo łupem Anglików. Jeńców, wśród których znajdował się znakomity grand hiszpański Don Luis da Sotomayor z bratanicą Doną Juanitą, zabrano wraz z piratami na pokład Revenge. Kapitana statku pirackiego, którym okazał się pewien angielski renegat, powieszono, a jego turecką załogę zachowano dla wymiany na angielskich jeńców pracujących na galerach.

Kilka dni później natknięto się na trzymasztową hiszpańską polakrę płynącą do Cartageny. Przekazano jej Hiszpanów i piratów pod strażą angielskich marynarzy, której przewodził George Dormer.

W czasie podróży do Cartageny i dość długiego tam pobytu George i piękna Juanita przebywali często razem i w końcu tak się w sobie wzajem rozkochali, że George poprosił Don Luisa o jej rękę. Spotkał się z odmową i musiał wkrótce potem opuścić Cartagenę. Dowiedział się jednak od przebywających w tym mieście korespondentów swego stryja, że Don Luis da Sotomayor został mianowany gubernatorem generalnym Wysp Kanaryjskich. Otrzymał także list od pięknej Juanity, w którym donosiła mu, że jeśli by udało mu się to urządzić, gotowa jest w każdej chwili uciec z nim, ponieważ stryj i księża chcą zmusić ją do poślubienia syna Don Luisa, jej kuzyna, którego nienawidziła.

Jeszcze przed otrzymaniem tego listu George zamierzał udać się do Hiszpanii, potem zaś zaczął rozglądać się za sposobem dostania się do Las Palmas i zdecydował, że najlepszą ku temu sposobnością nastęrczał nasz statek.

Rozumiałem go i współczułem mu serdecznie, gdyż mnie samego rozłączono w podobny sposób z Muriel Penmore; zaofiarowałem mu też gorąco swą pomoc. Tom Merrick cieszył się, że wyprawa ta urozmaici naszą podróż, zapowiadającą się ciekawie i awanturniczo.

Następnego dnia, o umówionej godzinie, Sir John zajechał swym powozem i zabrał nas do Admiralicji. Sprawa wydania listu kaperskiego przeciw Francuzom została bez trudności załatwiona. Wystawiono wszelkie potrzebne dokumenty i wpisano w nich moje nazwisko jako kapitana okrętu Black Prince. Uzyskanie pieczęci i wniesienie wymaganych opłat zajęło jeszcze kilka dni, po czym pożegnaliśmy naszych londyńskich przyjaciół i wraz z Tomem Merrickiem i George'em Dormerem wyruszyliśmy w drogę do Liverpoolu. Towarzyszył nam niejaki Donald McAllister, lekarz polecony przez pana Randoma; wykazał się świadectwami, które całkowicie uzasadniały powierzenie mu funkcji lekarza okrętowego.

Przez pierwsze trzy dni podróż przebiegała bez szczególniejszych

zdarzeń, ale wieczorem czwartego dnia przyłączył się do nas jakiś jeździec, mówiąc:

– Dobry wieczór, panowie. Czy pozwolicie przyłączyć się do was?

Było już ciemno, chętnie przeto zgodziliśmy się na jego kompanię, ale gdy nieco później promień księżyca padł na twarz nowego towarzysza, poznaliśmy, że był to stary nasz znajomy, kapitan Starlight, siedzący na tyra samym, znanym nam rumaku. Wyciągnąłem błyskawicznie pistolet, lecz Starlight rzekł:

– Błagam, niech pan się wstrzyma, kapitanie Hawkins. Jestem zupełnie sam i radbym z panem porozmawiać.

– Co uczyniłeś z człowiekiem, którego wysłaliśmy na tym koniu? – spytałem.

– Jest bezpieczny. Oto pismo stwierdzające, że na Spustoszonych Wzgórzach zażądano oddania konia i dano w zamian drugiego. Zmuszono waszego posłańca pod groźbą, by jechał dalej do Liverpoolu, inaczej bowiem byłby niechybnie powrócił do Londynu, aby uwiadomić was o tym, co zaszło. Dostał dobrego wierzchowca i niebawem dotarł bezpiecznie do Liverpoolu. Dałem mu także glejt chroniący przed napaścią na drodze. – To mówiąc, podał mi świstek papieru, gdzie Standen nagryzmolił swe nazwisko na znak, że opowieść kapitana Starlighta była prawdziwa.

Zapytałem kapitana Starlighta, co skłoniło go do szukania nas, na co odrzekł:

– Byłem niegdyś marynarzem i pochodzą z przyzwoitej rodziny, lecz będąc zamieszany w powstanie jakobitów musiałem jać się grasowania po drogach. Nie dbam jednak o takie życie i jeśli zechce mnie pan, kapitanie, przyjąć jako marynarza na swój okręt, nie będzie miał pan nigdy powodu tego żałować.

W zachowaniu jego było coś tak szczerego i otwartego, że obiecaliśmy rozważyć jego propozycję i udzielić mu odpowiedzi po przybyciu do Liverpoolu, dokąd, jeśli chce, może nam towarzyszyć.

Podziękował i oznajmiwszy, że nazywa się Ralf Trevor, usunął się w tył obok Toby'ego, którego podczas nocnej na nas napaści wziął onegdaj za diabła. Przykazaliśmy Toby'emu, aby miał na niego oko.

Dotarliśmy do Liverpoolu bez dalszych przygód i stwierdziłem z radością, że podczas mej nieobecności prace na Black Prince'ie posunęły się rażno naprzód. Po dostarczeniu dział i zapasów oraz przywiązaniu żagli okręt mógł już wyjść na morze.

Przesłane przez Standena listy dotarły do rąk panów Merricka i Floyda.

Sam Standen opowiadał, że wymiana wierzchowca odbyła się w jak najbardziej grzeczny sposób i że otrzymany glejt bardzo mu się przydał, gdy później zatrzymywany był dwukrotnie na gościńcu przez grasantów. Pan Trenal zaś powiedział, że ludzie przysłani przez nas z Londynu dyliżansem okazali się dobrymi marynarzami. Tak więc mieliśmy już załogę niemal w komplecie, licząc tych, których zamustrowałem przed wyjazdem do Londynu, kilku przyjętych podczas mej nieobecności i naszych londyńskich marynarzy.

Następnego ranka wszedł mój gospodarz, Pye, z wieścią, że pragnie mówić ze mną pewien marynarz. Ciekaw, kto by to mógł być, zszedłem zaraz na dół i zastałem Ralfa Travora, który z dziarskiego jeźdźca, jaki towarzyszył nam w drodze, przedzierzgnął się w szykownego marynarza. Oświadczył, iż pragnie, by rumak jego przeszedł w godne ręce i wyraził nadzieję, że spełniając jego prośbę pozwolimy mu zaciągnąć się na Black Prince'a w charakterze prostego marynarza. Wyraziłem zgodę zapewniając, że wierzchowiec zostanie oddany do stajni pana Merricka, gdzie będzie z pewnością dobrze dogładany. Podziękował i powiedział, że werbownicy rozsyłani są teraz na wszystkie strony, trzeba zatem pilnie wyjść na morze, by nie utracić części naszych ludzi, czemu nawet list kaperski nie potrafi zapobiec. Podziękowałem za wiadomość, po czym dałem mu kartkę do pana Trenala, polecając udać się na statek i przystąpić do pracy; sam skierowałem się do kantoru pana Merricka. Dołączył się do mnie George Dormer i wkrótce zaczęliśmy roztrząsać, czy uda nam się spełnić jego plany i uwieźć z Las Palmas piękną Donę Juanitę.

Pan Merrick uznał z początku przedsięwzięcie za niewykonalne uważając, że skończy się ono niechybnie utratą statku i dostaniem się w ręce Inkwizycji, podtrzymującej jeszcze na Wyspach Kanaryjskich swe najgorsze praktyki. George bronił mocno swej sprawy nalegając, by pozwolono mu udać się na ląd łodzią. Zapewniał, że uda mu się wówczas nawiązać kontakt z Doną Juanitą i ułożyć plan jej ucieczki spod straży stryja. Pan Merrick nie chciał nawet o tym słyszeć, gdy wtem pan Floyd w te ozwał się słowa:

– Dlaczegoż nie moglibyście zawinąć przedtem na jakąś inną wyspę, na przykład na Lanzerote, wejść w po siadanie jakiegoś miejscowego statku, obsadzić go waszymi ludźmi, pozostawiając kilku wyspiarzy dla hiszpańskiej mowy i udać się potem na ląd, zatrzymując resztę miejscowej załogi na pokładzie Black Prince'a, jako zakładników na wypadek zdrady ze strony tamtych?

– To znakomity plan! Pewnie, że można by tak zrobić. Jesteś pan chyba

także zakochany? – wykrzyknął George Dormer.

Pan Floyd, stary kawaler, oświadczył, że zapomniał już o tych rzeczach, i że chyba tylko ślepotę miłości przypisać można fakt, iż George nie wpadł sam na tak prosty pomysł.

Przejrzałem następnie listę zamustrowanej załogi. Wraz z Jackiem Jago i jego przyjaciółmi zamustrowano przed moim wyjazdem do Londynu dwudziestu pięciu marynarzy, doszło do nich sześciu, z którymi zawarliśmy znajomość w areszcie i dwunastu zamustrowanych później; licząc także naszego grasanta Trevora, mieliśmy już czterdziestu czterech marynarzy.

– To dość, aby obsłużyć statek – rzekłem – ale za mało, by toczyć bój. Potrzeba, mi jeszcze dwudziestu marynarzy. Jeśli dostałbym grupę takich niewolników, jakich miałem na Elizabeth, mógłbym dać sobie doskonale radę.

George był tego samego zdania. Posłałem go więc na statek dla nadzorowania robot i rozmieszczenia ludzi, sami zaś z Tomem udaliśmy się na rynek w poszukiwaniu odpowiednich niewolników. W tym szczęśliwie nam się powiodło, jako że w ostatnim czasie przybyło z Indii Zachodnich kilka statków, na których uzupełniono Murzynami załogi przetrzebione przez żółtą febrę. Wybraliśmy dwudziestu dorodnych, krzepkich mężczyzn i po dokonaniu aktu zakupu panowie Merrick i Floyd wyrobili im u burmistrza świadectwa zdejmujące z nich brzemię niewoli.

Przy mustrowaniu ich musiałem złożyć następującą deklarację:

„Czyni się wiadomym wszem wobec, jako w miesiącu maju roku tysiąc siedemset pięćdziesiątego szóstego ci oto czarni mężczyźni (tu następowały nazwiska i miejsca urodzenia Murzynów) dobrowolnie zaciągnęli się na okręt Black Prince, zarejestrowany w porcie Liverpool, hrabstwie Lancaster, Królestwie Wielkiej Brytanii, i że z chwilą zdjęcia z nich ciężaru niewoli korzystali w Liverpoolu z przyznanej im wolności pod każdym względem i w całej rozciągłości i mierze, jak każdy wolny poddany tego królestwa, a także jako wymienieni czarni mężczyźni pragną wyruszyć na wymienionym okręcie Black Prince pod rozkazami kapitana Roberta Hawkinsa w zamierzoną podróż okrężną z Liverpoolu do Gwinei i Indii Zachodnich i z powrotem do Liverpoolu.

Co stwierdzam własną ręką w Liverpoolu, tegoż dwudziestego trzeciego dnia miesiąca maja 1756 roku.

ROBERT HAWKINS”

„Wszem wobec, których dotyczyć to może, zaświadczam ja, Stephen Hollis z Liverpoolu, w hrabstwie Lancaster, Królestwie Wielkiej Brytanii,

burmistrz wymienionego miasta, jako w dniu i roku wyżej napisanym stawiał się przede mną we własnej osobie Robert Hawkins i po złożeniu uroczystej przysięgi na Świętą Ewangelię w przytomności mojej zeznał o prawdziwości sentencji wyżej napisanego aktu.

Na wiarę i świadectwo ja, rzeczony Stephen Hollis, na prośbę rzezonego Roberta Hawkinsa przykazałem, aby pieczęć mojego urzędu w wymienionym dniu i roku przyłożona była.

STEPHEN HOLLIS”

Locum sigilli

Po dokonaniu tego udałem się na okręt i stwierdziłem, że do burty dobiły lichtugi z działami i uzbrojeniem. George Dormer rozpoczął właśnie wciąganie ich na pokład i ucieszył się na widok dwudziestu czarnych, których mu przyprowadziłem do pomocy. Jago był w swoim żywiole, rozmieszczając działa. Kazałem mu jednak przerwać robotę i pozostawić ją Johnowi Beerowi, samemu zaś udać się na ląd i zdobyć dalszych dwudziestu ludzi. Nie przewidywałem, aby miał z tym trudności, tym bardziej że mógł już powołać się na nasz list kaperski.

Każdą burtę pokładu głównego uzbroiliśmy siedmiu działami osiemnastofuntowymi, na pokładzie szańcowym i forkasztelu ustawiliśmy dwunastofuntówki, na rufówce zaś cztery sześciofuntówki; na marsach i przy nadburciach rozstawiono gęsto działka obrotowe i hakownice.

Pod energiczną ręką Dormera rzeczy zaczęły wkrótce nabierać ładu i przyzwoitego wyglądu. Wszędzie, gdzie nakazywało doświadczenie, ustawiono stojaki i półki na muszkiety, piki i pistolety. Gdy pod koniec dnia przerwaliśmy prace, byłem już z radością pewny, że za następne cztery, dni będziemy mogli spłynąć w dół rzeki, gotowi do wyruszenia na morze z pierwszym pomyślnym wiatrem.

Na wieść o tym panowie Merrick i Floyd oznajmili, że wygotują dla mnie instrukcje, zaznaczając przy tym, że w wielu sprawach będą musieli pozostawić mi swobodę działania, a szczególnie w przedsięwzięciu dotyczącym George’a Dormera. W gospodzie czekał już Czarny Jack, przyprowadziwszy dwa razy więcej ludzi niż mu kazałem. Spośród nich wybrałem z łatwością garstkę wytrzymałych, zahartowanych mężczyzn i dobrych marynarzy.

Następne trzy dni zeszły nam na przywiązywanie żagli, sztauowaniu ładunku oraz pobieraniu na okręt wody i zapasów. McAllister przygotowywał opatrunki i leki dla rannych. Gdy wreszcie mogłem zameldować o gotowości morskiej statku, George Dormer oświadczył, że

nie widział, by jakikolwiek okręt, nawet jego królewskiej mości, był tak doskonale na wszelkie wypadki przysposobiony.

Gdy już w końcu wszystko było gotowe, postawiliśmy fokmarsel i oddaliśmy wystrzał z działa, co było sygnałem wzywającym wszystkich na okręt, a wkrótce potem wybraliśmy jedną z kotwic, pozostając na drugiej. Pan Merrick i pan Floyd przybyli wraz z przyjaciółmi na pokład, by odprowadzić nas do ujścia rzeki i życzyć nam szczęśliwej drogi. Wiał północno-wschodni wiatr, słońce świeciło żywym blaskiem i wszystko zdawało się wróżyć pomyślną podróż.

Skoro tylko właściciele weszli z przyjaciółmi na pokład, kazałem Dormerowi stawiać żagle i wybrać kotwicę, po czym wykręcając ku liverpoolskiemu brzegowi ruszyliśmy w dół rzeki pod ustający prąd przypływu, pod kliwrami i marsłami, holując obsadzoną łódź wiosłową, mającą odwieźć na brzeg naszych gości.

Ponieważ wiał pomyślny baksztag, nie zamierzaliśmy rzucać kotwicy za ujściem rzeki. Pan Merrick, przemówiwszy krótko do załogi i życząc nam wszystkim szczęśliwej podróży, wręczył mi rozkazy i instrukcje, po czym przepił do nas na drogę i opuszczając pokład zalecił mi opiekę nad synem i ostrożność w przedsięwzięciu porucznika Dormera. Stanęliśmy w dryf i podciągnęliśmy łódź, by wysadzić gości, gdy ta zaś odbiła, posłaliśmy ludzi w olinowanie i na reje, wznosząc trzykrotne „hurra!” i oddając salwę pożegnalną z głównych dział.

Potem rozkazałem postawić wszystkie żagle, wstąpić wachcie morskiej i wziąć kurs na pełne morze. Gdy to wykonano, obszedłem okręt, bacznie wszystko lustrując, a następnie – zleciwszy wachtę Trenalowi – zebrałem w salonie Dormera, Merricka i lekarza i odczytałem wręczone mi instrukcje, które brzmiały następująco:

„Liverpool

KAPITAN ROBERT HAWKINS

Będąc gotowy do wyruszenia na morze na okręcie Black Prince, mającym na pokładzie ładunek zgodny z załączonym konosamentem, podniesiesz pan żagle przy pierwszej pomyślnej sposobności i skierujesz się najdogodniejszą drogą do Wysp Kanaryjskich. Dokąd przybywszy, jeśli wyrozumiesz, iż bez zbyt wielkiego ryzyka będziesz mógł dokonać przedsięwzięcia, powinienes dołożyć wszelkich starań, by wesprzeć porucznika George’a Dormera, pełniącego teraz obowiązki twego pierwszego oficera, w zamiarze uwięzienia z Las Palmas jego damy, Doni Juanity da Sotomayor. Jeśli wyprawa się powiedzie, albo gdy

pomiarkujesz, że jest ona zbyt ryzykowna, udasz się najdogodniejszą drogą do wybrzeży Afryki Zachodniej, gdzie wymieniać będziesz ładunek na niewolników, kość słoniową, drzewo kambi i inne artykuły, jakie mogą przynieść korzyść wedle twego rozumienia. Nie zalecamy ci kupować niewolników bardzo starych, jako też i bardzo młodych, eksperienca bowiem uczy, iż nie przynoszą tacy korzyści; a skoro przybędziesz na wybrzeże, pierwszą twą powinnością będzie wywiedzieć się, wiele towarów dają statki za jednego niewolnika, którą wiadomość uzyskać możesz od deputowanego królewskiego rezydencję na terenach handlowych mającego, zważaj jeno, byś zawsze wprzód pomyślał, zanim słowo wypowiesz, jako że łącznie zamiary swe odkryć możesz osobie, od której wywiedzieć się pragniesz. Bacz szczególnie na obietnice, jakie czynić będziesz kupcom czy urzędnikom królewskim czy czarnym, z którymi interesy prowadzić ci przyjdzie, nigdy takowych nie zwódź i opuszczaj każde miejsce w Afryce takim sposobem, aby krajowcy radzi byli powitać cię za powrotem. Spory częste pomiędzy czarnymi kupcami a kapitanami statków przez to powstają, że zmawiają się oni co do ceny, po jakiej niewolników nabywać mają; w takie umowy się nie płacz i zgola w takiej materii ucha chętnego nie dawaj, wyruszasz bowiem do Afryki, aby wieść handel na kondycjach, jakie by najdogodniejsze były w egzystujących okolicznościach i jak najlepiej ładunek twój sprzedać, nie zaś by go marnować. Trzeźwą głowę zawsze zachowuj i im moderację większą wykażesz, tym lepiej to będzie dla twych armatorów i dla zdrowia twego; połowa kapitanów w Afryce umiera z przyczyny swego nieumiarkowania; ci co najmniej piją wina i innych trunków odurzających, a najwięcej herbaty i kawy, najsprawniejsi są w interesach i klarowny umysł zawsze posiadają. Nie masz miejsca w Afryce, gdzie by czarni kupcy rychło nie przejrżeli słabości człowieka, z którym handlować im przychodzi. Skoro od początku ludzi miernych nabywać będziesz, zawsze potem tylko takich pokazać ci zapragną, a jeśli dojrzysz człowieka głowę ogoloną mającego, upewniony bądź, iż jest on stary i osiwiwały dorosłego czy młodego kupując bacz, by miał dobre nogi, szeroką pierś, szyję nie za krótką i proporcje wedle wieku należne. Zwyczaj tam panuje takowy, że po zakończeniu handlu wypłacić się musisz agentowi twemu lub królewskiemu urzędnikowi, gwoli usług jakie ci wyświadczył, na taką okazję zważaj, byś miał zawsze towary w zapasie także miarkuj jak wysługi opłacasz, między białymi i czarnymi powinno rozróżnienie dając. O zapasie wody na podróż z Afryki do Indii Zachodnich pamiętaj, baczenie dawaj, by niegodnie nikt z twej załogi traktowany nie był, jakoż

by nikt z twojej załogi pod pozorem żadnym surowo niewolników nie traktował. Od początku podróży spokój i zrównoważenie zachowuj, złej i krzykliwej mowy do załogi twojej nie praktykuj, bacz jeno, aby poznali, że jesteś kapitanem statku, co postanowione zostało i pozostać ma w mocy; waśni i sporów w czasie podróży unikaj, klnący i krzykliwy nigdy dobrym przywódcą być nie potrafi, pijak jakiego by autoramentu czy na lądzie, czy na morzu zaledwie obowiązki oficera, a zgoła nawet zwykłego marynarza spełniać może, a tym więcej kapitanowi to nie przystoi, któren świecić dobrym przykładem oficerom swoim i załodze jest powinien. Odwaga z przymusu jeno okazywana szaleństwu jakowemuś jest podobna, prawdziwej natomiast odwagi najpewniejsze źródło w umiarkowaniu i religii upatrywać winienes. Niesposobny do wszelakich interesów człowiek, co chłodnego i jasnego rozumu zachować nie zdolen. Idź z trzeźwą głową na spoczynek, a wówczas ranek sprawnym do załatwiania jakich by to spraw cię zastanie. Jeśli oficerowie twoi zachowanie okazują przeciwne mniemaniu twemu, nie przystoi karcić ich cielesnie czy niskimi wyzwiskami na oczach twojej załogi obrzucać, gdyby z takowych jaki w mocnych trunkach szczególne upodobanie znachodził czy w inny jaki sposób prowadzeniu swemu uwłaczał, do kabiny twojej go przywołaj i tam pouczenia stosownego udzielaj. Służba na okręcie wykonywana być może i musi bez tyraństwa wszelakiego, tudzież mowy gminnej a hałaśliwej. Człowiek komendę na statku w podróży do Afryki trzymający, źle czyni, każdego słowa wysłuchując, jakie na pokładzie jest powiedziane. Na rufie pozostawaj, gdzie twoje miejsce, z którego na cały twój statek baczenie dawać możesz. To sobie za cel staw, aby oficerowie twoi zadowoleni byli i nie wadzili się z sobą, nigdy do poufałości z żadnym z nich nie dopuszczaj, dobre obyczaje zachowując wobec wszystkich, choćby i zwykłych marynarzy czy lądowych szczurów. Wstawaj rano o rychłej godzinie i niech cię nigdy światłość dzienna w łożu nie zastanie, na pokład wynijdź, cały statek obejdz i w górę spójrz, jakie żagle stoją, potem do kabiny zejść możesz i zanim śniadać ci przyjdzie lekturą czy pisaniem zająć się możesz, jeśli aura sprzyja, a jeśli przy rannym wyjściu na pokład zauważysz uchybienie czy nieporządek jakowyś, tedy nie wyklinaj i rumoru nie czyn, jeno oficera wachtę trzymającego zawołaj i co jest źle mu wyjaśnij. Gdybyś zmiarkował, że na statku gorące i niespokojne głowy się znajdują, bacz, abyś tym więcej w zgodzie żył z oficerami twymi, niechaj zapisują w dzienniku okrętowym wszelkie wypadki złego sprawowania się którego bądź członka okrętowej kompanii. Ręce przy sobie trzymaj, nie bij ni młodszych, ni starszych

marynarzy, nad sobą zawsze panuj, spokój i trzeźwość we wszystkich sprawach zachowuj, odważny bądź, w pamięci mając, iż rozważny nigdy strachu nie okazuje i dobrze ludzi swych traktuje. Jeśli choroba choć najędzniejszego z ludzi na statku twym nawiedzi, jak bratem się nim zatroszcz, wina mu nie skąpiąc (którego sam ponad miarę nie używaj), białym czy czarnym jednako się opiekuj. Wszędy w Afryce kupcowie wysiłki czynić, będą, aby takim lub innym sposobem humory a słabości twoje poznać, dlatego bacznie się pilnuj, niechaj mówią, co pragną, nie okazuj złości i takie odpowiedzi dawaj, których radzi słuchać będą, a oszukiwać się nie pozwalaj, zdanie swoje od początku handlowania zachowując, jeśli kłopotów do końca podróży oszczędzić sobie zyczysz. Drobnie upominki szacunek ci zyskają, jeśli roztropnie dawać je będziesz, wprzódę się wywiadując, komu zacz je dajesz, albowiem Afrykańczycy zawsze więcej przyrzekają niż uczynić mają zamiar, przeto na podstępny ich wziąć się nie zgadzaj. Nigdy nie zaniedbuj, aby okręt twój w czystości był utrzymany tak na pokładzie, jako i pod nim, na który cel jeden dzień w tygodniu naznaczaj w porze poobiedniej, w sobotę albo też w środę, co w dzienniku okrętowym przez cały czas podróży zapisane być powinno i takiego porządku nigdy nie zaniedbuj, chyba by aura niefortunna w tym ci przeszkodę uczyniła, na który przypadek następny sprzyjający dzień naznacz i w diariuszu okrętowym zapisać nie omieszka, dlaczego czynności tej w oznaczonym dniu zaniechano. Pilnuj, by prowizji okrętowych na marnotrawstwo nijakie nie wystawiano, skromnie ich używaj, nie wiesz bowiem jak długo podróż twa zamorska trwać będzie, oszczędzaj na początku, a nie spotka cię niedostatek przy końcu, jak to często zachodzi. Zważaj, by załoga twoja ochędóstwa przestrzegą, w niedzielę umyta, ogolona i czysto odziana będąc, jakoż w ten dzień niechaj innej pracy nie spełnia kromie tej, jakiej wiatr a morze wymagać będzie. Żeglując do afrykańskiego lądu zawsze na zachód, wedle długości geograficznej wyspy Madery się trzymaj, starannie szerokość swoją wyliczaj i bacz, byś nie niósł licznych żagli w nocy, skoro w pobliżu Wysp Zielonego Przylądka się znajdziesz; wiele statków zginęło tam przez nieostrożność swych kapitanów, w nocy za mnogie żagle na masztach niosących. Dodawaj żagle, jeśli już mimo Wysp Zielonego Przylądka przepłyniesz, póki znów z dala od nich na pełnym morzu nie będziesz, a w nocy sonde wypuszczaj, w pamięci zachowując, że najlepszy nawet nawigator pewnym na morzu być nie może, kiedy sonde, szerokość i baczenie dokoła siebie zlekceważy. Bardzo kiepską dla ubezpieczycieli ekskuzą będzie, gdy powie im marynarz, że nie sądził się być tak blisko

ładu, lub że zrobił zwrot myśląc, że statek jest już o trzysta mil dalej. Ludzie co poniekąd, wielce górne o sobie mniemanie mając, tuszą, że wszystkie mądrości posiadli, marynarze wiedzą zwyczajnie tako niewiele jak inni, przeto pamiętaj odczytywać te słowa za każdym razem na morze wychodząc i w każdą niedzielę potem rano. Rychło pojmiesz, że w każdej zamorskiej podróży czegoś nowego się nauczysz, czego przedtem nie wiedziałeś, podobnie i z każdym rokiem na ładzie przeżytym coś nowego i nieznanego przytrafić ci się może, jako i innym ludziom przed tobą się trafiało.

Część ładunku w belach mając szczególnym baczeniem otaczaj, by w czasie podróży szwanku nie doznał, wiadome ci być powinno, jak dalece marynarze uwagi zachowywać nie zwyczajni, choćby i o ich własny dobytek chodziło, a kubel jeden wody na belę towaru wylany zagrzać ją i zgoła popsować może. Wszystko na statku pod twoją pieczęcią się znajduje, oficerów przeto twoich nie potępij, że baczenia należytego nie dają. Każdego wieczora przemyśl co następnego dnia robić ci przyjdzie, do jutra takowej czynności nie odkładając, bo każdy dzień pod gołym niebem spędzony nową robotą przynosi; pokład każdego ranka zmywać przykazuj, by zaś wysechł, zanim niewolnicy nań wstąpią. Tych posiłki starannie przyrządzone być mają, a wymiarkowaniem i postanowieniem ceny sprzedażnej niewolników czy to na Barbados, czy na Jamajce supercargo zająć się powinien. Zważ, iż chociaż list kaperski przyzy ci, jako korsarzowi, brać dozwala, tego za główny cel twojej podróży nie uważaj, dopóki niewolników w jakim porcie Indii Zachodnich nie wyładujesz, gdzie także i innego ładunku się zbyć staraj, jeśli dogodna nadarzy się sposobność, abyś go do tego samego portu mógł zabrać. Nie bez tego wszakże, skoro pomyślny traf pozwoli, byś i przedtem brać przyzów nie miał, baczenie dając, aby nierozważnie załogi twojej nie osłabić. Ćwiczenia należyte z ludźmi w rychtowamu dział i użyciu mniejszej broni odprawuj i porządku zawsze pilnuj. Na śmierci twojej wypadek pierwszemu oficerowi, panu Dormerowi, przykazujemy objąć po tobie komendę, po nim zaś pan Trenal ma nastąpić, zawsze z szacunkiem rady i wskazówki supercarga, pana Merricka, przyjmując. Tuszymy, że podróż twoja szczęśliwą i pomyślną będzie, korzystną dostawę ładunku przynosząc, i że wszyscy w bezpieczeństwie i dobrym zdrowiu do rodzin swych powrócicie. Kreślimy się waszmość pana oddanymi przyjaciółmi

MERRICK & FLOYD”

– A więc, panowie – rzekłem – wysłuchaliście naszych instrukcji. Ty,

Merrick, znasz życzenia właścicieli co do tego, jakie porty mamy odwiedzić i jak postąpić mamy wobec innych statków firmy. Myślę, że będziemy mogli przejąć od nich niewolników, by przyspieszyć wyruszenie do Indii Zachodnich. Będąc tak silni możemy nawiązać stosunki z kupcami, wolnym handlem w Sierra Leone się trudniącymi, i być może uda nam się dobić tam jakiego korzystnego targu.

– Ojciec mój – rzekł Merrick – jest, jak wiem, zbyt ostrożny, by zalecać wdawanie się z ludźmi praktykującymi proceder w Sierra Leone, a których teraz za piratów się uważa. Wiecie jednak dobrze, że ani on, ani pan Floyd nie mają nic przeciwko uczciwemu zarobieniu każdego grosza. Może napotkamy wśród kupców uprawiających wolny proceder jakichś uczciwych ludzi, zmuszonych trudnić się nim wskutek ich lojalności względem Stuartów, tak jak na przykład nasz przyjaciel Ralf Trevor, którego jak utrzymuje, podobne względy na gościniec wyгнаły – Co do mnie – powiedział Dormer – dziwię się panom, że zamierzacie wdawać się w interesy z piratami. Wszyscy oni powinni wisieć.

– Och! – odrzekłem – myślisz pan o piratach północnoafrykańskich, naśladowcach Kidda i jemu podobnych na morzach hiszpańskich. Wolni kupcy z Afryki Zachodniej, a w każdym razie ci spośród nich, którzy są Anglikami, to co innego. Nigdy nie słyszano, by napadali rodaków, przeciwnie, zawsze udzielali pomocy statkom brytyjskim napadniętym przez cudzoziemców. Co najwyżej pozwalali sobie wobec nas na godziwe uzupełnienie swych potrzeb, wymuszając niekiedy wymianę towarów, co prawda cennych, lecz niełatwych do zdobycia. Podobno wielu jakobitów kręci się teraz u wybrzeży afrykańskich.

– Zrobicie, jak wam się wyda. Lepiej pójdźmy teraz na pokład i przygotujemy okręt na noc, gdyż jeśli mnie oko nie myli, niedługo zacznie dąć, a trzeba zwracać uwagę na nie wytrzymały takielunek, który pod wiatrem wyciągać się będzie.

– Słusznie, panie Dormer. Wezwij wszystkich na pokład, skróć żagle do głównych i marsli, a potem każ ludziom zająć stanowiska bojowe.

Przygotowania szybko zakończono, po czym obeszlśmy ludzi przy działach. Rad byłem, że zaokrętowaliśmy dwudziestu czarnych, dzięki czemu dość było ludzi do obsługi żagli i manewrów we wszystkich okolicznościach, bez potrzeby odwoływania kanonierów od armat.

Przejrzawszy wszystko zarządziłem zmianę kursu na południe i z zapadnięciem zmroku właściwe żagle były już podniesione. Udałem się na spoczynek w radosnym przekonaniu, że – na ile można było sądzić – podróż zapowiadała się pomyślnie.

Od następnego ranka, idąc za radą Dormera, ćwiczyłem co dzień ludzi w obsłudze dział, wykonywaniu zwrotów przez dziób i przez rufę oraz we wszelkich manewrach mogących przydać się w boju. Doglądaliśmy także należytego umocowania sieci abordażowych, opatrywaliśmy topenanty i brasy, przekładaliśmy sztagi i paduny smołowanym kabelgarnem, słowem czyniliśmy wszystko, co nakazywało doświadczenie, by jak najlepiej przygotować Black Prince'a na spotkanie każdego nieprzyjaciela. Przygotowaliśmy się także na wypadek pożaru, ucząc czarnych żeglarzy, co mają robić, gdy trzeba będzie gasić ogień podczas walki. Wszystko to zajęło nam trochę czasu. Wkrótce po minięciu wysp Scilly napotkaliśmy wiatr południowo-zachodni. Z początku mogliśmy przeciw niemu halsować, ale niebawem wzmógł się tak dalece, że trzeba było skrócić żagle. Po pewnym czasie statek nie mógł już wykonać zwrotu ani przez dziób, ani przez rufę i byliśmy zmuszeni zwinąć żagle rejowe i iść dalej pod fok i grotstakslami, a nawet sprzątnąć stengę bukszprytu i bramreje oraz obrasować szprytreję wzdłuż statku.

Przez cały dzień nie mogliśmy odkryć luków ani rozpalić ognia, potem jednak sztorm osłabł i wiatr wykręcił na północny zachód, co pozwoliło znów położyć się na kurs. Zamierzałem podejść do przylądka Finisterre, aby mieć pewną pozycję wyjściową do dalszej żeglugi, zniosło nas jednak tak bardzo na wschód, że znaleźliśmy się uwięzieni w Zatoce Biskajskiej i północne wybrzeże Hiszpanii odkryło się około dziewięćdziesięciu mil na zachód od spodziewanego miejsca. Skierowałem statek pod wiatr, by podciągnąć jeden hals na północ i zaledwie uszliśmy na tym kursie około dwunastu mil, gdy marynarz na oku zameldował żagiel przed dziobem po podwietrznej.

– Jak daleko?

– Pod tą czarną chmurą, kapitanie. Nie jest bardzo duży.

Rozkazałem odpaść trochę od wiatru i wkrótce zbliżyliśmy się do nieznanego, który okazał się sporym trzymasztowym lugrem. Gdy spostrzeżono na luguże, że nań idziemy, statek odpadł także od wiatru i dodał żagli, ale że szła dość duża fala, podeszliśmy wkrótce na zasięg strzału działowego. Kazałem podnieść angielską flagę i wystrzelić z działa na znak, aby obcy statek stanął w dryf.

W odpowiedzi lugier podniósł flagę Francji i zamiast skrócić żagle postawił marsie i przez chwilę wydawało się, że oddala się od nas. Jednak wkrótce potem dmuchnął potężny szkwał, łamiąc mu grotreję, co pozwoliło nam minąć go szybko. Widząc to lugier spuścił flagę bez oddania strzału, mimo że był dobrze uzbrojony.

Podszedłem doń na bliską odległość po nawietrznej i krzyknąłem, aby wszyscy ludzie zeszli pod pokład, gdyż inaczej otworzę ogień, obawiałem się bowiem zdrady. Po czym spuściliśmy łódź i posłaliśmy Dormera, by objął statek w posiadanie. Niełatwo mu było podejść do burty, ale w końcu zdołał tego dokonać i wspiąwszy się na pokład i ustawivszy strażę przy lukach kazał kapitanowi wyjść na pokład z papierami. Okazało się, że statek nazywał się Saint Pierre i płynął z Bordeaux do Senegalu z ładunkiem wina, żywności i drobnicy.

Kazałem przeokrętować Francuzów na Black Prince'a, a na lugier posłałem załogę przyzową pod dowództwem Trenala. Złamaną reję Dormer kazał naprawić bezzwłocznie po przybyciu na statek i wkrótce oba statki podniosły żagle i ruszyły w drogę.

Kapitan francuski, Jean Amarre, zeznał, że przebywał na morzu piąty dzień od wyjścia z portu. Wydawał się zupełnie załamany z powodu utraty wolności i statku, jako że był jego współwłaścicielem, ładunek zaś stanowił w większości własność jednego z jego braci. Współczułem mu, ale jednocześnie nie posiadałem się z radości, że już na samym początku podróży udało nam się zdobyć tak cenny przyz; ładunek wymieniony w manifeście przedstawiał bowiem znaczną wartość. Załoga statku liczyła ogółem szesnastu ludzi. Zrobiliśmy dla nich miejsce w głównej ładowni, zaś kapitanowi Amarre i jego pierwszemu oficerowi, Guillaume'owi Boudin, pozwoliliśmy zamieszkać w naszym salonie.

Gdy uporaliśmy się z tym wszystkim, wiatr wykręcił ku wschodowi, dzięki czemu wzięliśmy kurs wprost na Finisterre, dokąd przybyliśmy następnego ranka. Odbyliśmy z George'em Dormerem i Tomem Merrickiem naradę co do tego, jak postąpić z gryzem. Uznaliśmy, że najwłaściwiej byłoby skierować go do dyspozycji władz w jednym z angielskich portów. To pociągnęłoby jednak za sobą osłabienie naszej załogi, co nie byłoby dla nas korzystne w tak wczesnym okresie podróży, zwłaszcza że trzeba by obsadzić lugier silną załogą, zdolną stłumić w zarodku wszelkie próby ponownego opanowania statku przez Francuzów, których musielibyśmy na nim odesłać.

Nim powzięliśmy decyzję, George Dormer ozwał się w te słowa:

– Znalazłem sposób na nasze trudności i choć nie będzie on zbyt formalny, na pewno wszystkich zadowoli.

– Rad byłbym usłyszeć, jaki to sposób pan proponujesz.

– Sposób jest taki. Jeśliby do Las Palmas wszedł nasz okręt, niechybnie obudzilibyśmy podejrzania. Proponuję zatem, abym wszedł tam na Saint Pierze obsadziwszy go francuską załogą i częścią naszych ludzi, udając, że

statek zaszedł po wodę. Potem postaram się skomunikować w jakiś sposób z Doną Juanitą i sprowadzić ją na pokład, po czym wyjdę natychmiast, aby się z wami połączyć.

– To byłby niezły sposób, ale Francuzi wydadzą was z pewnością.

– Nie sędzę. Obiecuję im bowiem, że odzyskają potem wolność.

– Tak, to dobre dla pana, Dormer, ale pamiętaj, że załoga nasza nie zechce pozbawić się udziału w przyzbie. Ja chętnie zrezygnuję ze swojej części i Merrick zapewne uczyni to samo, a co do udziału jego ojca i pana Floyda mógłbyś to z nimi załatwić bez trudu.

– Sprawę tę załatwię natychmiast. Wezmę na siebie całą wartość przyzu i wszyscy ludzie otrzymają należną im część z rachunku mego stryja; to samo dotyczy będzie i pana, kapitanie, i pana Merricka, a i właścicielom powetuję naturalnie ich udział.

– Ależ, chłopcze drogi, to jest duża suma. Sam Saint Pierre wart jest chyba blisko tysiąc funtów, a jego ładunek, jak sądzić z konosamentu, dwa razy tyle.

– Nie zapominajcie, że pod Ansonem nie służyłem za darmo. Mój ojciec zaś był starszy od Sir Johna i otrzymał większą część rodzinnego majątku, a i majątek mej matki nie był mały.

– Być może, że bogaty z was człowiek, ale zawsze trzy tysiące funtów to duża suma.

– Powiadacie, kapitanie, że miłujecie niewiastę. Czy poskąpilibyście fortuny, by poślubić pannę Penmore?

– Nie pożałowałbym na pewno, gdybym ją miał.

– Tak więc, kapitanie, zapłacę chętnie te trzy tysiące funtów, a ponadto opłacę oddzielnie ludzi, którzy pomogą mi w przedsięwzięciu.

– A zatem dobrze, daję przyzwolenie i tuszę, że i Jean Amarre nie będzie się sprzeciwiał, jako że mu to po drodze do Gore.

– Jeśli pan się zgadzasz, sam omówię z nim warunki. Ale wydaje mi się, że idziemy zanadto na wschód, będąc na waszym miejscu wziąłbym kurs na Maderę.

– Dobrze, oznaczę pozycję okrętu na mapie, a potem wykreślę kurs.

Gdy po dokonaniu tego wyszedłem na pokład, zastałem Dormera rozmawiającego z Ralfem Trevorem. Podeszedł do mnie mówiąc, że Trevor ma mi oznajmić coś ważnego.

– O cóż chodzi? – spytałem. – Czyżbyś podczas rozboju na drogach praktykował także uprowadzanie młodych niewiast?

– Niezupełnie, kapitanie. Zechce pan wiedzieć, że nie znalazłem się na gościńcu z upodobania, lecz z konieczności, ale nie o to chodzi. Ojciec

mój, właściciel ziemski, zmuszony był jako stronnik naszego prawowitego monarchy emigrować do Francji. Pomimo mego młodego wieku powierzono mi przewożenie ważnych wiadomości pomiędzy Francją i Anglią. Po śmierci ojca zacząłem służyć na morzu i przez pewien czas dowodziłem statkiem podobnym do tego, jakiś pan zdobył; wiele razy umknąłem przed okrętami Hanowerczyków, sprawujących teraz rządy w Anglii. Po wycofaniu się z Derby pomagałem przetrzącać do Francji wielu zwolenników Kawalera, utrzymując łączność z agentami czcigodnego Sir Johna Dormera. Mniej więcej przed czterema laty utraciłem statek przy wybrzeżach Kentu, a potem z ramienia komitetu londyńskiego, ustanowionego przy dworze w St. Germain, utrzymywałem łączność z wielu częściami królestwa. W akcji tej korzystałem z usług niektórych „rycerzy gościńca”, a gdy służba moja dla jakobitów się skończyła, przystałem do nich, nie wiedząc, co dalej ze sobą począć. Ale to ciężkie i niebezpieczne życie, i rad jestem, że mogłem je porzucić.

– Cieszę się – odparłem – żeś wrócił do uczciwego życia, ale nie widzę, jaki by to miało związek z naszymi sprawami.

– Niezupełnie do uczciwego, panowie, gdyż pomiędzy rozbojem na drodze a korsarstwem na morzu nie widzę wielkiej różnicy.

– Wolne żarty! Ja biorę tylko własność nieprzyjaciół dostojnego monarchy, jego królewskiej mości Jerzego II, oby Bóg go błogosławił.

– Zapewne, panie. Ja zaś ściągałem daninę z wrogów króla przebywającego na wygnaniu.

– Cięty masz język – zauważył Dormer – jeno powiedz kapitanowi Hawkinsowi to, coś mi rzekł przed chwilą.

– A więc, kapitanie, chodzi o to: Znam dobrze mowę francuską i mogę parlować z tymi żabojadami w ich własnym języku. Gdy dowodziłem statkiem Prince Charlie, miałem w załodze wielu Francuzów. Gadałem z wziętymi do niewoli marynarzami siedzącymi w ładowni i tak się składa, że niektórzy z nich pochodzą z Wysp Normandzkich i uważają się za Anglików, chociaż nie znają ni słowa naszej mowy. Ci dopraszają się, aby przyjąć ich w skład naszej załogi. Myślałem przeto, że jeśli byś pan, kapitanie, chciał przychylić się do ich prośby, to ja z pół tuzinem tych ludzi mógłbym przydać się na przyzie, jako że, z przeproszeniem, wasi marynarze z pełnorejowców niewiele znają się na manewrowaniu tymi małymi statkami, a statek taki może oddać nam liczne usługi.

– To, co mówisz, jest prawdą, ale któż mi zaręczy, że nie zechcesz drapnąć wraz z nimi na Saint Pierze?

– Klnę się na Boga, panie, że tego nie uczynię. Przy tym będzie nas

tylko siedmiu, a wasz pierwszy oficer i dwunastu ludzi, jakich ma ze sobą, byłiby dla nas nie lada przeszkodą, gdybyśmy chcieli okazać taką nielojalność.

– To mi wystarczy. Rozważę, coś mi powiedział, ale pamiętaj, ani słowa o tym jeńcom.

Ralf Trevor odgarnął kosmyk z czoła gestem prawdziwie marynarskim i odszedł z rufy, ja zaś przywołałem na naradę Toma Merricka i spytałem jego i Dormera, co myślą o propozycji Trevora.

Merrick oświadczył, że dzięki temu pomysłowi moglibyśmy skutecznie plan porwania ukochanej George'a bez tracenienia przyzu; nie istnieje prawo, które by zabraniało prowadzenia ze sobą przyzu tak długo, jak nam się podoba. Saint Pierre będzie dla nas na pewno bardzo pożytecznym statkiem pomocniczym u wybrzeży Afryki.

– Dormer wraz z tym hultajem Trevorem i normandzkimi wyspiarzami będzie udawać załogę francuską, my zaś będziemy pozorować, że ścigamy lugier aż do reddy Las Palmas i dajemy za wygraną tylko z powodu bliskości baterii fortecznych. W ten sposób przybycie tam Saint Gierre'a nie wzbudzi podejrzeń, a my dowiemy się przy okazji, jakie francuskie statki przechodziły ostatnio w drodze do Gore, co ułatwi nam, być może, zdobycie w pobliżu wysp jakiegoś dobrego przyzu.

Zgodziłem się z tym w zupełności, miałem jednak nadal zastrzeżenia, w jakim stopniu możemy zaufać Trevorowi.

George Dormer rzekł:

– Trevor wydaje się być bez skrupułów, ale jest w nim coś, co wzbudza zaufanie. Póki jest z nami, trudno mu będzie splatać jakiegoś figla, a w Las Palmas możemy kazać go na przyzie pilnować, uprzedzając, że najmniejsza próba dwulicowości będzie go kosztowała życie.

Zdecydowałem, że nie ma potrzeby uświadamiać Trevora co do planów porwania Doni Juanity, a zaokrętowanie go wraz z Normandczykami na przyz to plan dobry, gdyż jeśli istotnie dowodził podobnym lugrem, to może oddać nam duże usługi, bowiem Trenal, choć dobry marynarz, nie miał nigdy do czynienia z małymi statkami.

Obaj moi przyjaciele przyznali mi słuszność, wobec czego rozkazałem wyprowadzić jeńców na pokład, aby Trevor mógł wybrać spośród nich ludzi pochodzących z Jersey.

Jean Amarre widząc, że oddziela się ich od reszty, odgadł, co się święci i wybuchnął potokiem obelg, wyzywając ich od „świń, łajdaków i przeklętych kanalii”. Wraz ze swym pierwszym oficerem i rdzennymi Francuzami spośród załogi, obrzucił ich najbardziej obelżywymi

epitetami, jakie mógł wygrzebać w marynarskim słowniku. Nie zwracałem uwagi na jego wymysły uważając, że najlepiej pozwolić mu się wygadać. Nie tylko się jednak nie uspokoił, lecz dając coraz większy upust swej pasji, zapomniał się w końcu tak dalece, że zszedł z rufówki na pokład szanćowy, gdzie zebrani byli ludzie, i rzuciwszy się ku mnie byłby mnie niechybnie uderzył, gdyby stojący obok Czarny Jack, odgadując jego zamiar, nie chwycił go za kark i nie cisnął na pokład.

Widząc go tak leżącego nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, była to bowiem nadzwyczaj zabawna figura. Leżał wrzeszcząc z wściekłości, w pomiętym surducie i pantalonach rozerwanych od potężnego chwytu Czarnego Jacka, przewalając się z boku na bok i usiłując powstać. Pierwszy oficer, Boudin, i kilku członków francuskiej załogi postawili w końcu na nogi nadal drącego się wniebogłosego kapitana. „Tchórze, angielskie bydlaki, wielka mi naród!” – krzyczał, a słowa płynęły z jego ust niby burzliwy potok.

Trwało to już za długo, kazałem więc Trevorowi zapowiedzieć mu, że jeśli nie przestanie, to każę zamknąć go wraz z Boudinem w odosobnieniu, za co powinien być mi tylko wdzięczny. Na to uspokoił się i zaczął naprawiać uszkodzoną odzież. Załoga nie zdawała się bynajmniej podzielać wzburzenia swego kapitana. Dowiedziawszy się, że towarzysze pochodzący z Wysp Normandzkich zostaną uwolnieni i włączeni do naszej załogi, wszyscy niemal oświadczyli, że także pochodzą z tych wysp. Ralf Trevor, znając dostatecznie dialekty francuskie, upewnił się jednak, że prawdziwymi wyspiarzami byli tylko ci, których wybrał.

Po zakończeniu selekcji jeden z wybranych ludzi, nazwiskiem Jacques Legrand, oznajmił, że ma dla nas ważną wiadomość. O ile mu wiadomo – powiedział – Amarre wiezie jakieś ważne dokumenty dla francuskiego gubernatora w Gore, ukryte w obudowie steru na Saint Pierze.

Posłałem po Amarre'a i spytałem, czy wiadomość ta polega na prawdzie. Zaprzeczył temu gwałtownie, mówiąc, że takiemu jak on człowiekowi nie powierza się tak ważnych papierów; zaklinał się na wszystkich świętych, że mówi prawdę. Ralf Trevor radził, aby go nie pytać, gdyż wie, gdzie chowa się podobne dokumenty, jako że sam miał z tym wiele do czynienia i że jeśli mu pozwolę, będzie tak długo grzebać, aż je znajdzie.

Wyraziwszy zgodę kazałem przeokrętować go wraz z ludźmi wybranymi spośród francuskiej załogi na Saint Pierre'a, po czym oba statki ruszyły razem w drogę. Przekonaliśmy się teraz, że przy żeglujecie równie dobrze jak Black Prince, a zdobycie go zawdzięczaliśmy tylko

szczęśliwemu przypadkowi, który pozbawił go rei, inaczej bowiem musielibyśmy długo go ścigać.

Szliśmy wśród sprzyjającej, ciepłej pogody, utrzymując stale łączność głosową z przyzem i dopytując się, czy Trevor znalazł ukryte papiery. Przez pierwsze trzy dni odpowiadał, że jeszcze mu się nie powiodło, ale czwartego dnia rano Saint Pierre podszedł z nawietrznej do rufy i Trevor zaczął machać do nas sporą paczką, dając znaki, aby posłać po nią i wołając, że znalezione papiery są niezwykle ważne.

Stanąwszy w dryf i wysławszy łódź zobaczyliśmy, że wsiada do niej nie tylko Trevor, lecz że za nim spuszczają do łodzi jakąś wielką skrzynię. Podszedłszy do burty Trevor wspiął się na pokład oświadczając, że znalazł nie tylko papiery, ukryte w butli od wina, ale i skrzynię skarbów. Po bezzwłocznym wciągnięciu skrzyni na pokład i otwarciu jej okazało się, że zawiera ona pięć tysięcy ludwików, co stanowiło bardzo wdzięczny dodatek do naszego przyzu. Papiery okazały się jednak jeszcze bardziej wartościowe. Były to depesze skierowane do gubernatora Senegalu, oznajmiające, że w porcie Brest gotuje się do drogi eskadra, mająca przybyć do Gore i niszczyć wzdłuż wybrzeży afrykańskich wszystkie brytyjskie osady i faktorie oraz chwytać handlujące tam angielskie statki. Krótko mówiąc, dokumenty stwierdzały, że zadaniem eskadry jest całkowite zniszczenie brytyjskiego handlu u zachodnich wybrzeży Afryki i polecały przygotować w Gore zaopatrzenie eskadry w wodę i wszelkie zapasy; nakazywały one także gubernatorowi werbować w pobliżu Sierra Leone, lub gdzie indziej, piratów gotowych przyjąć listy kaperskie przeciwko Anglikom.

Po przeczytaniu depeze George Dormer wyraził opinię, że wobec ich ważności powinniśmy przekazać je w najbliższym porcie brytyjskim, a że byliśmy na wysokości Przylądka Świętego Wincentego zaproponował, abyśmy natychmiast wyostrzyli do wiatru i skierowali się jak najszybciej do Gibraltaru.

– To zajmie nam sporo czasu – zauważył Tom Merrick – i nie widzę w jaki sposób będzie można użyć Saint Pierre’a do wykonania planu na Wyspach Kanaryjskich, skoro trzeba go będzie przekazać w Gibraltarze do dyspozycji sądu przyzowego, a to spowoduje na pewno dalszą zwłokę.

– Nie martw się o to, panie. Myślę, że uda nam się uzyskać wyrok i sprzedać statek w tym samym dniu, o ile nie pożałujemy pieniędzy, aby posmarować sprawę i znaleźć nabywcę. To drugie jest proste, ponieważ statek nabędę ja sam. Jeśli znajdziemy na miejscu jakiegoś admirała, postaramy się o list kaperski dla statku, który obsadzę i poprowadzę, na

moje zaś miejsce wyznaczycie na pierwszego oficera tego pocziwego Trenala.

– Jesteś pan niewątpliwie wspaniałym kochankiem – ozwał się na to – i widzę, że umiesz przewycięzać napotykaną trudność, pamiętaj wszakże, że jeśli nawet kieska twoja jest ciężka, to i w niej może w końcu pokazać się dno.

– Bądź spokojny, kapitanie. Nie sędzę, aby kaprys ten kosztował mnie więcej niż dwa tysiące gwinei, a tyle i jeszcze więcej, jak wiecie, mogę wydać.

– A więc dobrze. Poleć więc pan wziąć kurs na Gibraltar. Jaki mamy wiatr? Właśnie pomyślny dla nas.

Rozkazy spełniono w lot. Wykręciliśmy na wiatr, który pozwalał trzymać kurs na nawietrzną od przylądka Tarifa. Były wszelkie widoki na to, że osiągniemy Gibraltar w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Następnego ranka dostrzegliśmy brzegi hiszpańskie w pobliżu Kadyksu, a mając spory zapas wysokości na wietrze od północy, kazałem odpaść od wiatru i pędziliśmy tak prawie pełnym wiatrem, z szybkością ponad dziesięciu węzłów. Jednak skoro tylko odkrył się ląd poza przylądkiem Trafalgar, dostrzegliśmy duży okręt idący kursem na nas. Spytałem George'a Dormera, co o tym sądzi i co by to mógł być za okręt, na co odrzekł, że wygląda na dużą fregatę, być może hiszpańską, idącą do Kadyksu. Wiedzieliśmy, że stosunki Anglii z Hiszpanią nie były przyjazne, ale kraje nie były w stanie wojny, nie miałem więc powodu unikać obcego statku. Zbliżyliśmy się do siebie bardzo szybko. Wtem kłęb dymu buchnął z nieznanego statku i pocisk działowy odbił się rykoszetem przed naszym dziobem. W odpowiedzi na to rozkazałem podnieść banderę, której dotąd nie pokazaliśmy, i zarządziłem alarm bojowy. Dobrze, że byliśmy na to przygotowani. Obcy okręt podniósł bowiem teraz francuską banderę i posłał nam pełną salwę burtową, na szczęście za krótką.

– Oho! – rzekł Merrick – mamy naszego tatarzyna, Bob!

– Nie bój się, Tom – odparłem – daleko nam jeszcze do francuskiej ciupy. Dormer, do dział i staraj się nakryć tego ptaszka, a ja z czarnymi chłopcami wezmę się do żagli. Na podwietrzną ster, wybrać nawietrzne brasy!

Rozkazy spełniono w mgnieniu oka i wkrótce gnaliśmy z wiatrem, niosąc wszystkie możliwe żagle i pozostawiając „francuza” za rufą.

Dormer ostrzeliwał go ciągle z dwóch dział rufowych, nieprzyjaciel zaś odchyłał się raz po raz od kursu, dając do nas ognia z działa dziobowego. Spostrzegłem wkrótce, że Saint Pierre nie ma szans ujścia z wiatrem jak

my i wielce się obawiałem, że fregata, jeśli nawet nie potrafi nas przychwycić, może odbić nam przyz; patrzyłem więc z niepokojem, co uczyni Trenal. Spostrzegłem, że spuścił on nagle wszystkie żagle i odezwałem się do stojącego obok mnie Merricka:

– Nie sądziłem, że Trenal podda się tak szybko. On pewnie myśli, że fregata spuści łódź, aby objąć statek w posiadanie, i to spowoduje zwłokę, która da nam szansę ucieczki.

– Nie bój się, Bob. Trenal może i tak pomyślał, ale ma głowę na karku i bądź pewien, że chce żabojadom spłatać jakiegoś figla. Spójrz teraz, fregata skraca żagle.

Fregata zwinęła istotnie górne żagle, wybrała główne i wykręciła do wiatru, kładąc się nieopatrznie w dryf po podwietrznej Saint Pierre'a. Była to dla Trenala i Trevora okazja, na którą czekali. Skierowali dziób lugra na wschód i gdy tylko fregata spuściła łódź, podnieśli szybko wszystkie żagle i wyostrzając do wiatru pozęglowali kursem, którego fregata nie mogła sterować. Francuzi, zrozumiałwszy podstęp, oddali do nich niecelną salwę burtową i widziałem z radością, że Saint Pierre umknął nie draśnięty. Przez ten czas oddaliśmy się już na pewną odległość od fregaty i choć miała ona nad nami przewagę wysokości na wietrze, pokładałem tak dużą ufność w żeglarskich zaletach Black Prince'a, szczególnie zaś na kursach ostro do wiatru, że zdecydowałem wziąć ponownie kurs na Gibraltar.

Tymczasem „francuz” podniósł z powrotem łódź, postawił żagle i ruszył za nami. Był od nas oddalony po nawietrznej o jakieś półtorej mili i idąc pełniejszym wiatrem doganiał nas szybko, tracąc jednak coraz bardziej wysokość na wietrze.

Obszedłem statek, doglądając czy żagle są należycie ustawione i czy dobrze ciągną, a widząc, że wiatr tężeje, kazałem wybrać lepiej topenanty, opatrzyć prewentry padunów i założyć dodatkowe raki przy rejach marsli. Przekonałem się wkrótce, że chociaż nawet udałoby się nam w końcu ująć, nie unikniemy jednak ponownego dostania się pod ogień nieprzyjaciela. Kazałem przeto obsadzić znów działa rufowe, polecając objąć nad nimi komendę Czarnemu Jackowi i jego przyjacielowi Krwawemu Billowi, dwóm najlepszym kanonierom w naszej załodze.

Amarre i Boudin znajdowali się na rufie, śledząc rozwój wydarzeń z bacznym zainteresowaniem. Zwróciłem im uwagę, że będą tam wystawieni na ogień swych rodaków, nalegając, by zeszli na dół do pozostałych jeńców, gdzie będą bezpieczni. Ponieważ odmówili, oświadczyłem, że nie odpowiadam za to, co się może przydarzyć i pozwoliłem im pozostać na pokładzie.

W ciągu pół godziny nieprzyjaciel podszedł do nas na odległość strzału. Spostrzegłem jednak z zadowoleniem, że znalazł się teraz za rufą na tej samej co i my wysokości na wietrze i jeśliby nie chciał dalej tracić wysokości, musiałby iść równie ostro do wiatru jak my. Postawiłem na sterze Sama Moxona i Johna Beera przykazując, aby sterowali uważnie, nie tracąc ani cala wysokości na wietrze, Dormerowi zaś kazałem objąć komendę nad działami i otworzyć ogień, skoro tylko będzie on skuteczny. Zauważyłem też z radością, że Saint Pierre znajdował się dość daleko na wietrze i był bezpieczny bez względu na to, co by się nam przytrafiło.

Moxon sterował znakomicie, śledząc każde me słowo i ruch, gdy manewrowałem żaglami tak, by nie stracić nawet odrobiny szybkości, czy to wybierając żagle, czy odpadając trochę od wiatru. Ledwie zdążyłem powiedzieć: – Ani krzty za ostro! – gdy pocisk działowy upadł o kilka stóp po nawietrznej, oblewając mnie bryzgami wody. W tej samej chwili rozległ się głos George’a Dormera:

– Teraz, Jack, ognia w nich! Celuj w bukszpryt. Wspaniale! Dostali w sam dziób, a może i w bukszpryt. A teraz, Cundy, na ciebie kolej. Tak, dalej, Jack, ładuj!

Strzelaliśmy dalej dzielnie, ale i nieprzyjaciel, będąc w niedużej odległości, bombardował nas pociskami, z których kilka trafiło w kadłub i w żagle. Widząc, że nie oddaliśmy się od naszego prześladowcy, pomyślałem, że trzeba mieć w pogotowiu drągi i połączone łańcuchem kule armatnie do podcinania masztów na wypadek, gdyby któraś z naszych rej lub któryś z masztów został zniesiony i „francuz” podszedł na tyle blisko, abyśmy mogli użyć skutecznie tych narzędzi.

Ledwie zdążyłem to zarządzić, gdy doszedł mnie radosny okrzyk kanonierów, po czym nadbiegł Dormer mówiąc, że udało się odstrzelić szprytreję nieprzyjaciela wraz ze stengą bukszprytu i fokstengą.

Pobiegłem na rufę i dostrzegłem, że fregata straciła istotnie fokstengę i stengę bukszprytu, wykręcając dziobem w linię wiatru. W chwili gdy znalazłem się na rufie, „francuz” oddał do nas salwę i jeden z pocisków uszkodził stengę naszego stermasztu. Kazałem puścić fały stermarsła oraz fały i szoty sterbramsła, lecz Amarre, śledzący wszystko, co się działo, pochwycił leżący na rufie topór i nim zdołano mu przeszkodzić, przeciął nawietrzny padun stengi stermasztu. Stojący obok ludzie pochwycili go natychmiast, lecz było już za późno i stenga stermasztu zwała się za burzę, odłamując się nieco powyżej miejsca, w które ugodził pocisk. Na szczęście dla nas upadła ona dość daleko, uszkadzając tylko siatki na pokładzie szanćowym i znosząc po tej burcie łódź. Przekładając

natychmiast ster nie pozwoliliśmy statkowi odpaść od wiatru, w kilka minut odrąbaliśmy takielunek trzymający wrak stengi i zaczęliśmy szybko oddalać się od przeciwnika, który oddał do nas jeszcze kilka salw, nie wyrządzając jednak dalszych szkód.

Gdybym w porę nie przeszkodził, ludzie trzymający Amarre'a byliby go wyrzucili za burtę. Kazałem zakuć go w dyby, aby miał czas zastanowić się nad skutkami swego zdradzieckiego czynu, sam zaś sprawdziłem, jakie szkody wyrządził nam nieprzyjacielski ogień. Jak się okazało, dwóch marynarzy zostało ranionych odłamkami, lecz McAllister zapewnił, że rany ich są lekkie. Mimo iż zostaliśmy kilkakrotnie trafieni, kadłub, omasztowanie i takielunek nie odniosły większych szkód, prócz utraty stengi stermasztu i jednej łodzi.

Kazałem zrobić splot na grotabrasie. Ludzie uczcili trzykrotnym „hurra!” wymknięcie się z rąk „francuza”, po czym zajęliśmy się umocowaniem zapasowej stengi. Nasz niedawny prześladowca omotany był w szczątki fokstengi i stengi bukszprytu i mimo że dziób jego oblepiony był ludźmi niby pszczołami, nie było widać, aby robota postępowała. Saint Pierre widzący że strząsnęliśmy z siebie fregatę, przyłączył się do nas oznajmiając, że ma trzech lekko rannych od ognia muszkietowego, stan ich nie budzi jednak obaw i mogą oni poczekać na pomoc lekarską do przybycia do Gibraltaru.

Byliśmy już spory kawałek za przylądkiem Trafalgar i mieliśmy korzystny wiatr na Tarifę, na którą trzymaliśmy kurs. Przed zachodem słońca znajdowaliśmy się na trawersie tej miejscowości, mogąc już dostrzec skałę Gibraltaru, leżącą niby posępny lew strzegący wejścia na Morze Śródziemne, wtedy też wykręciliśmy ostrzej do wiatru. Gdy odkryła się zatoka Algeciras, dojrzelśmy światła zakotwiczonych w niej statków, a wkrótce potem światła eskadry zakotwiczonej pod samą skałą. Zrobiliśmy kilka zwrotów, by wyjść na kotwiczowisko, i około północy rzuciliśmy kotwicę tuż obok szeregu statków; natychmiast dobiła do nas łódź z okrętu strażniczego.

Gdy jakiś porucznik okrzyknął nas z łodzi, Dormer oświadczył, że głos ten jest mu znajomy i należy pewnie do jednego z jego towarzyszy broni nazwiskiem Hoste, po czym zawołał nań po imieniu oznajmiając, że jesteśmy okrętem korsarskim Black Prince z Liverpoolu i mamy z sobą przyz Saint Pierre, na którego pokładzie przychwyciliśmy ważne depesze.

Hoste wskoczył od razu na pokład zdziwiony, że zastał tam Dormera, który z kolei przedstawił mi go bezzwłocznie. Od niego dowiedzieliśmy się o bitwie stoczonej przez admirała Bynga z Francuzami przy Balearach

oraz o tym, że admirał wyszedł z częścią floty do Anglii, reszta jej zaś pilnuje tu francuskiej eskadry zakotwiczonej po hiszpańskiej stronie zatoki Algeciras. Gdy powiedziałem porucznikowi Hoste'owi o znalezionych na pokładzie Saint Pierre'a depeszach, oznajmił, że musimy udać się z nim natychmiast na okręt flagowy i zameldować się u dowodzącego eskadrą admirała Forsytha.

Pozostawiłem Dormerowi pieczę nad zwijaniem żagli i porządkowaniem okrętu, sam zaś udałem się na pokład Majestica, trzypokładowca o stu działach, na którym powiewała flaga admiralska. Skoro tylko weszliśmy na pokład, oficer wachtowy zameldował o tym oficerowi flagowemu i dowódcy flagowego okrętu, a ci zdecydowali, że należy obudzić admirała i bezzwłocznie przekazać mu przyniesione przez nas wiadomości. Po dziesięciu minutach wezwano mnie do kabiny admirała, gdzie zastałem go w nocnym czepku, otulonego w płaszcz i w nie najlepszym humorze.

– Cóż to – ozwał się – ponoć masz pan jakieś wieści. Mów natychmiast, o co chodzi?

– Wyszedłem z Liverpoolu... – zacząłem.

– To jasne, wiem o tym. Ale cóżeś pan zdziałał?

– W Zatoce Biskajskiej wziąłem do niewoli francuski lugier płynący z Bordeaux do Gore. Na jego pokładzie znaleźliśmy te oto depesze – odparłem, wręczając mu papiery.

Wyrwał mi je z ręki, otworzył i rzuciwszy okiem oświadczył, że nie rozumie tego przeklętego żargonu.

– Wiesz pan, co w nich jest?

Odrzekłem, że dotyczą one wysłania francuskiej eskadry, mającej atakować angielskie osady na Wybrzeżu Zachodnim.

– Po cóż więc przybywasz pan, kapitanie, tutaj? Czemu nie płyniesz ku wybrzeżom Afryki, by ostrzec nasze porty i okręty?

– Przybycie tu uważałem za swój obowiązek, a ponadto pragnę uzyskać wyrok na mój przyz.

– Twój przyz? Pokaż mi najpierw list kaperski.

– Jest na mym okręcie.

– Cóż sobie, kapitanie, do diabła myślisz, meldując się tu bez listu kaperskiego! Wracaj po niego natychmiast!

– Wedle rozkazu, admirale. Ale gdy tu płynąłem, ścigała mnie fregata francuska, którą pozostawiłem trochę na południe od przylądka Trafalgar niezdolną do walki z powodu utraty fokstengi i stengi bukszprytu...

– Słyszysz pan, co mówię? Ruszaj natychmiast po twe papiery! Oficer

wachtowy nie powinien był wpuścić cię tu bez nich, Idź i wracaj bezzwłocznie!

Skłoniłem się i opuściłem kabinę, a wyszedłszy na pokład zażądałem łodzi, aby pojechać na mój okręt. Oficer wachtowy odrzekł, że odjadę łodzią strażniczą, która podejdzie do burty za minutę, po czym spytał, co mówił admirał.

Gdy mu opowiedziałem, orzekł, że nie ma co zbytnio się spieszyć, gdyż jeśli admirał Jest w złym humorze, to prawdopodobnie każe mi długo czekać na ponowne przyjęcie. Po około kwadransie łódź strażnicza przewiozła mnie z powrotem na Black Prince'a, gdzie Dormer i Merrick rzucili się ku mnie skwapliwie pytając, jak przyjął mnie admirał.

George Dormer roześmiał się, słysząc mą opowieść i zgodził się z przypuszczeniem, że będę musiał trochę poczekać, zanim admirał dopuści mnie ponownie przed swe oblicze, a wówczas okaże się równie uprzejmy, jak teraz był szorstki.

– Pewnie każe ci, panie, czekać do ósmej, a potem zaprosi cię na śniadanie. Potrafi być bardzo miły i uprzejmy. Jeśli pozwolisz, kapitanie, pojedę na okręt flagowy około pół do ósmej. Teraz musisz włożyć swój najlepszy strój i wracać do admirała z papierami. Gdyby wpadło mu do głowy znów o pana zapytać i nie byłoby ciebie wówczas na miejscu, będzie się nadal zachowywał jak dotąd i czynił wszelkie możliwe wstręty.

Przebrałem się spiesźnie, wsunąłem wszystkie papiery do torby i nakazawszy obsadzić łódź powróciłem na okręt flagowy.

Gdy znalazłem się znów na pokładzie Majestica, zastałem dowódcę okrętu przechadzającego się w asyście oficera flagowego. Zaczął mnie natychmiast wypytywać, gdzie zostawiłem francuską fregatę, która nas ścigała.

Na podstawie mego opisu orzekł, że była to na pewno fregata Cerf, uchodząca za bardzo szybki żaglowiec i mieliśmy szczęście, że udało nam się tak szybko umknąć.

– Dwie nasze fregaty wyjdą o świcie, aby spróbować ją przychwycić. Mają szansę, bo przy tym wietrze Cerf nie dojdzie do Kadyksu, chyba że Francuzi są lepszymi żeglarzami niż myślę. Ale pewnie musisz być pan zmęczony, że zaś admirał nie zechce zapewne widzieć ciebie wcześniej niż rano, to pewnie nie pogardzisz przespaniem się w mojej kabinie na skrzyni; owiń się płaszczem, który tam znajdziesz. Dam ci znać, gdy będziesz potrzebny.

Podziękowawszy skorzystałem natychmiast z uprzejmego zaproszenia i po chwili zapadłem w zdrowy sen. Nie sędzę, bym spał dłużej jak kilka

godzin, gdy obudził mnie tupot nóg na rufie nad moją głową. Zerwałem się przeto, uporządkowałem szaty i wyszedłem na pokład.

Było już jasno i dwie fregaty wysłane w pościg za Cerfem wychodziły już z zatoki pod wszystkimi żaglami, co spowodowało widoczne poruszenie wśród Francuzów po drugiej stronie Algeciras. Dwie ich fregaty i okręt liniowy stawiały żagle i ruszywszy wkrótce z miejsca wzięły kurs, jak gdyby chcąc odciąć drogę angielskim fregatom Racehorse i Tweed. Zameldowano o tym admirałowi, a ten rozkazał flocie wybrać po jednej kotwicy i pozostać na drugiej w gotowości do jej podniesienia. Poleciał jednak wstrzymać się ze stawianiem żagli do chwili, gdy odkotwiczycy cała francuska eskadra.

Poranek wstał piękny i widać było, jak dwie angielskie fregaty zbliżają się szybko do okrętów francuskich. Nieprzyjacielski okręt liniowy trzymał się nieco z tyłu za swymi towarzyszami.

– To na nic – ozwał się stojący obok mnie na rufie dowódca okrętu flagowego. – Gdy tylko rozpoczną walkę, liniowiec rzuci się na nich natychmiast. – To rzekłszy zszedł do admirała, wróciwszy zaś kazał nadać sygnał do Melampusa o siedemdziesięciu czterech działach, aby podniósł kotwicę i wyruszył na pomoc fregatom. Po czym, zwracając się do mnie, rzekł:

– Zobaczysz pan dziś piękną walkę. Chcemy wywabić tych ptaszków z Algeciras i sprawić im lanie w odwet za Bynga.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Wszak pobiliśmy wówczas Francuzów.

– Pobiliśmy! Hm, niby tak. Ale straciliśmy Port Mahon, a wszystko dlatego, żeśmy ich nie zbili do końca. Byng to dzielny i dobry marynarz, ale nie mógł zdecydować się na ryzyko porażki. Ach, patrz pan, dobra nasza! Dwa dalsze liniowce francuskie wybierają kotwice.

Teraz admirał kazał odkotwiczycy stojącemu na zewnątrz dywizjonowi i w ciągu: pół godziny dywizjon płynął w ślad za Melampusem i fregatami, które tymczasem zawiązały chwacki bój z nieprzyjacielem. Francuzi nie czekali nadejścia świeżych brytyjskich posiłków i wszyscy odkotwiczycy, spodziewając się widocznie, że uda im się oddzielić płynące angielskie okręty od tych, które stały jeszcze na kotwicy. Na wieść o tym admirał wyszedł na górę, gdzie na pokładzie Szańcowym cała załoga oddała mu honory z zachowaniem wszelkiego ceremoniału. Admirał wszedł na rufę w wesołym humorze, a dojrawszy mnie, rzekł:

– Witam pana i zapraszam na śniadanie. – Był teraz niezwykle uprzejmy. Oczywiście przyjąłem zaproszenie z podziękowaniem, nadmieniając jednak, że admirał będzie miał zapewne wkrótce co innego

do roboty.

– Tak, chcę wywabić pana Laporte z tej dziury, ale to nie przeszkadza, żebyśmy najpierw mogli zjeść śniadanie, a potem dać mu łupnia.

Obserwował uważnie flotę francuską, po czym zasygnalizował wysłanemu dywizjonowi, by z początku unikał walki, starając się wyciągnąć Francuzów jak najdalej w cieśninę. Wkrótce jednak czołowe okręty francuskie zaczęły zbliżać się do naszych, co widząc dowódca okrętu admiralskiego powiedział:

– Jest ich za wiele, admirale. Czy nie każe pan naszym okrętom podnieść kotwice?

Admirał opierał się z początku, lecz w końcu widząc, że pięć angielskich liniowców i dwie fregaty zostaną zaatakowane przez dwanaście okrętów francuskich, nakazał odkotwiczyć i podnieść sygnał do abordażu.

– A teraz, kapitanie, czas śniadać – rzekł, kierując się w stronę salonu. Podczas śniadania, które już na nas czekało, admirał okazał się czarującym i beztroskim gospodarzem, zdając się zupełnie zapominać o czekającym starciu.

Zaledwie jednak siedliśmy do stołu, wszedł dowódca okrętu i zameldował, że Francuzi zawracają na kotwiczowisko.

– Wybaczcie, panowie – rzekł usłyszawszy to admirał – muszę iść na pokład, ale proszę, czujcie się jak u siebie w domu.

Tak ja, jak i inni goście admirała, chcieliśmy także wyjść na pokład, ruszyliśmy więc w jego ślady. Obie floty liczyły równą mniej więcej liczbę okrętów z lekką, być może, przewagą ze strony Francuzów. Ci wszakże spostrzegłszy, że cała flota angielska wychodzi na morze, zamierzali wyraźnie wycofać się z generalnej bitwy i schronić się z powrotem na kotwiczowisko na wodach neutralnych.

Temu admirał Forsyth usiłował przeszkodzić. – Byłem pewny, Smythe – rzekł, zwracając się do dowódcy okrętu flagowego – że odkotwicyliśmy za rychło. Ujdą nam.

Doszliśmy na odległość strzału, zanim Francuzi zdołali skutecznie się wycofać, i płynąc wzdłuż ich szyku zawiązaliśmy gorącą walkę. Udało nam się oddzielić od głównych sił trzy okręty liniowe płynące na czele i korzystając z tego, że pozbawione były wsparcia swych towarzyszy, przycisnąć je potężnie. Dowódca jednego z nich musiał być dobrym i dzielnym marynarzem, gdyż zdołał przerwać się przez nasz szyk i powrócić na kotwiczowisko. Natomiast dwa pozostałe liniowce oraz fregaty, otoczone przez nasze okręty, stały się wkrótce niezdolne do walki,

mimo iż ciągle jeszcze stawiały zacięty opór.

– No cóż, Smythe, trzeba iść do abordażu. Kieruj się na najbliższego.

Po kilku minutach starliśmy się burta w burte, a nasze grupy abordażowe zaroily się na nieprzyjacielskich pokładach.. Niebawem bandera angielska łopotała ponad francuskimi liliami. Tymczasem na innym liniowcu francuskim wybuchł pożar, okręt stracił maszty i opuścił banderę. Dwie fregaty, widząc że nie ujdą, poszły w jego ślady.

Admirał Forsyth skoczył wraz z pierwszymi na pokład Redoutable'a, który abordowaliśmy. Porwałem pikę i skoczyłem tuż za nim. W walce wręcz, jaka zawrzała, szabla jego pękła nagle i rosły marynarz francuski już zamierzył się nań toporem, gdy na szczęście udało mi się pchnąć go piką wprost w twarz. W tejże chwili poczułem ukłucie w lewym barku, lecz nie zważając na to cisnąłem pikę, dobyłem szabli i zasłoniłem admirała przed atakiem kilku Francuzów, gdy pośliznął się i upadł. Odparto ich natychmiast i dopomóżono admirałowi podnieść się.

Powróciliśmy wkrótce na pokład okrętu flagowego i admirał zwrócił się do mnie:

– Dzięki, żeś uratował mi życie, ale wszak pan jesteś ranny! – Jakoż w tej chwili padłem bez zmysłów na pokład.

Gdy odzyskałem przytomność, spostrzegłem, że znajdowałem się w wiszącej koi w pomieszczeniu położonym pod rufówką okrętu flagowego. Siedzący przy mnie człowiek wyszedł po lekarza, gdy tylko zauważył, że otwieram oczy. Sprowadzony lekarz orzekł, że dostałem kulę w plecy i postradałem przytomność z upływu krwi. Kula została już wydobyta i lekarz nie przewidywał złych następstw. Wtem nadszedł sam admirał i opowiedział mi o wyniku bitwy. Niezmiernie żałował, że wybrano tak wcześnie kotwice, gdyż chciał doprowadzić do generalnej rozprawy, w której spodziewał się wziąć do niewoli co najmniej dziesięć nieprzyjacielskich okrętów; tymczasem musiał zadowolić się dwiema fregatami i jednym liniowcem oraz zniszczeniem dalszego, na którym wybuchł pożar.

– Muszę podziękować ci, młodzieńcze, za ocalenie życia. Możesz liczyć na moją przyjaźń. Kazałem wykonać dla twego okrętu nową reję stermasztu i naprawić inne szkody. Możesz także dostać z tutejszego arsenału nową łódź na miejsce tej, którą straciłeś; przedstawiś za nią rachunek twym armatorom.

– Dziękuję bardzo, admirale – odrzekłem. – Chciałbym jednak ruszyć w dalszą podróż i uzyskać wyrok na mój przyz.

– Powoli, młodzieńcze. Kazałem memu sekretarzowi wygotować

potrzebne papiery i pan Dormer pomaga mu w tym. Pozostaje ci tylko podpisać je, gdy będą gotowe, ja zaś pojedę wówczas na ląd i pomówię z gubernatorem. Teraz jednak musisz spokojnie, poleżeć, ile że straciłeś sporo krwi. Bywaj więc.

Po odejściu admirała wszedł z powrotem lekarz, zbadał mój opatrunek, kazał wypić trochę rosołu i zaaplikował mi lekarstwo, które natychmiast mnie uspiło.

Gdy się obudziłem, była noc, a przy mdłym świetelku dostrzegłem, że ktoś siedzi przy mojej koi. Po regularnym głębokim oddechu poznałem, że kimkolwiek by była ta postać, spała smacznie. Odczuwałem rwania w barku i bardzo chciało mi się pić, zwołałem więc raz i drugi, by obudzić drzemiącego.

Ocknął się w końcu i wówczas usłyszałem głos Toma Merricka:

– Dzięki Bogu, że się odezwałeś. Gdy zobaczyłem cię wczoraj leżącego bez zmysłów we krwi, bałem się, na Boga, żeś już gotów. Masz tu napój cytrynowy, łyknij sobie i śpij dalej.

Podany mi napój odświeżył wielce spragnione me gardło. Wypiwszy, zapytałem co nowego.

– Nic szczególnego. Okręt naprawią za kilka dni, ale obawiam się, że z tobą nie pójdzie tak prędko.

– Nie pleć bzdur, stary. Nic mnie nie boli i lekarz powiedział, że wkrótce będę zdrów.

– Może i powiedział, ale wczoraj wyglądałeś jak nieboszczyk. Na wszelki wypadek McAllister jest obok w kabinie, zwołam go, aby cię doglądał.

Wszedł McAllister, zbadał mój puls i orzekł, że znalazł gorączkę mniejszą niż oczekiwał i że przy należytej opiece będę mógł wstać za dzień lub dwa, lecz że będę prawdopodobnie musiał nosić ramię na temblaku przez około dwa tygodnie.

– Widzisz, Tom – powiedziałem – że to nic wielkiego. Która to godzina? – Wybito przed chwilą pierwszą ranną szklanę.

– Wpół do piątej! Ależ spałem!

– Nieźle, lecz masz teraz spać znowu, inaczej zaaplikuję ci nową porcję leku na uspienie.

– Dość leków, chłopie. Co powiesz na to, że jestem głodny?

Merrick i McAllister parsknęli śmiechem i spytali, na co miałbym ochotę.

Nie miałem zbyt wielkich wymagań, ale odrzekłem, że befsztyk nie byłby zły.

– No tak – rzekł McAllister – kawał wołu byłby całkiem słuszną rzeczą, nie mogę zaprzeczyć, ale pan jesteście ranny i przystoi ci tylko lekka strawa. Pójdę do tego fagasa, admirałskiego stewarda, i dowiem się, co można u niego zdobyć.

– Niezbyt sposobna pora na befsztyki – zauważył Merrick – ale że ocaliłeś admirałowi życie, tuszę, iż nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Nie szkodzi. Głodny jestem, a jeśli nie mogą teraz warzyć, wystarczy mi kawał solonej wołowiny.

– Widzę, że ci lepiej; niech się McAllister martwi o furaz. Czy wiesz, że ci nierozłączni Czarny Jack i Krwawy Bill o mało się nie rozplakali, gdy rozeszła się po okręcie wieść, żeś ranny, a nawet zabity? Napierali się, aby tu przyjść i teraz leżą koło luku błagając, by mogli ciebie odwiedzić, jak tylko będziesz mógł mówić.

– Poślij po nich, pocziwe to chłopcy.

Obaj wezwani marynarze weszli do kabiny i Cundy, występując jak zwykle w roli mówcy, zabrał głos:

– Wybaczy pan, kapitanie, ale my z przyjacielem chcieliśmy się dowiedzieć, jak zdrowie wasze, nie, Bo?

– Aha – mruknął Jago.

– Och, czuję się świetnie, Dziękuję, żeście przyszli.

– Tak, hm, tego... pan daruje śmiałość, ale nam się widzi, że pan nas skrzywdził.

– A to jakim sposobem?

– Ano niby tak, że gdy pan walczył z tymi żabojadami, nie było nas przy boku. Zaciągnęliśmy się, aby być pod waszą komendą na dobrą i złą dolę, czy do abordażu, czy na armaty, aby zawsze być z wami, panie. A jeśliby, Boże zachowaj, przydarzyło się wam nieszczęście, skąd wzięlibyśmy innego kapitana?

– No cóż, moi kochani, Pan Bóg kule nosi, tak już jest i nic na to nie poradzę, ale niedługo będę zdrów.

– Wybaczcie, kapitanie, ale my z przyjacielem nijak nie możemy wyrozumieć, jaką miarą kapitan może się bić bez swojej załogi. Prosimy pokornie, kapitanie, przyrzeknijcie nam, że następnym razem będziemy z wami, nie, Bo?

– Aha – mruknął Jack.

– Dobrze, kochani chłopcy. Myślę, że zanim skończymy podróż, pokażę wam jeszcze walkę, co się zowie.

– A teraz – zawyrokował Merrick – idźcie już obaj i zostawcie kapitana w spokoju. A oto i befsztyk? Ej, Mc Allister, co tam masz?

– Admirał posyła wołowy zraz i chce wiedzieć, czy kapitan ma się lepiej i czy może łyknąć sobie wina. Mam tu butelkę burgunda, co rozgrzewa, i kapitan może golnąć bez obawy, bo to nie dzin.

Zraz i burgund były nie do pogardzenia i z każdym kęsem i łykiem czułem, jak wstępuje we mnie moc i życie, Gdy się posiliłem, zapadłem znów w głęboki sen.

O ósmej obudził mnie huk działa. Rozejrzawszy się dojrzałem, że Merricka zastąpił George Dormer, a w kabinie zjawił się także mój służący Toby, ze świeżymi szatami i przyborami do golenia.

– Co się dzieje – spytałem, – Do czego tam strzelają?

– Nic takiego – odparł George. – Ma się tylko odbyć sąd nad oficerem, który naraził na szwank swój okręt.

– Co pan myślisz, mówiąc „naraził na szwank”?

– „Ktokolwiek narazi przez niedbałość swój okręt na zniszczenie, wyrzucenie na brzeg czyli też na inny szwank, ma być sądzony” – tak mówi regulamin. Mają sądzić pewnego porucznika za to, że wyrzucił na brzeg swój brander. I choć pochwalono go za sposób, w jaki ściągnął go z powrotem, formalność musi być spełniona. A teraz zostaniesz, kapitanie, ogolony i ubrany na przyjęcie gości, jeśli się czujesz na siłach.

– Czy się czuję? Dość betów, wstaję! Czuję się doskonale, tyle że ręką z lewej burty nie mogę ruszać, bo mi ją przywiązali i bark jak gdyby pulsował. Poza tym mogę tańczyć matelotkę.

– Grzeczny z pana pacjent! Powiedziano mi, że może pan się ubrać, jeśli zechce, więc skoro się oddasz w nasze ręce, to my cię już tu otaklujemy, jak się patrzy.

Obaj moi kamerdynerzy obchodzili się ze mną z iście kobiecą delikatnością, trzeba było jednak wezwać okrętowego krawca, aby rozciął surdut i kamizelkę w miejscu, gdzie uwierały raniony bark; zrobił to bardzo zręcznie, związując powstały otwór tasiemkami.

Tak otaklowany wyszedłem na pokład, gdzie na rufie natknąłem się na admirała. Dziękując jeszcze raz za ocalenie życia oznajmił, że zaraz po śniadaniu zawiezie mnie na ląd do gubernatora. – Co prawda – dodał – ponoć jadłeś już pan dziś śniadanie o dość wczesnej porze.

– Tak jest, admirale, i obawiam się, czy nie sprawiłem tym kłopotu.

– Skądże! Jesteś pan gościem Ryszarda Forsytha, który czułby się dotknięty, jeślibyś nie uważał jego okrętu za swój dom. Hiszpanie mawiają: „A la disposicion de usted”, ja zaś nie tylko mówię, lecz i tak myślę.

Przechadzając się z admirałem po rufie, mogłem z zadowoleniem

stwierdzić, że uszkodzenia Black Prince'a są z pośpiechem naprawiane. Wedle raportu George'a stenga jednego ze statków przyzowych będzie doskonale pasowała na miejsce naszej, wobec czego do wieczora będziemy znów gotowi do wyjścia na morze.

Admirał był przy śniadaniu najbardziej czarującym gospodarzem, o prawdziwie pańskich manierach, zupełnie niepodobnym do nieokrzesanego wilka morskiego, jakim wydał się przy pierwszym zetknięciu. Po śniadaniu sekretarz jego przyniósł mi do podpisu wszelkie potrzebne papiery dotyczące mego przyzu, po czym admirał zabrał nas na ląd wraz z Dormerem i oficerem flagowym.

Na przystani Ragged Staff wystąpiła na spotkanie admirała warta honorowa. Rozglądając się dokoła i widząc niezmierną potęgę fortecy z jej bateriami i wykuszami, nie mogłem się nadziwić, że została ona w zaskoczeniu zdobyta przez garstkę ludzi pod wodzą Rooke'a niemal dzięki przypadkowi, jak się dowiedziałem.

Siedziba gubernatora mieściła się w starym klasztorze, rojącym się od adiutantów i oficerów, pełnym rozgardiaszu i pompy towarzyszącej zazwyczaj zjawieniu się wyższego dowódcy wojskowego i przedstawiającym teraz zapewne zgoła odmienny widok od tego, czym był za rządów zakonnic przybranych w ciemne habity. Gubernatora zastaliśmy w patio. Powitał admirała gorąco gratulując mu wyników wczorajszej bitwy, do mnie zaś zwrócił się z nader uprzejmym komplementem z powodu, jak to określił, brawury, jaką miałem okazać ratując admirałowi życie.

Od chwili wypowiedzenia wojny w fortecy wykonywano liczne roboty przy umacnianiu fortyfikacji, gdyż chociaż Hiszpania nie opowiedziała się dotąd po stronie Francji, oczekiwano, że uczyni to lada chwila. Zapasy i woły dla garnizonu, w które zaopatrywano się zwykle w Hiszpanii, można było otrzymać już tylko z Maroka, a dokoła Algeciras i St. Roque widać było liczne namioty silnych wojsk hiszpańskich. Tuż u przesmyku lądowego, łączącego Gibraltar z lądem stałym, uwijały się co dzień roje ludzi zatrudnionych przy budowie fortów i baterii.

Wyczekując sposobności zapytałem, kiedy moglibyśmy wnieść przed sąd sprawę naszego przyzu. Gubernator rozkazał natychmiast jednemu z adiutantów zaprowadzić nas z Dormerem do sali posiedzeń sądu, gdzie powiedziano, że sąd zbierze się w tej sprawie nazajutrz. Gdy oświadczyliśmy, że George Dormer pragnie sam zakupić ten statek, zarządzono, by sprzedaż statku i ładunku odbyła się natychmiast po zapadnięciu wyroku wywłaszczającego.

Nie miałem wielkiej ochoty na włączenie i poszukiwanie wesołej kompanii, toteż usprawiedliwiłem się przed gubernatorem i podziękowawszy mu za zaproszenie na obiad powróciłem na mój okręt. Załoga przyjęła mnie żywo, trzykrotnym „hurra!”. Podziękowałem ludziom za sympatię, jaką mi okazali, po czym obejrzałem szybko postępujące roboty naprawcze; zszedłem do swej kabiny, gdzie wygotowałem wspólnie z Merrickiem list do armatorów, donosząc im o dotychczasowym przebiegu podróży.

Nazajutrz sąd wydał wyrok w sprawie naszego przyzwy i zaiste uczynił to błyskawicznie. Cała sprawa nie trwała dłużej niż dwadzieścia pięć minut, potem zaś nastąpiła licytacja, w której nikt nie współzawodniczył z George’em Dormerem, jeśli chodziło o statek, natomiast wino znalazło chętnych nabywców wśród oficerów floty i garnizonu. Kilka beczulek najlepszego wina zachowaliśmy dla siebie, posyłając po jednej admirałowi, gubernatorowi w podziękowanie za ich uprzejmość. Ładunek drobny, przydatny do handlu w Afryce, zakupiliśmy na rachunek firmy Merrick i Floyd.

Następnie zajęliśmy się wyposażeniem lugra do boju. Dzięki uprzejmości admirała nie mieliśmy żadnych trudności w należytym uzbrojeniu statku, ponadto wydał on George’owi Dormerowi list kaperski, biorąc mnie i Toma Merricka za poręczycieli. Znalezienie załogi wydawało się na pierwszy rzut oka rzeczą trudną, ale i tu pieniądź działał cuda. Mieliśmy przy tym trochę szczęścia, werbując z zakotwiczonych w zatoce transportowców około trzydziestu dobrych marynarzy. George twierdził, że wraz z marynarzami normandzkimi wystarczy to na wszelkie okoliczności i prosił, bym pozwolił mu zatrzymać Ralfa Trevora jako pierwszego oficera, na co wyraziłem chętnie zgodę. Po uzupełnieniu zapasu wody byliśmy niebawem gotowi do wyjścia na morze. Zameldowałem się na pokładzie okrętu flagowego, by pożegnać admirała Forsytha. Ten kazał zebrać na pokładzie całą załogę okrętu i na jej oczach obdarował mnie piękną szablą, która wisi przede mną w chwili, gdy piszę te słowa.

Ponieważ Francuzi kręcili się wciąż u wyjścia z zatoki Algeciras, wyczekaliśmy ciemnej nocy i wschodniego wiatru, a gdy tak się stało, wybraliśmy kotwice około dziewiątej wieczorem i przemknęliśmy przez cieśninę wprost ku brzegowi afrykańskiemu. O świcie byliśmy już na wysokości przylądka Spartel. Dwa czy trzy dni upłynęły bez szczególnych zdarzeń, natomiast czwartego dnia dostrzegliśmy na zachodzie dwa statki żeglujące w kierunku lądu. Gdy nas dojrzały, wykreśliły ostro do wiatru,

my zaś puściliśmy się za nimi w pogoń.

Saint Pierre, mając ożaglowanie gaflowe wyprzedził nas i z południa zbliżył się od nawietrznej do dwóch nieznanych statków, żeglujących w odległości jednej mili od siebie i znajdujących się wówczas o trzy mile od nas. Tylny statek był krępej budowy brygiem o prostej dziobnicy, drugi zaś pięknie ożaglowanym statkiem, niosącym na bezanmaszcie duży łaćński żagiel. Jack Jago orzekł, że jest to na pewno pirat algierski lub mauryjski.

– Ten drugi to pewnie przyz – zauważył Tom Merrick, stojący obok mnie na rufie. – Chyba nie oddadzą go bez walki.

– Tak, starcie jest pewne. Panie Trenal, zarządz pan alarm bojowy i każ podnieść sieci abordażowe. Maurowie są liczniejsi i będą się starali wziąć nas abordażem. Patrzcie, Dormer rozpoczyna zabawę i otwiera ogień do brygu.

– Tak, a ten robi zwrot na przeciwny hals. George musi uważać i nie podchodzić zbyt blisko, zanim się nie zbliżymy.

Spostrzegłszy, że nieprzyjacielski okręt wykonuje zwrot, Saint Pierre odpadł i przesunął się za jego rufę. Widać było wyraźnie, że na brygu wybuchło jakieś zamieszanie, gdyż opuszczono tam do połowy fokmarsel, a potem podniesiono go z powrotem.

Jago podszedł do mnie i rzekł:

– Załoga jest na statku, kapitanie, i pewnie stara się pogrozić Maurów.

– Musi tak być. Kapitan Dormer nie będzie strzelał w kadłub, aby nie razić swoich zamiast wrogów.

– Kapitan Dormer wie, czego chce. Patrz, panie, pocisk tego padł daleko przed dziobem brygu, widać chce zwalić mu reje. Górą nasi, grotstenga poszła! Teraz pan George może zostawić go w spokoju. Niech pan da sygnał, aby do nas podszedł. Pirat idzie na nas lewym halsiem. Niech pan trzyma się na marslach.

Poszedłem za dobrą radą Jaga. Wybrałem główne żagle i zwinąłem bramsle, co natychmiast powtórzył nieprzyjaciel. Oba okręty zaczęły się teraz szybko zbliżać, a gdy byliśmy już od siebie na czterysta jardów, pirat odpadł od wiatru, usiłując przejść nam przed dziobem i oddać salwę burtową nakrywającą wzdłuż nasz pokład. Wiedziałem, że gdybym i ja odpadł, zderzyłbym się z nieprzyjacielem, dając mu okazję do abordażu, wobec czego położyłem ster na wiatr i zrobiłem zwrot, wymieniając salwę w chwili przejścia linii wiatru. Strzelanie, to nie wyrządziło nikomu szkody, ale wyszliśmy dzięki temu manewowi na pozycję nawietrzną. Nieprzyjaciel wyostrzył do wiatru na lewym halsie, my zaś, płynąc tym

samym halsem, ostrzeliwaliśmy się nadal salwami burtowymi. Dormer zajął pozycję tuż za naszą rutą i nękał skutecznie przeciwnika z długiego hiszpańskiego działa, w którą uzbroił się w Gibraltarze.

Trudno było uzyskać przewagę manewrując, gdyż pirat żeglował bardzo zręcznie. Niebawem stało, się jasne, że wzajemna wymiana salw nie zapewni sukcesu żadnej ze stron, zdecydowałem się przeto na śmiały plan, aby nakryć go od rufy salwą burtową. Zacząłem zbliżać się stopniowo do przeciwnika i gdy byłem zaledwie na odległość strzału pistoletowego, przełożyłem ster na wiatr, luzując fokzagieli i przechodząc za jego rufą posłałem mu pełną salwę z prawej burty. Pirat, widząc nasz manewr, chciał wykonać zwrot przez dziób, lecz było już za późno i nie zdołał uniknąć naszej salwy, ja zaś odpadłem natychmiast od wiatru i na równie małą jak przedtem odległość oddałem salwę z lewej burty w chwili, gdy przeciwnik nie mógł odpowiedzieć ani jednym strzałem. Druzgocący skutek obu tych salw był od razu widoczny. Zestrzelony bezanmaszt spadł za burtę, a ster został unieruchomiony. Dormer, widząc to, przesunął się do dziobu i zaczął nękać Maura z tamtej strony; my tymczasem zrobiliśmy na miejscu zwrot przez rufę i zdołaliśmy ponownie przejść za rufą pirata, nakrywając go jeszcze salwą. Tym razem odstrzeliliśmy grotreję i statek nieprzyjaciela odpadł zupełnie od wiatru.

Miałem teraz czas zająć się brygiem i spostrzegłem, że usiłuje umknąć nam z wiatrem. Pozostawiwszy więc lugier, by gnębił dalej pirata, rzuciłem się w pościg za brygiem i w pół godziny dognałem go, a zrównawszy się burta w burtę dałem znak do abordażu. Nie mogłem sam stanąć na czele atakujących z powodu rany w barku, lecz Merrick wraz, z idącymi tuż w ślad Czarnym Jackiem i Krwawym Billem wskoczył natychmiast na pokład, a za nim około czterdziestu moich zuchów.

Zyskaliśmy przewagę liczebną nad mauryjską załogą i choć bronila się zajadle, nie mogła nam sprostać. Po niespełna dziesięciu minutach opanowaliśmy przyz, który okazał się angielskim statkiem Betsy z Bristolu, pojmanym przez rozbójników przed dwoma dniami. Załoga jego, licząca zaledwie dwudziestu ludzi, poddała się, wyrzuciwszy uprzednio za burtę działa i część ładunku w nadziei, że uda się jej ujsć. Maurowie obsadzili statek trzydziestoma ludźmi swej załogi, lecz wbrew ich zwyczajom nie przeokretowali jeńców na swój okręt; sądzili zapewne, że nie warto tego robić, będąc tak blisko Salé. Na nasz widok Anglicy usiłowali skrócić żagle, ale po zaciętej walce, w której choć nie uzbrojeni, zadali swym prześladowcom poważne straty marszpiklami i handszpakami, ulegli, tracąc trzecią część w zabitych i rannych. Tych wyrzucono za burtę,

pozostałych zaś przywiązano do łańcucha kotwicznego; w chwili gdy opanowaliśmy statek, kilku nieludzkich diabłów miało już zrąbać stropy kotwiczne, na szczęście Czarny Jack ze swym przyjacielem, widząc, co się święci, zakłuli ich w mgnieniu oka. Teraz my z kolei przywiązaliśmy jeńców do łańcuchów kotwicznych i pozostawiwszy do pomocy pozostałej przy życiu załodze Trenala z czterema naszymi ludźmi, wzięliśmy z powrotem kurs na okręt mauryjski, srodze nękany przez George'a Dormera z jego długiego działa.

Gdy podeszliśmy bliżej, piratom udało się wykręcić dziób, odsłaniając burtę i powitać nas gęstym ogniem; śnać byli zdecydowani walczyć do upadłego. Jako że napraszali się wyraźnie o tęgie lanie, nie sprawiłem im zawodu i wymanewrowawszy przed ich dziób siałem im salwę po salwie. Walczyli mężnie i zajadle i znów udało im się skierować na nas kilka dział. Rzucili się do nich jak szatani, mimo że wkrótce wybiliśmy im w dziobie dziurę, przez którą mógłby wjechać swą karocą burmistrz Londynu.

Zauważyłem, że tracimy ludzi i mamy uszkodzone maszty tak, że musiałem sprzątnąć marsie. Już miałem podejść do abordażu, by zakończyć walkę, gdy Jago, słysząc me rozkazy, począł błagać, bym zaniechał tego zamiaru. Powiedział, że mimo łupnia jakiego im daliśmy, są jeszcze kilkakrotnie od nas liczniejsi, a w oczekującym nas starciu nie będzie pardonu.

– Powiedz, kapitanie, kanonierom niech celują nisko i zatopią go!

Rozkazałem obniżyć wyloty dział i niebawem spostrzeegliśmy; że okręt nieprzyjacielski zanurza się głębiej w wodzie, a ponieważ i my dostaliśmy kilka pocisków poniżej linii wodnej, trzeba było posłać czarnych marynarzy do pomp.

Po dalszych dwudziestu minutach widać już było wyraźnie, że pirat zaczyna szybko tonąć, mimo to jednak diabelska jego załoga nie dawała żadnych znaków kapitulacji i nawet usiłowała odpowiedzieć na nasz ogień. Okręt zaczął się wkrótce przechylać, działa umieszczone na głównym pokładzie zanurzały się w wodzie, lecz z dział na forkasztelu nadal prowadzono ogień. Wtem okręt przechylił się gwałtownie i przewróciwszy się na burtę zatonął, pozostawiając na powierzchni morza liczne szczątki wśród których można było dojrzeć kilkadziesiąt pływających postaci. Pragnąc ocalić im w miarę możliwości życie, skierowałem okręt w środek wrakowiska i kazałem rzucić tonącemu liny. Z całej załogi udało się uratować zaledwie około trzydziestu ludzi, ale nawet i ci zdradzali jeszcze ochotę do walki, póki ich nie pojмалиśmy.

Będąc zajęty nadzorem nad zabezpieczaniem jeńców usłyszałem nagle alarmujący okrzyk Merricka:

– Boże, co z brygiem? Wzywa pomocy. Ogień na nim!

Wskoczywszy na rufówkę spojrzałem na bryg i dostrzegłem obłok dymu dobywający się z głównego luku i ludzi spuszcających łodzie na wodę. Nie mogłem iść mu na pomoc, póki nie zabezpieczyłem własnych masztów, lecz podszedł doń Dormer i spuściwszy łódź z Saint Pierre'a zabrał do niej wszystkich ludzi z brygu. Trenal zdążył opuścić tylko jedną łódź, mieszczącą zaledwie samych Anglików. Gdy tylko ostatni człowiek opuścił pokład brygu, płomienie ogarnęły go zupełnie. Jedyną naszą satysfakcją po całodziennym ciężkim boju była świadomość, że zatopiliśmy piracki statek i ocaliliśmy sześciu Anglików przed niewolą lub czymś jeszcze gorszym.

Jeńców, których przywiózł Dormer, kazałem umieścić pod kluczem wraz z innymi. Zjawił się również Trenal i opowiedział, że gdy bryg został odbity, kilku Maurów musiało umknąć pod pokład i podłożyć ogień. Skoro zauważono dobywające się płomienie, zdołano je z początku ugasić, lecz okazało się natychmiast, że statek podpalony był co najmniej w sześciu miejscach i pomimo największych wysiłków nie dało się stłumić ognia. Gdy usiłowano spuścić łodzie i uwolniono jeńców, by zabrać ich z płonącego statku, ci stawili pór i sytuację opanowano dopiero po przybyciu łodzi z Saint Pierre'a.

Stan Black Prince'a był na tyle poważny, że pochłonał całą moją uwagę. McAllister miał pełne ręce roboty przy opatrywaniu rannych, jako że w tak zażartej walce nie obeszło się bez strat, Dowiedziałem się ze smutkiem, że pięciu marynarzy poległo, a spośród dziesięciu rannych trzech nie rokowało nadziei uratowania.

Otwory wybite uderzeniami pocisków zatkaliśmy szybko od wewnątrz i korzystając z dobrej pogody kazałem opuścić za burtę stelingi, aby można było załatać i olistwować przestrzały od zewnątrz. Po czym, sprzątnąwszy górne omasztowanie wraz z jego takielunkiem, zapędziłem załogę do umacniania uszkodzonych kolumn masztu listwami i linami. Pracując dniem i nocą mogliśmy w trzydzieści sześć godzin po bitwie postawić żagle i wziąć kurs na Wyspy Kanaryjskie.

Tymczasem jednak zdarzył się wypadek, o którym zaraz opowiem. Zabezpieczywszy należycie mauryjskich jeńców na pokładzie Black Prince'a, uznałem za najwłaściwsze powierzyć straż nad nimi Czarnemu Jackowi, ponieważ był on ongiś algierskim jeńcem i rozumiał trochę tamtejszą mowę. Jago, roztoczywszy czujną straż nad uwięzionymi,

znalazł wśród nich dwóch niewolników, Murzynów, którzy nie wydali mu się tak krwiożerczymi, straceńcami jak inni. Nawiązawszy z nimi rozmowę dowiedział się, że zatopiony przez nas statek był algierskim okrętem korsarskim o nazwie Golden Lion. Okrętem płynącym w towarzystwie dwóch innych „algierczyków” do Sale dowodził pewien genueński renegat. Towarzysze jego zawrócili do Algieru, lecz kapitan Golden Liona zdecydował się wychylić zuchwale na Atlantyk w nadziei zdobycia tam przyzu. Jakoż i powiodło mu się w tym, gdy przychwycił Betsy. Murzyni zwierzyli Czarnemu Jackowi, że jeńcy postanowili podpalić nasz okręt, licząc na to, iż uda im się w zamieszaniu, jeśli nie zawładną statkiem, to w każdym razie umknąć na naszych łodziach.

Gdy mi o tym zameldowano, doszedłem do przekonania, że trzymanie na pokładzie takiej bandy desperatów będzie stanowiło zawsze poważne niebezpieczeństwo. Postanowiłem więc, jako że zamýślali umknąć na łodziach, dać im do tego bezzwłoczną sposobność. Zdecydowałem się wsadzić ich w łódź z Betsy oraz w jedną z naszych, wyposażyć w żywność, wodę, wiosła, żagle i kompas, po czym wskazać kurs do Sale.

Tak się też i stało, a wkrótce po ich odpłynięciu zapadł zmrok. Około dziewiątej dobiegł mnie z pokładu Saint Pierre’a odgłos strzelaniny. Nie mogłem udzielić mu w tej chwili pomocy, ale z zapalonego na luguze sygnału poznałem, że został on napadnięty przez łodzie piratów. Jeszcze przez jakiś czas dobiegały nas odgłosy walki, lecz około dziesiątej wszystko ucichło i wkrótce potem przybył Dormer meldując, że nasi jeńcy wdarli się na pokład statku i niewiele brakowało, aby go opanowali przez zaskoczenie. Stał właśnie na sterze luga, który stał w dryfie niosąc tylko tyle żagli, by trzymać się kursu, gdy nagle wydało mu się, że słyszy plusk wioseł. Podskoczywszy do burty dojrzał obie łodzie wiosłujące co sił ku statkowi. Krzyknął natychmiast na alarm i porwawszy muszkiet wystrzelił zeń do zbliżających się łodzi. W następnej chwili dobiły one do statku. Rój Maurów przeskoczył przez niskie burty Saint Pierre’a i zawrzała desperacka walka.

Mniejszą liczebność piratów wyrównywał w dużym stopniu fakt, że ludzie naszych zaskoczonoświe śnie, każąc im zmagać się z gotowym na wszystko przeciwnikiem. Obie strony były mniej więcej jednakowo uzbrojone, gdyż każdy schwycił co było pod ręką, szczęściem jednak część Maurów, prac naprzód, wstąpiła na nie dość mocno założone pokrywy górnego luku i wpadła do ładowni, skąd żadnemu z nich nie udało się ujść z życiem. Próbujących wychylić się na pokład bito handszpakami i kolbami muszkietów. Spadali więc na łby pnących się za

nimi towarzyszy i pociągali ich za sobą w dół.

To przeważało sprawę na naszą korzyść. Pozostali piraci nie chcąc się poddać zostali bądź zabici, bądź wyrzuceni za burtę. Po naszej stronie nie było zabitych, jedynie kilku rannych. Posłałem tam McAllistera i ten podał wkrótce pomyślną wieść, że stwierdził złamanie rąk u dwóch ludzi, poza tym same tylko potłuczenia.

Marynarze z Betsy, którym kazałem stawić się przed sobą, oświadczyli gotowość przyłączenia się do nas, co stanowiło bardzo pożądane uzupełnienie ciężkich strat poniesionych w tej bitwie. Dowiedziałem się, że Betsy, statek z Bristolu, płynął do Kalabar. Jego kapitan, choć mierny żeglarz, usiłował ujść przed napaścią pod żaglem i by to ułatwić, wyrzucił za burtę działa; przeto gdy został zaatakowany przez „algierczyka”, stał się jego łatwą zdobyczą. W starciu wręcz kapitan i oficerowie polegli, dając załodze przykład odwagi i męstwa. Ocaliliśmy tylko marynarzy, którzy nie potrafili podać nam żadnych szczegółów co do statku i jego właścicieli, prócz ich nazwisk.

Trzymaliśmy teraz kurs na szczyt Teneryfy i naradzaliśmy się z George'em Dormerem, jak najlepiej postąpić, by umożliwić mu porwanie Dani Juanity spod władzy stryja. Zdecydowaliśmy się w końcu iść w kompanii do samych Wysp Kanaryjskich, gdzie pewnego dnia, wczesnym rankiem, Saint Pierre – rzekomo przez nas ścigany – schroni się pod francuską flagą na redę Las Palmas. Trevor odegra rolę francuskiego kapitana i nawiąże kontakt z Hiszpanami przy pomocy marynarzy z Jersey.

Byliśmy pewni, że Saint Pierre nie wzbudzi u Hiszpanów podejrzeń co do jego prawdziwego charakteru, a pościg nasz będzie dla niego dobrym pretekstem do pozostawania w pobliżu portu. Trevor będzie mógł udawać się co dzień na ląd, starając się wszelkimi sposobami nawiązać łączność z Doną Juanitą, i donieść jej, że George jest na pokładzie lugra, oraz wybadać, jakim sposobem dałoby się ją przewieźć na statek. W tym czasie my będziemy krążyć we dnie na pełnym morzu, a z nastaniem nocy podchodzić do portu, możliwie jak najbliżej, by osłonić odwrót Saint Pierre'a na wypadek, gdyby Don Luis odkrył ucieczkę swej bratanicy, zanim byłaby ona bezpieczna przed pościgiem.

By zmniejszyć jak najbardziej wszelkie ryzyko, przeokrętowaliśmy na pokład Saint Pierre'a dodatkowych dwudziestu ludzi i uprzątnęliśmy część ładowni, gdzie angielscy marynarze mieli przebywać w ciągu dnia. Umówiliśmy także sygnały, którymi można by, bez wzbudzania podejrzeń, powiadomić mnie o przebiegu akcji.

Dormer przyrzekł ludziom tak hojną nagrodę, że zdobył wszystkich dla

swej sprawy. Załogi obu statków tak dalece ufały szczęściu, jakie nam dotąd sprzyjało, iż ślepo wierzyły w powodzenie przedsięwzięcia. Gdyby zaś fortele nasze zawiodły, byli gotowi ruszyć na ląd i brać damę siłą.

Po kilku dniach dostrzegliśmy szczyt Teneryfy i wzięliśmy kurs na Las Palmas, a że wiał pomyślny wiatr, mogliśmy następnego dnia o świcie przystąpić do rzekomego pościgu za Saint Pierre'em. Podeszedłszy bliżej miasta dojrzeliliśmy zakotwiczony duży okręt, niosący złoto-szkarłatną banderę hiszpańską. Stwierdziliśmy wkrótce, że była to fregata, obok niej stało na kotwicy kilka mniejszych statków wyspiarskich, natomiast po wewnętrznej stronie mola zauważyliśmy około sześciu większych okrętów uzbrojonych w działa. Zbliżywszy się jeszcze bardziej do kotwiczowiska i ostrzeliwując Saint Pierre'a spostrzegliśmy, że załogi obsadziły baterie, a fregata przygotowywała się do boju.

Podeszliśmy do baterii niemal na odległość strzału działowego, strzelając wciąż do Saint Pierre'a, który schronił się w pobliżu mola i rzucił tam kotwicę. Na to wykreciliśmy do wiatru i zaczęliśmy kręcić się tu i tam, jak gdyby czekając, czy lugier nie zechce znów spróbować wyjścia na morze.

Z topu grotmasztu widać było ludzi zgromadzonych na molo i obsadzone kanonierami baterie. Skoro tylko lugier zakotwiczył, odbiła od mola łódź, kierując się do niego. Była to dla mnie najbardziej niepokojąca chwila, nie miałem bowiem pewności, czy Trevor odegra dobrze rolę francuskiego szypra. Sygnałem umówionym na oznaczenie, że nie wzbudził podejrzeń, było podniesienie przez lugier flagi hiszpańskiej. Jakoż sygnał taki został niebawem podniesiony, a potem wzniosła się flaga francuska ponad angielską na znak, że lugier umknął napastnikowi brytyjskiemu. Na to, jak gdyby rzucając wyzwanie statkowi francuskiemu, wystrzeliliśmy z działa i wzięliśmy kurs na morze.

Z nastaniem nocy znów zbliżyliśmy się gotowi do walki, by osłonić możliwy odwrót Saint Pierre'a, lecz o trzeciej statek podniósł jedną nad drugą trzy latarnie na znak, że nie było możliwości skomunikowania się z Doną Juanitą. Odeszliśmy więc znów na morze, by być poza zasięgiem obserwacji Hiszpanów.

Działo się tak przez cały tydzień i w końcu zacząłem się niepokoić, by George Dormer nie stracił cierpliwości nie popełnił dla nawiązania łączności ze swą ukochaną jakiego nierozważnego kroku i nie wpadł w ręce Hiszpanów. W takim wypadku zostałby na pewno wydany na łaskę Inkwizycji, która uprawiała nadal swe okrutne praktyki na tych wyspach, będących dependencją Hiszpanii.

Wreszcie, gdy pewnej nocy podeszliśmy bliżej, zauważyliśmy, że w mieście odbywa się jakaś uroczystość i że liczne budynki publiczne, szczególnie zaś katedra, były iluminowane. Dochodziło nas bicie dzwonów i dźwięki wojskowych kapel. Około dziesiątej pojawiła się procesja z pochodniami, która obszedłszy ulice miasta zatrzymała się pod katedrą.

Merrick, obserwujący obok mnie przebieg zdarzeń, rzekł:

– Nie zdziwiłbym się, gdyby George porwał narzeczoną tej nocy. Wszyscy udadzą się niechybnie do katedry, a Dona Juanita będzie towarzyszyć stryjowi. Może uda się jej przy tej sposobności wyśliznąć, nikogo zaś nie będzie dziwić, że jakaś łódź czeka przy molo wśród nocy.

– Słusznie – odrzekłem. – Trzeba dobrze uważać. Podejdę trochę bliżej niż zwykle. Sądzę, że wielu z hiszpańskich załóg będzie na lądzie. Cóż za wspaniała byłaby okazja, gdybyśmy byli w wojnie z Hiszpanią! Można by wejść, oddać kilka salw i wyjść z powrotem bez nieprzyjacielskiego wystrzału.

Podeszliśmy tak blisko, jak tylko się dało, po czym skróciliśmy żagle do marsli, kliwra i bezana, będąc gotowi do natychmiastowego postawienia żagli, gdyby na lądzie doszło do jakichś zamieszek.

Wtem dźwięki kapeli urwały się nagle i na molo pojawiły się jakieś wirujące światła, jak gdyby toczyła się tam walka, a z głowicy mola doleciał nas odgłos żywego ognia muszkietowego, do którego dołączyły się również łodzie i okręty. Zauważyliśmy łódź płynącą od mola w stronę Saint Pierre'a, na którego skierowany był ogień, i niebawem podniesiony na lgrze sygnał w postaci trzech poziomo ustawionych latarni upewnił nas, że próba porwania została dokonana, nie wiadomo wszakże z jakim skutkiem.

Postawiłem niezwłocznie żagle i, podszedłem bliżej, by osłonić Saint Pierre'a przed ogniem hiszpańskiej fregaty. Zarówno z lądu, jak i z pokładu fregaty trąbki i wystrzały wzywały żołnierzy do broni. Przy świetle gwiazd dojrzałem, że Saint Pierre postawił żagle i wymyka się z kotwiczowiska ścigany przez kilka dużych wiosłowych łodzi, z którymi prowadził żywy ogień.

Widać było, że fregata gotuje się do wybrania kotwicy. Zaczęła rozwijać żagle i wkrótce dziobowe jej działa otworzyły ogień do Saint Pierre'a. Gdy zbliżyliśmy się do niej, zwróciła część dział przeciwko nam, co usprawiedliwiło wykonanie powziętego przeze mnie planu, by przejść blisko przed dziobem i nakryć ją salwą burtową. Ponieważ wedle naszych planów Saint Pierre powinien był najpierw oddalić się bezpiecznie na

morze, przeto oddawszy pierwszą salwę wykonałem natychmiast zwrot przez dziób i ponownie przeszedłem przed dziobem fregaty, posyłając jej nowe ogniste pozdrowienie. Na jej pokładzie powstało widoczne zamieszanie i chyba musieliśmy odstrzelić jej łańcuch kotwiczny, gdyż zaczęła dryfować ku brzegowi, a po fosforyzującym plaśnięciu odgadliśmy, że musiała rzucić drugą kotwicę.

Pozostawiwszy ją własnemu losowi ruszyliśmy w ślad za Saint Pierre'em, któremu udało się tymczasem strząsnąć z siebie wszystkich ścigających, prócz dwóch dużych, czterdziestowiosłowych kanonierek. Wyszły one od wewnętrznej strony mola i minawszy mniejsze łodzie, które prędej rozpoczęły pościg, zbliżały się szybko do Saint Pierre'a. Lugier odstrzeliwał się im jak mógł z działa rufowego, kanonierki zaś prowadziły doń ogień z dział ustawionych na dziobach. Ponieważ fregata musiała zająć się teraz własnym losem, mogliśmy na szczęście włączyć się do akcji. Wyostrzywszy do wiatru oddałem na odległość strzału muszkietowego do bliższej z kanonierek salwę kartaczami, która zupełnie ją obezwładniła.

Odpadłem od wiatru i ruszyłem za drugą kanonierką, ale ta była już tak blisko Saint Pierre'a, że nie mogłem do niej strzelać z obawy, by nie razić swoich. Lugier, choć płynął dość szybko, nie zdołał oderwać się od swego zajadłego prześladowcy, który zrównał się z nim wkrótce i zarzucił haki. Wiedziałem, że kanonierki takie mają często prócz załogi około sześćdziesięciu żołnierzy, obawiałem się przeto, by George i jego załoga nie zostali pokonani, zanim się do nich zbliżymy. Byli bowiem o tyle wyżej na wietrze, że zanim ich dopadłem, musiałem zrobić kilka krótkich halsów.

Zuchy nasze wytrzymały jednak dzielnie atak i mimo przewagi liczebnej Hiszpanów trzymały ich w szachu świadome, że walczą w obronie honoru i szczęścia brata-marynarza. Wreszcie doszedłem i ludzie moi wysypali się na kanonierkę. Hiszpanie, napierani z przodu i z tyłu, rzucili broń i żądali pardonu. Cisnęliśmy zatem ich działa i oręż za burtę i puściliśmy kanonierkę w dryf, zabierając na pokład wiosła. Nim to zrobiliśmy, rozległ się okrzyk Czarnego Jacka i Billa Cundy'ego.

– Mamy księdza, czy go zatrzymać?

– Zatrzymać? A po co? – krzyknęliśmy obaj z George'em, ściskając się za ręce i gratulując sobie wzajem sukcesu.

– Kapitanie – rzekł Bill – proszę wybaczyć śmiałość, ale może tej młodej damie nie wystarczy ślub okrętowy, a ten czarny jegomość będzie mógł połączyć ją z kapitanem Dormerem, jak się patrzy. Nie tak, Bo?

– Aha – mruknął Jack. – Widzi mi się, że na księżowskim rzemiośle się wyznaje, a jak już zrobi swoje, to nie zawadzi, aby doktor miał pomocnika.

– Dobrze, chłopcy – odparłem. – Dawajcie go na pokład. Ale, George, gdzież jest dona?

– Na dole z dwiema towarzyszkami.

– To dobrze. Myślę, że niewiastom będzie najwygodniej na pokładzie Blach Prince'a, gdzie mogę oddać im salon i cały przyległy przedział, Trevor zaś zajmie się tymczasem Saint Pierre'em. Ale, ale, gdzież on się podziewa?

– Nie wiem, chyba na pokładzie. Gdybyś pan widział, jak grzmocił Hiszpanów ośmiostopową gromnicą...

– Nie czas teraz na facecje, musimy zmykać. Przy molo jest więcej kanonierek, a we dnie mogą one wraz z fregatą być niezbyt pożądanymi gośćmi. Ach, oto i Trevor. Co panu? – spytałem widząc, że ma obwiązaną głowę.

– Nic wielkiego, kapitanie. Moja głowa dla Hiszpana za twarda, ale jeden z nich zdzielił mnie przez łeb i czuję się trochę niewyraźnie.

– To nic, chodź pan na okręt, a tu przyślę Trenala, aby chwilowo objął komendę.

– Nie potrzeba, kapitanie, nic mi nie jest. Jean Artimon może prowadzić statek równie dobrze jak ja, a kilka godzin snu postawi mnie na nogi. Nieraz obrywałem gorsze cięgi.

– Dobrze więc. Ale teraz przyłóż się do roboty i zmykajmy stąd jak najprędzej.

Białogłowy przetransportowaliśmy wkrótce na Black Prince'a, gdzie w przewidywaniu tego przygotowałem już dla nich kabiny, na ile pozwalały nasze możliwości; Za zgodą mego supercargo, Toma Merricka, kazałem wydobyć z ładunku co cenniejsze materiały, aby porozwieszać z nich zasłony i zakryć nieco prostotę naszych pomieszczeń.

Jakoż nie było czasu do stracenia, ponieważ, jak tylko podnieśliśmy żagle, wysłano za nami w pościg trzy duże kanonierki; ku memu zdziwieniu i radości fregata w pościg nie wyszła. Natomiast kanonierki, wiosłujące bardzo szybko, zaczęły dawać się nam we znaki. Spostrzegliśmy, że nie mają zamiaru abordażować, ani też nie dadzą odstraszyć się naszym ogniem, postanowiłem więc staranować jedną z nich, trzymającą się mego trawersu w odległości około półtora kabla, zmuszając tym samym pozostałe do ratowania tonących towarzyszy.

Obrasowałem więc prosto tylne reje i przełożyłem ster z wiatrem.

Oficer dowodzący kanonierką nie pojął w pierwszej chwili mego zamiaru, lecz widząc, że odpadam, stracił głowę i zamiast przestać wiosłować i hamować, rozkazał – jak słyszeliśmy – wiosłować jeszcze mocniej; bosmani zaczęli kłaść i okładać ludzi ciągnących z wysiłkiem ciężkie wiosła. Nie wiedząc, co zamyśla, wyprostowałem ster, zanim jeszcze zdążyliśmy odpaść całkowicie, po czym uderzyłem weń całą mocą z odległości około dziesięciu stóp od rufy.

Rozległ się okropny trzask i choć nie przecięliśmy okrętu, czego prawie byłem pewny, rozłupaliśmy go do linii wodnej, a płynąc dalej wyrwaliśmy mu wszystkie lewoburtowe wiosła, częstując go równocześnie salwą muszkietową.

Gdy pozostawiliśmy go za rufą i wyostrzyliśmy z powrotem do wiatru, stwierdziłem z zadowoleniem, że dwie pozostałe kanonierki zaprzestały pościgu, spiesząc z pomocą obezwładnionemu towarzyszowi.

Szliśmy dalej ku pełnemu morzu i o świcie byliśmy już bezpieczni przed pościgiem. Widać było jeszcze nadal statki przed Las Palmas i fregatę leżącą na burcie przy głowicy mola.

– A więc – ozwał się Merrick – niebezpieczeństwo już poza nami; druga kotwica widocznie nie chwyciła i okręt zdryfował na brzeg.

– Dobrze, dobrze – rzekłem – ale co będzie, gdy wieści o tym dotrą do Anglii? Nie prowadzimy wszak wojny z jej katolicką królewską mością.

– Nie szkodzi; Grunt, że George zdobył narzeczoną. Gdzież ten George? Oto i on. A teraz opowiedz o wszystkim, co robiłeś. Wyprawileś się po jedną donę, a tu przywiozłeś trzy i to z księdzem.

Ale o tym w następnym rozdziale.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, moi drodzy – zaczął George – ale tylko zuchwałości Trevora zawdzięczamy, że nas tu widzicie. Udając jakobitę wdałem się na lądzie w korszachy z uchodźcami irlandzkimi, zaklinając się, że poprowadzę jako pilot Bóg wie ile statków po Tamizie, czy gdzie tylko zechcą.

– Co?! Z irlandzkimi uchodźcami? – Jako żywo. Przebywa tam wiele rodzin irlandzkich, które opuściły kraj po bitwie pod Boyne. Wielu członków tych rodzin wmieszanych było we wszelkie spiski jakobitów, jakie tylko były. Spotkaliśmy trzech, którzy wyemigrowali w 1745 roku, a jednego z nich Trevor, przewoził nawet przez kanał. Niektórzy z nich są pewnie teraz na pokładzie Saint Pierre’a i nie wiem, czy Trevor nie będzie miał z nimi kłopotu; to jednak chłopak pełen konceptu i wszelakich forteli, toteż myślę, że da sobie z nimi radę.

– Niechaj więc się o to kłopotuje, ale teraz pozwolisz, że złożymy

uszanowanie Doni Juanicie. Potem posłuchamy twoich przygód i postanowimy, co dalej czynić nam wypada.

Wszedłszy do salonu zastaliśmy Donę Juanitę i obie jej towarzyszki wielce zaniepokojone tym, co zaszło. Zerwały się na nasz widok, a Dona Juanita rzuciła się w ramiona George'a i poczęła gorzko szlochać i zawodzić. Uspokoila się wszakże po jakimś czasie i gdy się jej przyjrzałem, łącno zrozumiałem zapał, z jakim mój przyjaciel gojów był ponieść każde ryzyko, by zdobyć tak cudną niewiastę.

Gdy George przedstawił jej nas z Merrickiem, zdobyłem się na tyle hiszpańszczyzny, by zapewnić, że jest teraz zupełnie bezpieczna, a każdy członek mej załogi raczej poświęci życie niż pozwoli, aby wyrwano ją ukochanemu.

W najlepszej, na jaką ją było stać, angielszczyźnie wyraziła gorące podziękowanie za pomoc, jakiej udzieliliśmy drogiemu George'owi w wyrwaniu jej spod opieki stryja. Oświadczyła, że jest teraz naszą rodaczką, gdyż nie czuje się już Hiszpanką, lecz angielską damą.

– Pan, kapitanie – zakończyła – jesteś teraz daleko od swej lubej. Miejmy nadzieję, że znajdziesz, jak George, dzielnych przyjaciół, którzy pomogą ci w spełnieniu twych pragnień, podobnie jak ty wraz z twymi przyjaciółmi pomogłeś George'owi.

Podziękowałem za życzenia i prosząc, by żądała, czego jej będzie potrzeba, wycofałem się, pozostawiając ją z Dormerem.

George powrócił po chwili na pokład mówiąc, iż Dona Juanita wyczerpana znużeniem i podnieceniem, wywołanym przez wypadki poprzedniego dnia, usiłuje zasnąć.

– Teraz więc – rzekł. – spróbuję opowiedzieć wam, co zdarzyło się, podczas gdy sialiśmy na kotwicy w Las Palmas.

Skoro tylko rzuciliśmy kotwicę, przybył z lądu łodzią oficer wysłany przez gubernatora, aby wywiedzieć się, kim zacz byliśmy. Trevor wyjaśnił, że jego statek nazywa się Saint Pierre i pochodzi z Bordeaux, skąd wypłynął do Gore tuż po ogłoszeniu wojny pomiędzy Anglią i Francją. Wywołało to zdziwienie, ponieważ wieść o wojnie jeszcze tam nie dotarła. Trevor powiedział, że był ścigany przez okręt brytyjski, wskutek czego schronił się w porcie hiszpańskim, wiedząc o przymierzu istniejącym między monarchą hiszpańskim i francuskim i że chociaż nie wybuchła jeszcze wojna pomiędzy Anglią i Hiszpanią, oczekuje się tego w każdej chwili.

Na to wszystkie magazyny portu stanęły dla Trevora otworem, z czego korzystając uzupełnił zapas wody i żywności, zabierając na pokład

mnóstwo drobiu, jaj i jarzyn. Polecono mu udać się na ląd z dokumentami i podzielić się z gubernatorem najświeższymi nowinami. Szczęściem zachował na statku kopie francuskich instrukcji oraz dawny francuski dziennik okrętowy, w którym dokonał fałszywych wpisów od chwili, gdy statek został przez nas zdobyty.

Wieczorem powrócił na okręt i wszedłszy do kabiny, w której pozostawałem w ukryciu, oświadczył, że natychmiast po zejściu na ląd napotkał pewnego człowieka, który ujrzawszy go, spytał: „Cóż pana tu przyniosło, Trevor?” – Był to pewien Irlandczyk nazwiskiem Patrick O’Connor, którego po upadku powstania jakobitów przewoził w 1745 roku z Londynu na kontynent.

Trevor pojął natychmiast, że niebezpiecznie byłoby zapierać się swej tożsamości, toteż choć wolałby widzieć swego byłego znajomego na dnie morza, odklonił mu się bezzwłocznie i rzekł: „Mógłbym spytać o to samo. Nazywam się teraz jednak Amarre i jestem szyprem lugra, który schronił się dziś rano na tutejsze kotwicowisko przed hanowerskim okrętem”. „Nic nie szkodzi, żeś zmienił nazwisko – powiedział O’Connor, – Zawsze mile będziemy witali uczciwego człowieka, który należy do prawowitego kościoła i dochował wiary swemu monarsze”. „Jakżeś pan tu przybył?” – spytał Trevor. O’Connor rzekł: „Jest tu od pięćdziesięciu lat kolonia irlandzka, więc gdy ciężko było zdobyć chleb we Francji, kilku z nas, wieszających się dotąd przy dworze w St. Germain, postanowiło przywędrować tu, gdzie mieliśmy krewniaków; teraz zaś jestem dowódcą miejscowej milicji”. „Niezmiernie się z tego cieszę – odpowiedział Trevor – i gdy oddam me powinności jego ekscelencji gubernatorowi, chętnie pana odwiedzę”.

Kapitan O’Connor nalegał, by towarzyszyć Trevorowi do pałacu gubernatora i wszystkim napotkanym przedstawiał go jako uczciwego szlachcica, który – podobnie jak on sam – musiał opuścić swój kraj z powodu przywiązania do prawowitego króla.

Wiść o tym doszła już do gubernatora, zanim dopuszczono Trevora przed jego oblicze. Poddał go więc surowym indagacjom, które przeszedł szczęśliwie. Będąc w pałacu gubernatora Trevor śledził bacznie, czy nie dostrzeże gdzieś dam, ale na próżno. Gdy wyszedł w końcu od gubernatora, zastał przed pałacem oczekującego go kapitana O’Connora wraz z kilku innymi Irlandczykami i na usilne ich nalegania udał się do domu jednego z nich, gdzie podejmowano go nader gościnnie. Podczas rozmowy dowiedział się, że wkrótce odbędą się fiestas ku uczczeniu rocznicy założenia w tym miejscu kolonii hiszpańskiej. Miał je rozpocząć bal

maskowy w pałacu gubernatorskim, zapowiedziany na następny dzień.

Doniósłszy mi o tym Trevor oświadczył, że uda się na ten bal, gdzie niewątpliwie zdoła zobaczyć Donę Juanitę i powiedzieć jej, iż przybyłem, aby uwolnić ją spod tyrańskiej opieki stryja. zaproponowałem, że będę mu towarzyszył, jako że nietrudno dostać się na bal w przebraniu, w którym mnie nikt nie rozpozna. Trevor uważał to jednak za bardzo niebezpieczne i mówił, że będzie miał większą swobodę działania, jeśli wolny będzie od obawy, że zostanę odkryty. Zgodziłem się w końcu z jego wywodami, zastrzegając sobie jeno, że będę należał do załogi łodzi, która podczas balu miała oczekiwać go przy moło.

Wszakże następnego ranka, gdy byliśmy jeszcze nie ubrani, podpłynęła do burty łódź, w której znajdował się kapitan O'Connor. Zanim zdążyłem wyjść z kabiny i wmieszać się między załogę, O'Connor wszedł na pokład, pytając o drogiego przyjaciela i towarzysza, kapitana Trevora, i po chwili, mimo sprzeciwów Artimona oraz innych, znalazł się na dole. „Chyba nie każesz mi pan czekać na pokładzie – oświadczył Trevorowi. – Chcę cię zabrać na ląd, abyśmy w kompanii naszych wczorajszych towarzyszy wypili na pohybel tym hanowerskim szczyrom”.

Usiłowałem wyjść niepostrzeżenie z kabiny, lecz natrętny Irlandczyk uczynił ruch, aby mnie zatrzymać, na co – zapominając, że mamy uchodzić za Francuzów – powiedziałem po angielsku, by mnie przepuścił.

„A cóż to, Trevor – ozwał się O'Connor – czyżby cała wasza załoga składała się z uchodźców?” „Nie – odparł Trevor. – To jest mój pierwszy oficer, zacny szlachcic angielski, skazany na powieszenie i poćwiartowanie, któremu udało się umknąć z więzienia w Carlisle. Szukając chleba rozpoczął służbę na morzu”.

„Rad jestem go poznać – rzekł O'Connor, już mocno podchmielony mimo wczesnej pory – i myślę, że zechce wypić z nami za pomyślność Kawalera”.

Uradowałem się z takiego obrotu sprawy i wyraziłem gotowość przyjęcia zaproszenia, jeśli Trevor wyrazi na to zgodę. Ten tłumaczył, że na okręcie jest wiele roboty, grając znakomicie rolę surowego kapitana. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ryzykownie byłoby z nim się spierać, jednak Trevor orzekł w końcu, że wolno mi będzie zejść na ląd na jedną czy dwie godziny, ale dopiero po ukończeniu dziennej pracy. Obawiając się, by O'Connor nie zorientował się, że na statku jest więcej Anglików, wyraził chęć bezzwłocznego udania się z nim na ląd.

Wkrótce po ich odjeździe inny wypadek napędził mi porządnego stracha. Hiszpańska fregata przysłała łódź, ofiarowując pomoc

w naprawianiu szkód, jakie mogliśmy odnieść w czasie ucieczki przed pościgiem. Musiałem poddać się indagacjom hiszpańskiego oficera i wymyślać różne nieprawdziwe historie. Podziękowałem za pomoc oświadczając, że nie jest nam potrzebna. Nie wpuściłem załogi łodzi na pokład, samego zaś oficera zabawiałem w kabinie przy butelce wina, opowiadając mu tę samą historię, jaką Trevor zmyślił O'Connorowi, przekonując się przy tym, jak niefortunnym dla nas zbiegiem okoliczności była obecność na wyspie tych jakobitów. Oficer hiszpański odjechał w końcu, ja zaś – by podkreślić nasze francuskie pochodzenie – wysyłałem normandzkich marynarzy łodzią po wodę. Umierałem pod ich nieobecność ze strachu, by jakąś nieostrożnością nie zdradzili naszego prawdziwego charakteru. Na szczęście nic takiego się nie przydarzyło. Wychodząc o czwartej na ląd na spotkanie z O'Connorem i Trevorem, przykazałem Artimonowi, by nie pozwalał żadnym łodziom podchodzić do burty. Z nastaniem ciemności miał być gotów do natychmiastowego postawienia żagli i trzymać pod ręką topór do bezzwłocznego zrabania łańcucha kotwicznego, w razie gdyby udało się nam porwać Donę Juanitę.

Na brzegu oczekiwał mnie Trevor z dwoma Irlandczykami, bowiem O'Connor tak gorliwie zapijał sprawę jakobitów, że nie mógł ruszyć się z domu. Poszliśmy następnie na przechadzkę po mieście, podczas której zapamiętywałem sobie dokładnie rozkład ulic i zakrętów, aby nie zbłądzić na wypadek, gdybyśmy spieszyli z Doną Juanitą do łodzi po udanym porwaniu.

Po przechadzce irlandzcy przyjaciele zaprosili nas do domu jednego z nich, gdzie przedstawiono nas jego małżonce i córkom, przygotowującym się do balowej maskarady. zaproponowałem, byśmy wybrali się wraz z nimi, z czego bardzo się ucieszyli, posyłając dla nas po maski i domina. Około siódmej, poprzedzani przez niewolników oświetlających drogę pochodniami, udaliśmy się do pałacu. Przybywszy tam stwierdziliśmy, że pokoje przepełnione są gośćmi. Żywiłem obawę, czy wśród tak wielu przybranych w maski osób zdołam rozpoznać tę, dla której przyszedłem, narażając się na tak wielkie ryzyko. Jedną z irlandzkich, a raczej półirlandzkich, półhiszpańskich dam, którą wiodłem pod ramię, zabawiała mnie, usiłując rozpoznać niektóre zamaskowane osoby.

Przyprowadziła mnie w końcu na główną salę i oznajmiła, że pragnie teraz pokazać mi damę, którą widząc bez maski uznałbym niechybnie za najpiękniejszą na świecie. Serce podskoczyło mi do krtani, byłem bowiem pewien, że nie mogło chodzić o kogo innego jak o Donę Juanitę. Ukryłem

jednak podniecenie pytając, kogo by miała na myśli.

„A kogóż by jak nie Donę Juanitę da Sotomayor, bratanicę gubernatora. Łatwo będzie ją rozpoznać, gdyż dowiedziałam się, że będzie przebrana w białe, złotem haftowane domino. O, tam, patrz pan, oto ona. Z jakąż gracją i wdziękiem się porusza, nieprawdaż?”

Mimo przysłoniętej maską twarzy i okrytej fałdami domina postaci rozpoznałem bez trudności Juanitę i od tej chwili wszystkie me usiłowania skupiły się na rozwiązaniu problemu, jakby z nią pomówić. Spośród wielu forteli, jakie przelatywały mi przez głowę, wybrałem w końcu ten, aby napisać kilka słów na świstku papieru i udając, że go obok niej podnoszę, zapytać, czy go przypadkiem nie upuściła. W tym celu trzeba było pozbyć się mej towarzyszki, a widząc w pobliżu samotnego Trevora poprosiłem, aby zajął się piękną senioritą, wymawiając się panującym w sali upałem. Po czym natychmiast opuściłem salę i skreśliłem na kawałku papieru parę słów, w których doniosłem Juanicie o swej obecności, prosząc, by mi wskazała, w jaki sposób moglibyśmy uprowadzić ją na pokładzie Saint Pierre'a.

Powróciwszy do sali balowej wyglądałem chwili sposobnej do wykonania mego planu i w końcu fortuna uśmiechnęła się do mnie, gdyż Juanita uprosiła wiodącego ją pod ramię kawalera, by odprowadził ją do przyległej komnaty, w której znajdowało się zaledwie kilka osób. Tłumacząc, iż czuje się znużona gorącem, wysłała go po jakiś orzeźwiający napój. Postępowałem tuż za nią i gdy tylko towarzysz jej odszedł, zbliżyłem się, udając, że podnoszę kartkę, którą jej wręczyłem. W pierwszej chwili odrzekła, iż niczego nie upuściła, ale wtem poznała mój głos, wydała okrzyk, zerwała się drżąc gwałtownie i wydawało się, że zemdleje. Otoczywszy ramieniem jej kibić usadowiłem ją na powrót w fotelu, błagając, by się opanowała i nade wszystko, by troskliwie strzegła otrzymanej kartki. Incydent ten zwrócił uwagę znajdujących się w komnacie osób, które zgromadziły się wokół nas. Oznajmiłem, że dama czuje się słabo i natychmiast przyśle opiekę, jeśli obecne niewiasty zechcą się o nią tymczasem zatroszczyć. Wychodząc z komnaty zetknąłem się w drzwiach z towarzyszem Juanity, niosącym szklankę napoju. Wyjąłem mu ją z rąk prosząc, by bezzwłocznie przysłał swej towarzyszce asystę niewieścią, a powróciwszy do Juanity, która zdjęła tymczasem maskę, dostrzegłem, że otaczające ją damy chłodzą jej twarz. Poprosiłem, by się rozstały i stanąłem obok niej, podając jej napój i szepcząc, by ukryła swe uczucia i przeczytała w odosobnieniu wręczoną kartkę. Rzuciła mi spojrzenie pełne najgłębszego oddania, mówiąc: „Będę dzielna,

najdroższy, ale idź teraz, gdyż jeśli by stryj cię poznał, nie zawaha się wydać cię w ręce Inkwizycji, a wówczas biada ci!”

Wymknąłem się więc, zanim nadszedł jej stryj z asystą, po czym odszukałem Trevora i opowiedziałem mu, co zaszło. Ten odrzekł, iż niechybnie zaczną poszukiwać nieznajomego, który rozmawiał z Juanitą; postanowiliśmy zatem natychmiast opuścić bal i powrócić na okręt. Dotarliśmy wkrótce do mola i znalazłszy oczekującą nas łódź, powiosłowaliśmy do statku.

Podniecenie nie pozwoliło mi usnąć, chodziłem więc po pokładzie aż do świtu, a nie dostrzegając na łądzie żadnych niepokojących objawów, rozkazałem zwinąć żagle, po czym zszedłem na dół i rzuciłem się na koję, by zażyć krótkiego spoczynku.

Rano przybył na statek Patrick O'Connor z dwoma Irlandczykami, opowiadając z podnieceniem o wydarzeniach ubiegłej nocy. Okazało się, że gubernator usiłuje wywiedzieć się, kim był tajemniczy nieznajomy rozmawiający poprzedniego wieczora z jego bratanicą, a o którym ta oświadczyła, iż go nie zna. Obawiając się zdradzić nurtujący mnie niepokój, nie odważyłem się zapytać o cokolwiek, mimo iż rad byłem dowiedzieć się, czy nie zaszкодził jej wstrząs doznany na mój widok. Trevor odgadł widocznie me myśli, gdyż spytał: „A jakże czuje się Dona Juanita?” „Och, nic wielkiego – odparł O'Connor. – Lekarz orzekł, że zaszкодziła jej duszność balowych komnat, lecz że jej to przejdzie po kilku godzinach”.

Odetchnąłem z ulgą i rad byłem, gdy goście nasi odjechali, zabierając ze sobą Trevora. Odmówiłem propozycji, by im towarzyszyć, byłem bowiem pewien, że kobiecy spryt Juanity pozwoli donieść mi w jakiś sposób o jej planach i wskazać, jak mógłbym pomóc jej w ucieczce. I nie zawiodłem się istotnie, gdyż po południu podpłynęła do statku łódź, z której proponowano załozde nabycie warzyw i owoców. Kupczycha przysłała wielki bukiet z prośbą, by wręczono go kapitanowi w podzięce za to, że senor capitan pozwolił jej handlować z załogą. Nie zwróciłem na to uwagi, sądząc w pierwszej chwili, że jest to zwykły objaw uprzejmości, lecz gdy po jakimś czasie spojrziałem na bukiet, zauważyłem, iż w jego środku ułożona była z kwiatów litera J. Domyśliłem się natychmiast od kogo pochodzą kwiaty, a przeszukując je ostrożnie, znalazłem wewnątrz długi list od mej ukochanej. Na wstępie czyniła mi wyrzuty, że się dla niej narażam, lecz wybaczyła mi to pisząc, że i ona uczyniłaby dla mnie wszystko. Bukiet przesłała przez jedną z oddanych jej niewiast, która przekonała sternika, będącego jej kochankiem, iż nadarza się doskonała

sposobność zarobku: sprzedaż przybyłemu francuskiemu statkowi owoców, warzyw i jaj Wręczyła mu bukiet dla kapitana, aby – jak mówiła – przyjęto go lepiej na statku. Juanita przestrzegała mnie, bym nie przesyłał tą samą drogą żadnych wiadomości, gdyż byłoby to niebezpieczne; natomiast, pisała, na przystani spotkam kobietę sprzedającą pomarańcze i inne owoce, tudzież wiązanek złożone wyłącznie z kwiatów czerwonych i białych. Tej kobiety miałem spytać, czy pochodzi z Teneryfy, a gdy odpowie, że jest rodem z Lanzerote, wówczas będzie to znakiem, że mogę jej wręczyć list dla Juanity. Mogłem to z łatwością uczynić kupując od niej kwiaty i płacąc za nie. Odpowiedź miałem otrzymać przez sternika łodzi, który co dzień będzie przywoził mi owoce lub kwiaty, z wsuniętym między nie listem. Pisała, że przez następne dwa dni nie będzie mogła opuszczać swych komnat, jako że lekarz orzekł, iż jest cierpiąca i potrzebuje spokoju. Zapewniała, iż świadomość mej bliskości potrafiłaby przewyciężyć każdą chorobę. Po tym okresie zacznie znów udzielać się publicznie i doniosła, że wkrótce odbędzie się uroczystość, którą postara się wykorzystać do ucieczki. Radziła, aby zwrócić się z prośbą o pozwolenie uczestniczenia w nabożeństwie w katedrze pod pozorem, że pragniemy przy tej sposobności złożyć opatrności dzięki za uchronienie nas od niewoli – to usprawiedliwi liczną obecność naszych ludzi.

Plan wydał mi się bardzo zręczny, wymagający wszakże troskliwego i przemyślanego ułożenia szczegółów. Postanowiłem przeto udać się natychmiast na ląd i wysłać Juanicie wiadomość, że otrzymałem jej list, że zgadzam się z jej planem i że możliwie rychło doniosę jej, co postanowiłem.

Na molo zastałem wiele kobiet sprzedających owoce i kwiaty, a gdy zacząłem się rozglądać, wszystkie podsuwały mi swe koszyki proponując kupno Trudno mi było odnaleźć tę, której szukałem, ale w końcu ją dostrzegłem Ze sposobu, w jaki ułożony był towar w jej koszyku, można było łatwo pomiarkować, iż czynił to ktoś wyróżniający się wytwornym smakiem, owoce otoczone były wieńcem czerwonych i białych bukiecików

„Ach rzekłem zapewne pochodzisz pani z Teneryfy Chciałbym kupić trochę tych kwiatów”

Nie señor Jestem rodem z Lanzerote.

Wziąłem wiązanek kwiatów i wręczając jej dublona wsunąłem jednocześnie liścik do Doni Juanity Serce me drgnęło radośnie, gdy uczułem lekki uścisk jej dłoni, a przyglądając się uważnie kwiaciarce

poznałem w niej jedną z dziewcząt, którą stale widywałem w świetle Dom Juanity w Cartageme.

Udałem się następnie do domu, w którym gościłem ubiegłego dnia wraz z Trevorem. Nasi irlandzcy przyjaciele, pragnąc podjąć nas jak najgościnniej, zaproponowali obejrzenie walki kogutów, Wyspy Kanaryjskie słyną bowiem z hodowli tych bojowych ptaków Zgromadziło się tam już wiele osób chcących śledzić wynik zakładu, jaki stanął pomiędzy pewnym księdzem z pobliskiej wioski a jednym z miejscowych kupców Obaj wystawili swe koguty do walki Dookoła areny tłoczyli się oficerowie, mnisi, księża, marynarze, żołnierze, a nawet chłopci Guanczowie, jak nazywano pierwotnych mieszkańców wysp Przyglądając się mającym walczyć zapaśnikom stawiano namiętne zakłady, każdy wedle swej możliwości, a często i ponad nią.

Sport ten niewiele mnie interesował, uderzał mnie wszakże zapal, z jakim oddawali mu się wszyscy tubylcy. Zakład miał się rozstrzygnąć w trzech walkach W pierwszej kogut księzowski poniósł porażkę, co wywołało radość zwolenników kupca W drugiej ksiądz odniósł zwycięstwo i wówczas zakłady wzmożły się, a podniecenie doszło do szczytu Przez jakiś czas wynik walki zdawał się wątpliwy, gdy wtem ksiądz zapaśnik wbił zdecydowanie stalową ostrogę w mózg przeciwnika, kładąc go trupem na miejscu Zwycięzca wskoczył na ciało powalonego wroga, lecz gdy tylko rozpoczął pisać tryumfalnie sam również padł martwy od śmiertelnej rany, którą otrzymał tuż przed zadaniem zwycięskiego ciosu Właściciel jego gruby ksiądz, nie wydawał się bynajmniej zmartwiony śmiercią dzielnego ptaka Znacznie bardziej interesowało go skwapliwe zbieranie dublonów i dolarów jakie mu zewsząd wpłacano.

Po rozliczeniu zakładów ksiądz, upojony zwycięstwem i wypitym winem, rzucił wyzwanie, kto z obecnych chciałby postawić do walki następnego ptaka, idąc o zakład w wysokości pięćdziesięciu dublonów. Na to wystąpił pewien obszarpany Guancze, otulony w brudną opończę, oświadczając gotowość podjęcia księzowego wezwania Przywitał go śmiech powszechny i okrzyki, skąd weźmie koguta i pięćdziesiąt pesetów. Nie wzruszony drwinami zebranych Guancze wydobył spod opończy brudną chustę, z której wyliczył pięćdziesiąt dublonów, żądając, by ksiądz uczynił to samo Pomimo poprzedniej wygranej wielebny jegomość musiał zapożyczyć się u przyjaciół by postawić żadaną sumę Nie przyszło mu to trudno, gdyż – na równi ze swym poprzednim konkurentem – cieszył się opinią najlepszego hodowcy i układacza bojowych kogutów.

Niebawem obaj zapaśnicy stanęli na arenie oko w oko, ale zachwalany księży kogut okazał się istnym tchórzem i po kilku wstępnych starciach pokazał przeciwnikowi ogon i uciekł haniebnie Guancze zabrał ptaka i pieniądze po czym zniknął Ksiądz zaklinał się na wszystko, że tylko czary mogły go pokonać i zapowiedział, że doniesie o tym Świętej Inkwizycji.

Na tym skończyły się walki, z czego korzystając, odciągnąłem Trevora od naszych towarzyszy i opowiedziałem mu najnowsze wieści Odparł, że w podobnych przedsięwzięciach jakie zamierzaliśmy, spryt kobiecy wart jest więcej niż fortele tuzina mężczyzn i zapowiedział, że natychmiast podejmie kroki, by dopuszczono naszych ludzi do dziękczynienia podczas uroczystości w katedrze.

Powróciłem na statek, a po kilku godzinach zjawił się i Trevor oświadczył, iż odwiedził kapłanów w katedrze i zyskał ich opinię, że zamysł nasz jest wielce chwalebny i że przygotowują wszystko, byśmy podczas mającego się odbyć nabożeństwa mogli złożyć dziękczynienia.

„A teraz – rzekł Trevor – co pan myślisz o takim planie? Aby czynić dziękczynienia, wejść do świątyni z czterema normandzkimi marynarzami. Każdy z nich otrzyma pewną kwotę i potężną gromnicę, pan zaś z dwunastoma innymi będziesz towarzyszył nam jako honorowa asysta, oczekując nas przed drzwiami katedry. W tej liczbie będziemy mogli powstrzymać wszelki atak Hiszpanów, jeśliby ucieczka Doni Juanity została odkryta. Jak się zorientowałem, w galerii znajdującej się w środkowej części kościoła, mieści się jak gdyby loża, w której zwykła zasiadać familia gubernatora. Trzeba teraz, abyś pan zawiadomił donę, że skoro wkroczymy do środkowej nawy kościoła, by złożyć ofiary wotywnie u stóp biskupiego tronu, musi ona udać, iż znów jest jej słabo i starać się opuścić katedrę w asyście niewiast ze swej świty. W tym czasie jedna z jej towarzyszek musi zająć jej miejsce w lektyce, ona sama zaś powinna jak najszybciej dotrzeć do łodzi, dokąd pod jakimkolwiek pretekstem musisz pan za nią natychmiast podążyć. Oznajmiłem kapłanowi, że bezzwłocznie po złożeniu dziękczynienia opuszczę świątynię, z ufnością, iż święci pomogą mi ująć tej nocy pościgowi heretyków, czatujących na mnie za portem. Odstawisz pan Donę Juanitę natychmiast na pokład, obsadzając molo swymi ludźmi, póki nie wrócę, a my postaramy się potem dostać jakoś na statek. Gdybyśmy długo nie wracali, nie czekaj. Byłem już w tyłu przygodach, że gdybym nawet wpadł w ręce Hiszpanów, nie wątpię, że w końcu ich przechytrzę”.

„Co to to nie, mój drogi, nie pozostawię pana samego. Czy jednak

gubernator nie zauważy wyjścia swej bratanicy z katedry?”

„Nie ma obawy. Będzie on asystował biskupowi i duchowieństwu, a po pierwszej części nabożeństwa, podczas której wszyscy dostojnicy wojskowi i cywilni staną za tronem biskupim, włączą się oni do procesji, która zbliży się do ołtarza, by przyjąć komunię. Jeszcze przez godzinę po moim zemknięciu nikt nie ośmieli się do nich przemówić”.

„Doniosę o tym wszystkim Doni Juanicie i dowiem się, co ona sądzi o naszym planie”.

Nie przyda się opowiadać wam, cośmy sobie wzajemnie napisali, ale wszystko przygotowano wedle planu Trevora. Juanita przykazała, byśmy stłoczyli się przy jej lektyce, czyniąc pozór, iż pragniemy pomóc jej wsiąść, ona zaś, czyniąc to, wymknie się drugą stroną, pozostawiając wewnątrz jedną z towarzyszek okrytą jej płaszczem. Podczas gdy ona sama uda się z początku do katedry, dwie inne jej towarzyszki podążą na molo i tam będą w pogotowiu, by towarzyszyć jej na statek.

Dla czterech ludzi swej asysty Trevor kupił największe gromnice, jakie można było znaleźć na wyspie, zrobione z czystego wosku, które mógł unieść tylko mąż krzepki. By poprzeć wobec księży swe wywody, iż musi opuścić świątynię przed ukończeniem uroczystego nabożeństwa, osobistą swą ofiarę, wynoszącą piętnaście dublonów, Trevor wyłożył na ozdobnej poduszce. Ja wraz z eskortą zaopatrzyłem się w zwykłe drewniane gromnice o długości około ośmiu stóp, na których wierzchu umieszczono osiemnastocalowe woskowe świece. Trevor zapewnił, że drewniane podstawy gromnic będą znakomitym orężem do odparcia nacierających.

Wszystko rozwijało się pomyślnie aż do wieczora poprzedzającego nasze przedsięwzięcie. Znienacka przybył na statek O'Connor ze swymi dwoma Irlandczykami i zszedł wprost do kabiny, gdzie czyniliśmy ostatnie przygotowania rozmawiając z Samem Moxonem. Dosłyszawszy, że zwracamy się do niego po angielsku, zakrzyknęli obaj: „Pachnie tu zdradą!”, po czym usiłowali wyskoczyć na pokład i zaalarmować łódź, która ich przywiozła. Zdołaliśmy temu przeszkodzić, obezwładniliśmy obu i odesłaliśmy ich łódź na ląd, mówiąc, że irlandzcy panowie pozostają na statku. Zmiarkowaliśmy, że trzeba szybko załatwić się z naszymi nieproszonymi gośćmi. Oświadczyliśmy im przeto, iż ponieważ przybyli nie proszeni, zatem bez naszego zezwolenia nie będą mogli opuścić statku, a tymczasem zechcą nam pożyczyć na jakiś czas swych szat, jako że niemiła okoliczność zmusza nas do ich użycia. W szaty te przybraliśmy trzech naszych ludzi, którzy dołączyli się do procesji czyniąc pozór, że nasi irlandzcy przyjaciele towarzyszą nam z własnej ochoty.

Wysiadłszy na brzegu z łodzi uformowaliśmy orszak, przy czym Trevor kroczył pośrodku, podtrzymywany przez czterech ludzi niosących uroczyste gromnice przeznaczone na ofiarę dla kościoła, ja zaś z moimi ludźmi postępowaliśmy w szeregu po obu stronach orszaku. Gdy zjawiliśmy się przed katedrą, czoło orszaku zajął kapłan z sześciu chórzystami, intonując „Te Deum”. Przy drzwiach świątyni zatrzymałem moich ludzi, usuwając się na stronę, a Trevor ze swą czwórką wszedł do środka. Wkrótce po naszym przybyciu pojawiła się lektyka Juanity, niesiona przez ośmiu Murzynów przybranych w bogatą liberię, w asyście świty złożonej z dam i paziów. Juanita wyszła z lektyki, trzymając w ręku czerwono-biały bukiet, co było umówionym znakiem, że jak dotąd wszystko idzie zgodnie z ułożonym planem.

Za gubernatorem i jego sztabem, strojnym w błyszczące uniformy, weszła do katedry również cała eskorta wojskowa, tak że na zewnątrz zostaliśmy niemal sami. Na ulicach pozostali jedynie wieśniacy i co uboższa ludność, jako że nabożeństwo miało być odprawione we wszystkich kościołach o tym samym czasie. Całe wojsko, załogi kanonierek i część załogi fregaty musiały tu lub tam wziąć udział w uroczystościach ku uczczeniu założenia kolonii.

Przez jakiś czas czekaliśmy cierpliwie, słuchając głosu organów i pienia chórzystów, gdy nagle otwarły się małe drzwiczki i ukazało się w nich kilka niewiast, podtrzymujących damę zdającą się omdlewać. „Przywołaj pan lektykę Doni Juanity” – powiedziała jedna z nich. Poskoczyłem natychmiast i kazałem niewolnikom podać lektykę, po czym rozwarłem drzwiczki i pomogłem Juanicie usadowić się wewnątrz.

Poczułem uścisk jej ręki i dojrzałem, jak jedna z towarzyszek pomaga jej zrzucić wierzchnie okrycie. Zamknąłem więc drzwiczki i począłem wraz z moimi ludźmi odsuwać cisnący się do lektyki tłum. W czasie krótszym niż potrzeba na opowiedzenie tego Juanita wyskoczyła ukradkiem z lektyki, pozostawiając w niej swą towarzyszkę, co widząc rozkazałem Murzynom odnieść ich panią do domu. Sam zaś z dwoma ludźmi uprowadziłem Juanitę śpiesznie ku molu, dokąd dotarliśmy bez przeszkód. Jednak gdy usadowiłem ją w łodzi, wmieszali się w to strażnicy, a jeden z nich – rozpoznawszy krewniaczkę gubernatora – wszczął alarm. Dobyłem szabli i zastawiłem strażnikom dostęp do łodzi, a w następnej chwili dołączył Trevor z resztą naszych ludzi. Czas już był najwyższy, gdyż z sąsiednich kościołów zaczęli wysypywać się żołnierze i marynarze spiesząc ku molu i trzeba było krzepko wywijać drewnianymi gromnicami, by osłonić wejście do łodzi. W końcu pozostaliśmy na molo

tylko we dwóch z Trevorem, kazaliśmy więc łodzi odbić i wiosłować co sił na statek, sami zaś zastawiliśmy się jeszcze najbliższym Hiszpanom i gdy łódź oddaliła się już na dwadzieścia jardów, wskoczyliśmy do wody i dogналиśmy ją wpław. Co się dalej stało, wiecie równie dobrze jak ja. Trzeba teraz zatroszczyć się o odesłanie na ląd O'Connora i jego przyjaciół, jeśli do tej pory nie umknęli.

– Dobrze, dobrze, George. A teraz, kiedy zamierzasz wziąć ślub?

– Ślub?! – zdziwił się Dormer. – Wcale o tym nie pomyślałem. No, chyba jak znajdziemy się w jakimś cywilizowanym miejscu.

Powiedziałem mu, że Czarny Jack wziął do niewoli hiszpańskiego padre, na co wybuchnął serdecznym śmiechem i oznajmił, że natychmiast porozumie się w tej sprawie z Doną Juanitą.

– Och – odparłem – ona z pewnością nie odmówi swej gotowości, ale pomów chyba najpierw z padrem i spraw, by zgodził się dopełnić uroczystości, bo co do tego nie masz jeszcze pewności.

– Oczywiście, a gdzież on?

– Nie mam pojęcia, ale każemy go sobie bezzwłocznie sprowadzić.

Gdy niebawem dostawiono jeńca na rufę, wściekłość wzięła w nim z początku górę nad rozsądkiem. Skazał nas na najstraszliwsze kary i oświadczył, iż wszelkie nasze przedsięwzięcia spotkają się z niepowodzeniem, jako że znajdujemy się pod klątwą kościoła. Zapowiedział, że skoro tylko zostaniemy schwytani, co niechybnie nastąpi, wydadzą nas w ręce Świętej Inkwizycji, która nakaże spalić nas na stosie za zbrodnię herezji i świętokradztwa.

– Skazani żyją czasem bardzo długo – powiedział George. – A teraz, padre, uczynią ci pewną propozycję. Cofnij twe klątwy i połącz mnie węzłem małżeńskim ze znajdującą się na statku niewiastą, a dostaniesz za to dwadzieścia dublonów.

Biedny księżulek, który – sądząc z jego postaci i wyglądu – nie widział nigdy na oczy takiej sumy, oświadczył z początku, że powiększamy tylko nasze grzechy i karę za nie, usiłując go przekupić, ale na widok wyliczanych ciężkich sztuk złota zaczął się wahać i w końcu, po pewnych targach, zgodził się spełnić nasze, żądania za dwadzieścia pięć dublonów.

– Musicie jeno – rzekł – zabrać mnie z sobą, gdyż nigdy nie ośmielę się powrócić do Las Palmas.

– To się rozumie – zapewnił George. – Możesz, padre, jeśli chcesz, zostać prywatnym kapelanem mej małżonki.

Ustaliwszy to, George zszedł, by pomówić z Doną Juanitą, a ja podszedłem do Saint Pierre'a i okrzyknąłem Trevora pytając, czy ma na

pokładzie Irlandczyków.

– Są, panie – odkrzyknął – zabawiają się wesoło na dole przy ponczu i kartach. Oświadczyli, iż gdyby tylko wiedzieli, że chodzi o niewiastę, nigdy nie usiłowałiby popsuć zabawy.

– Dobrze, powiedz im, że odeślemy ich przy pierwszej sposobności, ale że jesteśmy dostatecznie wysoko na wietrze, weźmiemy kurs na południe tak długo, aż osiągniemy szerokość przylądka St. Mary, potem zaś skierujemy się do Gambii, aby uzupełnić zapasy i dokonać napraw niezbędnych dla obu naszych statków po tych dwóch akcjach.

Oba statki położyły się niebawem na kurs w pół wiatru. Po jakimś czasie, który wydał mi się dosyć długi, George wyszedł z kabiny Doni Juanity i oznajmił, że ułożono ceremonię ślubu na następny ranek.

Zgodnie z planem don Sebastian, jak zwał się padre, dokonał obrządku przy zaimprovizowanym ołtarzu, wzniesionym w tym celu w salonie. Podobało się to wielce oblubienicy, jednak George oświadczył, że mimo dokonanej ceremonii ślubnej zdecydowany jest zawrzeć raz jeszcze prawdziwie marynarski ślub, gdy tylko natknie się na pierwszego, pełnoprawnego pastora kościoła anglikańskiego. Od tej chwili zaczął przemyślać, jakby tu dostać się do Anglii, bowiem cel jego podróży został już osiągnięty. – Nie mogę żądać, byś przerwał swą podróż – rzekł mi – zaś co do Saint Pierre’a, to choć jest on wcale dzielnym stateczkiem, trudno znaleźć tam stosowne miejsce dla niewiasty. – Zdaj się na los szczęścia, mój drogi. Być może znajdzie się w Gambii jakiś statek idący do kraju. Zaokrętujesz wówczas nań część swych ludzi i dział z Saint Pierre’a, a że każdy okręt wyruszający na handel przy zachodnich wybrzeżach Afryki jest dobrze wyposażony, będziecie zatem dość silni, by odeprzeć atak każdego nieprzyjacielskiego okrętu, mniejszego od fregaty. A gdyby nawet teraz nie znalazł się tam stosowny statek, znajdzie się na pewno trochę później.

– Tak, to brzmi bardzo pięknie. Ty, przywykły uprawiać handel w Gwinei, nie troszczysz się o malarię i inne choroby panujące na wybrzeżach afrykańskich, ale gdybym wyrwał mą żonę z grona jej rodziny i przyjaciół tylko po to, by dokonała żywota na okręcie, nie miałbym spokoju do końca życia.

– Nie upadaj, George, na duchu. Na pewno pani Dormer nie podziela twego zdania. Jest równie dzielna, jak piękna i gwarantuję, że zachowa hart ducha nawet gdybyśmy mieli zarazę na statku. Ale możesz być pewien, że w Gambii znajdziesz odpowiedni statek, na którym będziesz mógł odwieźć żonę do kraju.

Osiągnąwszy potrzebną szerokość wykonaliśmy zwrot i wkrótce dostrzeżliśmy przylądek St. Mary, po czym – uważnie sondując – podeszliśmy do kotwiczowiska. Zastaliśmy na nim cztery statki, z których trzy były statkami handlowymi, a czwarty – czterdziestodziałową fregatą jego królewskiej mości, Thetis. Dwa z tych statków handlowych zatrzymały się w drodze powrotnej do kraju.

Przywieźliśmy tam pierwsze wieści o ogłoszeniu wojny pomiędzy Anglią i Francją, na co dowódca fregaty Thetis, mającej rozkaz płynąć do Gibraltaru, zaofiarował się konwojować do tego miejsca idące do kraju statki, stamtąd zaś łatwo im będzie dołączyć się do jednego z konwojów, mijających bezustannie Gibraltar w drodze na wschód i z powrotem.

– Widzisz zatem, George – powiedziałem – gdy rzuciliśmy kotwicę tuż za rufą Thetis – masz statek idący do kraju, zaś na okręcie wojennym tej wielkości co Thetis będzie na pewno kapelan, który zwiąże cię bezzwłocznie prawdziwie marynarskim węzłem małżeńskim.

Obłożywszy łańcuch kotwiczny i zwinąwszy żagle, spuściliśmy łódź i powiosłowaliśmy do Thetis. Na pokładzie

szancowym powitał George’a hrabia Thomas Beaufoy, jego przyjaciel i towarzysz z czasów słynnej kampanii pod Ansonem.

– Kogo widzę! George, stary zejmanie, co tu robisz? – zawołał.

– To dłuższa historia, ale powiedz mi najpierw, czy macie na okręcie kapelana?

– Kapelana? Mamy, ale cóż do diaska chcesz robić z kapelanem?

– Chcę, aby dał mi ślub.

– Ślub?! Czyżbyś po to przybył do Gambii, by ożenić się tu z jedną z tych ciemnych, lśniących od tłuszczu piękności, które trudnią się załadunkiem statków, podczas gdy ich panowie i władcy wylegują się pod drzewami ćmiąc fajki i hazardując się grą?

– Nonsens. Pójdź na Blach Prince’a, a zobaczysz moją żonę.

– Twoją żonę? Masz żonę i chcesz się żenić powtórnie? Prawdziwy z ciebie basza turecki.

– Przestań podrywać. Wiedz, że jestem dopiero pół żonaty.

– Półżonaty! Chyba pół przy zdrowych zmysłach. Zechciej pan – rzekł, zwracając się do mnie – wytłumaczyć, co on ma na myśli?

Śmiejąc się z tej wymiany słów, odparłem:

– Tak, panie. Mimo że może się to wydać dziwne, wszystko, co powiedział, jest prawdą. – Tu opowiedziałem pokrótce, co się wydarzyło.

Komandor Beaufoy uśmieł się z całej historii, wyrażając nadzieję, że byłoby dla nas najlepiej, gdyby jak najrychlej ogłoszono wojnę pomiędzy

Hiszpanią i Anglią. Inaczej Hiszpanie nie omieszkają złożyć skargi u dworu w St. James, zostanie wszczęte dochodzenie i tak lub inaczej wywiedzą się, kim jest George.

– Nazwa statku Saint Pierre – oświadczył – znana jest w Las Palmas i po tym mogą cię zidentyfikować. A możesz być pewny, kochany George, że znamienity grand hiszpański, Don Luis da Sotomayor, i inni dowiedzą się rychło, iż bratanica jego umknęła z „angielskim marynarzem, heretykiem, w którym się zakochała”.

– Mam nadzieję, że nie będziesz o tym trąbił. – Nie, ale radziłbym ci pozbyć się jakoś twego lugra i po przybyciu do Anglii usunąć się z żoną trochę w cień, dopóki ten sztorm się nie przedmucha, chyba żeby ogłoszono wojnę z Hiszpanią, bo wówczas zostałbyś bohaterem.

– Tak, chyba spalę lugier i myślę, że Hawkins przyjmie część jego załogi, zaś ludzi i działa, których nie, będzie potrzebował, postaram się umieścić na innych okrętach.

– To i dobrze. A teraz umieram z ciekawości ujżenia pani pół-Dormer. Jakże ją nazywasz?

– Dość tych głupstw, Beaufoy. Proszę, poślij po swego kapelana i powiedz mu, o co chodzi.

– Oczywiście.

Gdy zjawił się wielebny Simon Jones, powiedziano mu, że nazajutrz ma udać się na pokład Black Prince’a, by udzielić tam ślubu dwojgu ludziom.

Kapelan zauważył, iż byłoby lepiej zawrzeć małżeństwo na pokładzie fregaty, gdyż dziennik okrętowy okrętu wojennego jest oficjalnym, przechowywanym dokumentem, a dokonany w nim zapis o obrzędku pozostanie na zawsze dowodem, że małżeństwo takie zostało istotnie zawarte, gdyby dowód taki był kiedykolwiek potrzebny.

– Książd ma słuszość – oświadczył George Dormer. – A zatem, jeśli to wam odpowiada, stawię się na pokładzie jutro wraz z mą damą o dziesiątej.

Uzgodniwszy to, George Dormer udał się na Indian Queen, większy z dwóch statków handlowych wyruszających do kraju, by zapewnić przejazd na nim dla siebie wraz z małżonką przynajmniej do Gibraltaru. Ja zająłem się natomiast naprawą Black Prince’a. Niebawem opuściliśmy na pokład stengi masztów i odjęliśmy prowizoryczne łąty nałożone na kolumny masztów po walce z piratem, by przygotować omasztowanie do właściwej i solidnej naprawy. Tom Merrick, dla którego nie było roboty, udał się na ląd do faktorii Kompanii Afrykańskiej, aby rozejrzeć się za

możliwością dokonania jakiejś transakcji handlowej.

Podczas gdy jedni zajęli się masztami i rejami, inni pod kierunkiem cieśli obejrzeni kadłub. Dowiedziałem się z przykrością, że chociaż łąty na otworach postrzałowych powstrzymywały przeciek o tyle, iż przy dwugodzinnym codziennym pompowaniu okręt pozostawał suchy, to jednak szkody były znaczne i nie można ich było naprawić bez wyciągnięcia go na brzeg lub położenia na burcie; gdybyśmy w obecnym stanie napotkali złą pogodę i statek musiałby ciężko pracować na fali, było więcej niż pewne, że przeciekałby gwałtownie.

Nie mogłem myśleć o położeniu statku na burcie, mając uszkodzone kolumny masztów, zaś wyciągnięcie go na mulisty brzeg gambijski musiałoby – zdaniem McAllistera i moim – skończyć się wybuchem epidemii malarii wśród załogi.

Było to według mnie gorsze niż zła pogoda i szczerze się martwiłem, co począć. Wieczorem zjawił się na obiad komandor Beaufoy. Honory przy stole pełniła Dona Juanita, a raczej pani Dormer, jak powinienem ją teraz nazywać. Beaufoy był tak oczarowany jej pięknnością, iż oświadczył, że gdyby miał szczęście posiadać jej uczucia, zaryzykowałby z pół tuzina wojen, po czym serdecznie gratulował George'owi posiadania tak wyjątkowej i cudnej niewiasty.

Po obiedzie pozostawiliśmy małżonkom swobodę, sami zaś z komandorem Beaufoyem i Merrickiem oddaliśmy się na rufie pogawędce, podczas której wspomniałem o naprawach, jakich wymagał nasz kadłub.

– Och – rzekł komandor Beaufoy – zachodząc przed przyjściem tu do Sierra Leone zauważyłem tam kilka zatoczek, znakomicie nadających się dla waszych potrzeb; można tam wyciągnąć statek na dobry, suchy grunt. Przy jednej z nich stoi kilka dużych domów, zbudowanych kiedyś przez jakichś włóczęgów. Są jeszcze w bardzo dobrym stanie i można w nich wygodnie pomieścić załogę na czas naprawy. Wejścia do tej zatoczki – będzie to pierwsza po minięciu przylądka – broni kilka niezłych warowni, w których, jeślibyście tam mieli pozostać, można by ustawić wasze działa. Poza tym osadnicy pilnują dobrze z okolicznych wzgórz zbliżania się każdego obcego żagla. Można dostać tam dobrej wody. W bezpośrednim sąsiedztwie zaopatrzenie jest wprawdzie liche, lecz w Port Lokko, gdzie wpada do morza duża rzeka, znajdziecie ludzi skłonnych do handlu i mogących dostarczyć wam bydła. Możecie bez trudu wysłać tam lugier podczas naprawy statku, a potem – jeśli chcecie – możecie go się pozbyć.

– Są to niewątpliwie dobre dla nas wieści i postaram się ruszyć tam jak

najrychlej. A kiedy zamierzasz pan postawić żagle?

– Nie wiem dokładnie, ale za dwa, trzy dni. Indian Queen i Monarch oczekują łodzi, mających nadejść z przystani położonych w górze rzeki. Słyszałem też, że jakiś szczep Mandmgów, czy o podobnej nazwie, ma tu przybyć jutro z pokaźną ilością złota.

– Czyżby? – zaciekał się Merrick. – Nie wiadomo, czy zechcą z nami handlować.

– Musisz pan być z tym ostrożny, gdyż kupcy z faktorii mają fu zastrzeżone prawo handlu i wszystkie trzy statki, znajdujące się teraz na rzece, są przez nich zakontraktowane. Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby pozwolili wam spróbować szczęścia za pewną prowizją.

– Spróbuję więc jutro namówić agenta, aby pozwolił mi tu zahandlować. Tymczasem, panie Beaufoy, czy może mi pan powiedzieć, co to za miejsce to Sierra Leone?

– Miejsce? To w ogóle nie jest żadne miejsce. Jest tam około czterdziestu białych i trzy lub cztery razy tyle Mulatów. Wszyscy zajmują się handlem niewolnikami, a jeśli prawdą jest to, co się słyszy, nie mają nic przeciwko temu, aby uprawiać piractwo, gdy nadarzy się pomyślna sposobność. Część z tych ludzi była kompanami pirata Roberta w czasach, gdy przepędził on w 1730 roku przedstawicieli Kompanii Afrykańskiej. Teraz nie ma tam właściwie ustalonego przywódcy Europejczyków.

Gdy nam to opowiadał, przyniesiono wiadomość, że na pokład Black Prince'a przybył Ralf Trevor, który pragnie rozmówić się ze mną. Kazałem, aby przyszedł do nas na rufę, a gdy się po chwili zjawił, rzekł:

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam panu i jego kompanii, ale chciałem go spytać, zali prawdą jest, że mamy porzucić lub zniszczyć lugier?

– Ciekawe jakżeś się o tym wywiedział? Rozważaliśmy istotnie tę sprawę. Kapitan Dormer wraca wraz z żoną do kraju na pokładzie Indian Queen, na który to statek zamierza przerzucić część waszych dział, jak również zabrać tych ludzi, którzy by chcieli tam przejść.

– Rozumiem, panie, że nie ma co przeszkadzać teraz kapitanowi Dormerowi, ale chciałbym wyblagać uratowanie życia Saint Pierre'a. Zaraz wyjaśnię panom, jak mogłoby to okazać się pożyteczne. Na takim statku mógłbym na powrót jać się przeprow ciemnymi nocami przez Kanał i jak dawniej woziłem pocztę pomiędzy jakobitami znajdującymi się w kraju i zagranicą, tak teraz mógłbym dostarczać informacji z kontynentu dla rządu angielskiego, w czym nie budziłbym podejrzeń ze strony

Francuzów. Znam wszystkich przemytników od początku Kanału do North Foreland, a nawet, jeśli zajdzie potrzeba, aż do Gravesend i Harwich. Ważne jest tylko, bym nie budził u nich podejrzeń.

– Co? Chcesz więc powrócić do dawnych praktyk?

– Niezupełnie, kapitanie. Jednak lugier nadaje się doskonale do rejsów kanałowych, podczas gdy tu nie jest statkiem zbyt wygodnym, nie może też przewozić przez ocean ładunków do Indii. Potrafi co prawda dopłynąć dość bezpiecznie do Antigui czy Jamajki, ale na tak długim szlaku zdoła zaledwie zabrać tyle wody, ile potrzeba dla własnej załogi.

– Tak, mówisz prawdę. Cóż więc zamyślasz?

– Pozwólcie mi zawieźć do kraju ładunek dla stryja kapitana Dormera, czcigodnego dostojnika Londynu. Trzyma on w ręku jeden koniec handlu kontynentalnego, ja zaś wiem, kto trzyma drugi. Od tej chwili we Francji nie zdarzy się nic, o czym by Sir John Dormer nie został natychmiast powiadomiony.

– Nie mogę decydować o tym bez kapitana Dormera, a pan Merrick musiałby dostarczyć wam ładunku. Przemyśle sobie tę sprawę, liczyłem jednak, że uzupełnię moją załogę waszymi ludźmi. Ośmiu ludzi straciłem w akcji przeciwko Golden Lionowi, ponadto jest około dziesięciu rannych i chorych, których zamierzałem odesłać przy tej sposobności do kraju, jako że lekarz nie wróży im rychłego powrotu do zdrowia.

– Nie potrzeba mi wielu ludzi, panie. Jeśli dostanę potrzebny dokument, będę mógł uchodzić, zależnie od potrzeby, za Francuza lub Anglika i nie będę potrzebował staczać walk. Wystarczy mi dziesięciu ludzi.

– To dobrze. Zobaczę, co będziemy mogli zrobić dla ciebie.

– Dziękuję. Przekona się pan pewnego dnia, że Ralf Trevor potrafi wywdziękzyć się za okazane mu zaufanie. – Po czym odszedł, złożwszy nam życzenia dobrej nocy.

– Kto to zacz? – spytał Beaufoy. – Żądanie to dość niezwykle, dać mu statek i ładunek bez żadnej gwarancji, że nie sprzeda ich w najbliższym porcie francuskim.

– Tak to wygląda, ale mimo iż pierwsze nasze spotkanie zawdzięczać możemy faktowi, że był grasantem na gościńcu, oraz choć wraz z mym przyjacielem, Tomem Merrickiem, siedziałem z jego powodu w więzieniu, nie znam człowieka, któremu mógłbym prędzej zawierzyć.

– Był grasantem na gościńcu? A przecież przed chwilą ośmielił się w mej obecności wyznać niemal, że był przemytnikiem.

– Tak, był i tym także. Jest on jakobitą, a Dormer, który obserwował go

bliżej na pokładzie lugra, bardzo go wychwala, utrzymując, że jest to w każdym calu uczciwy szlachcic. A jeśli idzie o jego sakiewkę, Trevor będzie miał wkrótce wszystko, o co teraz prosi.

– Hm, to ciekawe. Sam jest jakobitą, a na statku ma dwóch Irlandczyków... Czy nie spiskują oni czasem z francuską częścią załogi?

– Nie, tego nie trzeba się obawiać. Poślę po Dormera i spytam, jak zamierza przeprowadzić jutrzejszą uroczystość; powiem mu też o prośbie Trevora.

George nadszedł wkrótce i oświadczył, że Dona... to znaczy pani Dormer, przybędzie na pokład Thetis jutro o dziesiątej. Wyraził nadzieję, że będzie jej towarzyszył jako ojciec, wydający za mąż córkę, podczas gdy Merrick będzie jego drużbą, a niewiasty ze świty Juanity – jej druhami. Co do Saint Pierre'a oznajmił, że niewiele mu na nim zależy i chętnie uczyni wszystko, by zadowolić Trevora. Wyraził pewność, iż ten dotrzyma danego słowa.

Nazajutrz udaliśmy się wszyscy na pokład fregaty Thetis, gdzie odbył się uroczysty ślub. Po dokonaniu stosownych zapisów w dzienniku okrętowym na pokładzie Black Prince'a odbyło się przyjęcie, na które proszony był komandor Beaufoy wraz ze swym kapelanem i oficerami oraz kapitanowie pozostałych statków. Dormer i jego żona nalegali, by wziął w nim udział również Trevor, do czego ten w pierwszej chwili odniósł się dość niechętnie.

Pod koniec uczyty weselnej wznieśliśmy pełnymi pucharami toast na cześć oblubieńców, życząc im szczęścia, pomyślności i długiego życia. Dziękując wszystkim, George Dormer powiedział, iż skoro sam zdobył żonę na początku naszej podróży, nie wątpi, że przed jej zakończeniem i ja połączę się z osobą, której nazwiska nie wymienił. Zakończył mówiąc, iż w dowód uznania zasług wyświadczonych mu przez Trevora, oddaje mu Saint Pierre'a do zamierzonych celów; ludziom z Black Prince'u odstąpił swą część udziału w wartości przyzu oraz tysiąc gwinei do podziału wedle ich uznania.

– Zaiste! – rzekł Beaufoy. – Zawsze byłeś, George, niezmiernie szczodry, ale zdaje się, że chcesz wszystkich w hojności przewyższyć.

Na tym skończyło się przyjęcie, po czym przystąpiliśmy pilnie do dalszej naprawy górnych części naszego omasztowania. Wraz z Merrickiem uzgodniliśmy z agentem Kompanii Afrykańskiej zakup ładunku dla Saint Pierre'a, a że niektóre z naszych towarów okazały się bardzo poszukiwane, przy czym agent nie posiadał ich w swych składach, udało nam się zakupić sporą ilość złota od Maurów, przybyłych z głębi

ładu na małych włochatych konikach w asyście licznych niewolników.

W trzy dni wszystkie przygotowania ukończono, po czym fregata Thetis, towarzysząc Monarchowi oraz Indian Queen, wyruszyła w drogę do Gibraltaru. Gdy ten ostatni statek przepływał koło nas, kierując się ku wyjściu, wznieśliśmy gromki okrzyk na cześć Dormera i jego małżonki, stojących na rufie, Trevor nie chciał ruszać w tym samym czasie, oświadczając, że będzie nam towarzyszył do Sierra Leone, gdzie może się przydać, po czym samotnie skieruje się do Anglii.

Do Sierra Leone dopłynęliśmy szybko i bez przeszkód, a przybywszy tam stwierdziliśmy, że zatoczka, o której mówił nam komandor Beaufoy, nadawała się znakomicie do wyciągnięcia statku na brzeg. Po nawiązaniu kontaktu z kolonistami i uzyskaniu od nich zezwolenia na dokonanie naprawy statku, wypróżniliśmy ładownie, składając ich zawartość w szopach na lądzie. Przekonałem się z radością, że były one chronione mocną barykadą, jako że napotkani Europejczycy w zupełności wyglądali na takich, jakimi nam ich opisano. Poczyniłem wszelkie ostrożności, by nie spotkały nas w nocy jakieś niespodzianki. Nadzór nad strażą powierzyłem Merrickowi, a Trevorowi poleciłem zakotwiczyć jego statek u wejścia do zatoczki, by mieć oko na jakiegokolwiek zakusy i z tej strony.

Przedsiębiorąc wszelkie ostrożności przeciwko łupieżczym instyktom Sierra Leonitów, musieliśmy jednak utrzymywać z nimi jak najlepsze stosunki, było bowiem wśród nich kilku doświadczonych skutników, gotowych pomóc nam przy naprawie Black Prince'a, a ponadto nadarzała się okazja do kupna po nader umiarkowanej cenie około setki krzepkich niewolników.

Miejscowym naczelnikiem, wybranym przez swych towarzyszy, był pewien stary, doświadczony Szkot. O przeszłości jego nikt niczego pewnego nie wiedział, prócz tego, że przed około dwunastu laty przybył tam w małej łodzi, wraz z dwoma Murzynami. Opowiedział, że oni trzej byli jedynymi ludźmi ocalałymi z załogi pewnego statku wiozącego niewolników, którym dowodził. Statek ten podczas gwałtownego tornada przewrócił się stępką do góry i zatonął w ciągu kilku chwil.

Przybysz ten wykazał wkrótce wiele rozsądku i zaradności, a obecnie był już dość zamożny. Sam zbudował sobie kilka niewielkich szkunerów, na których zwoził do swego obozu niewolników. Dwa lata przed naszym przybyciem uznany został jednogłośnie przez towarzyszy za człowieka najbardziej odpowiedniego do sprawowania nad nimi władzy. McCullum, tak się bowiem zwał, miał zwyczaj rozstrzygania sporów w drodze pojedynków, przy czym gdy raz już postanowił, że spotkanie ma się

odbyć, nigdy nie zezwalał na to, by je zażegnano. Dzięki temu wśród jego poddanych panował większy ład niż w niejednym cywilizowanym mieście. Biali tyranizowali jednak Mulatów, ci z kolei znęcali się nad czarnymi, którzy mieli nieszczęście dostać się w ich ręce.

Musiałem ustawicznie widywać się z McCullumem, gdyż zatrudniłem wielu wyuczonych przez niego skutników. Pewnego dnia zaproponował, abym obejrzał obóz jego niewolników.

– Jak to – zdziwiłem się – wszak widzę ich co dzień w waszym domu.

– He, he, panie, były chwile, że Murzyny otoczyły nas jak szerszenie; żaden misjonarz nie dał rady tu wyżyć. Gdybyśmy, he he, nie mieli namiociku, nie wynieśliśmy cało skóry i dobytku. – To rzekłszy, zaprowadził mnie do obszernych piwnic, wykopanych w stoku wzgórza, w których, jak mnie zapewniał, mógł pomieścić w razie potrzeby trzy tysiące niewolników. Kilka takich piwnic było własnością gromady. Stanowiły one schronienie w czasie, kiedy budowano oglądane przeze mnie forty.

Spytałem, czy są teraz jeszcze trudności z okolicznymi krajowcami, na co odparł, że od chwili, kiedy wyrobił sobie mir, zachowują się dość przyjaźnie. Po czym z ponurym uśmiechem dodał:

– Trzeba być diabelnie surowym z tymi tępymi bestiami.

Gdy po jakimś czasie obchodziłem kolonię, przekonałem się, że musiał być istotnie „diabelnie surowy”, bo nagle na wyciętej w dżungli przesiece natknąłem się na trupa powieszzonego krajowca. A spojrzawszy w lewo i w prawo wzdłuż przesieki zobaczyłem, jak daleko wzrok sięgał, wisielców co piętnaście jardów. Jak mi potem opowiedziano, wkrótce po objęciu rządów przez McCulluma, krajowcy przedsięwzięli napad, który omal nie skończył się ich sukcesem. Europejczyków ściśnięto i otoczono tak w ich ówczesnym schronieniu, że całkowicie odcięci byli od jakiegokolwiek zaopatrzenia i już mieli się poddać, wobec grozy śmierci głodowej, gdy McCullum zaproponował następujący, rozpaczliwy fortel, uwieńczony pełnym powodzeniem: Otwarto nagle szeroko wrota i pozwolono tubylcom wdrzeć się do środka. Na czele wdarli się najbardziej chciwi łupu i grabieży, a gdy było ich już wewnątrz około dwustu, zamknięto wrota. Będący wewnątrz znaleźli się w pułapce i zostali bądź wycięci, bądź wzięci do niewoli. Wśród jeńców natrafiono na kilku wodzów, wobec czego zatrzymano ich jako zakładników i wszczęto układy.

Po zdjęciu oblężenia kazano jeńcom wyciąć dokoła osady przesiekę, po czym – oprócz tych, którym obiecano życie – powieszono ich na niej.

Zapowiedziano następnie współplemieńcom, że ktokolwiek przekroczy przesiekę bez pozwolenia, powiększy liczbę wisielców, oraz że wielkie zakłęcie sprawi, iż, spotka ich nieszczęście, gdyby kiedykolwiek chcieli przekroczyć przesiekę w większej liczbie. Ilekroć potem odkryto krajowca, który znalazł się bez pozwolenia wewnątrz przesieki, wieszano go na miejscu. Od tego czasu prowadzono bez przeszkód handel niewolnikami, jedynym jakim w owych czasach trudnili się mieszkańcy Sierra Leone.

Naprawy wykonywano z największym pośpiechem i na siódmy dzień po naszym wejściu mogliśmy już ściągnąć Black Prince'a na kotwicę. Byłem z tego niezmiernie rad, gdyż kilku spośród załogi zaczęło zdradzać już objawy malarii i obawiałem się, że stracę wielu, gdyby musieli nadal sypiać na lądzie.

Rozpoczęliśmy natychmiast załadunek towarów i do zachodu słońca spora jego część znajdowała się już na statku. Trzeba było wówczas podzielić załogę w ten sposób, że jedni pozostali wraz z Tomem Merrickiem na lądzie, na straży pozostawionych tam towarów, drudzy zaś przenieśli się na pokład i zaciągnęli wachtę na okręcie. Podczas środkowej wachty, przy drugiej szklance, obudził mnie grzechot muszkietów dochodzących od strony Saint Pierre'a i warowni. Krzyknąwszy na alarm wypadłem na pokład i zobaczyłem, że zostaliśmy zaatakowani przez blisko czterdzieści łodzi Timanisów, czy też Timmisów, którzy zbliżyli się z wrzaskiem i wyciem, usiłując zawładnąć statkiem przez abordaż. Nie mogąc wśród ciemności rozróżnić wrogów od swoich, zapaliłem w dwóch kotłach smołę i dziegieć, przeznaczone na następny dzień do smołowania mocnic burtowych.

Pomiarkowałem od razu, że napastnicy zamierzali raczej plądrować niż mordować i chociaż zdążyli poprzecinać niektóre części olinowania, udało nam się, po przeszło półgodzinnej walce, wyprzeć ich ze statku. Mimo to jednak kilku zdołało przedostać się pod pokład i rozciąć bele materiałów; tych trzeba było tropić po wszystkich zakamarkach. Kilku schwytaliśmy, pozostali jednak usiłowali wyskoczyć za burtę ze swym łupem. Widząc, że smoła i dziegieć silnie się już rozgrzały, wpadliśmy na pomysł wypędzenia rabusiów z dziur i zakamarków. Człowiek nie mógł ich stamtąd wyciągnąć bez narażenia się na zranienie, podczas gdy kilka kropel gorącej smoły czy dziegiu wyganiało ich skutecznie.

Wśród pojmanych znajdował się brat wodza z Port Lokko. Postanowiliśmy przeto stawić go nazajutrz przed McCullumem, aby powziął decyzję, co z nim uczynić.

Merrickowi powiodło się na lądzie nie gorzej niż nam. Zaalarmowany

strzałami Saint Pierre'a zdołał obsadzić palisady, zanim któremukolwiek z czarnych udało się przez nie przedostać. Odparto wszystkich, prócz dwóch, którzy przedostali się do środka; tych zabito na miejscu. Prawdziwą zasługę w odparciu napastników odniósł jednak Trevor, który osobiście pilnował na pokładzie czujnego pełnienia wachty. Już przed zachodem słońca dostrzegł większą liczbę łodzi nadpływających od strony Rokelle. Widząc, że nie kierują się wprost do osady, ani nie płyną dalej do Bissagos czy wysp Los, zaczął podejrzewać, że knują jakąś zdradę. Nie chciał jednak dzielić się swymi obawami, ponieważ cała załoga Black Prince'a napracowała się ciężko przez cały dzień i Trevor uważał, że powinni odpocząć.

Gdy zaszliśmy do domu McCulluma, odbywał on właśnie jakiś sąd czy też naradę. Sam zasiadał w głębi pokoju na krześle, za małym stolikiem, na którym widniały fajki i kubki. Towarzysze jego usadowieni byli dokoła ścian, na środku zaś stała odszypuntowana beczułka rumu.

– Hej, panowie! – ozwał się na nasz widok McCullum – gadanie diabelnie wysusza gardło. Weźcie więc po kubku grogu, a potem zobaczymy, co to się działo tej nocy.

Zajęliśmy miejsca, po czym Murzynkowie podali nam fajki, rum, wodę i cytryny. Gdy przygotowaliśmy sobie trunek, pozwolono nam zabrać głos.

Opowiedziałem pokrótce o nocnych wydarzeniach i zażądałem, by kazano wodzowi krajowców zapłacić za dopuszczenie się wobec nas zdradzieckiego postępu.

Popłynął rum i wszczęły się ożywione dysputy, po czym McCullum i jego doradcy orzekli, że za karę wódz dostarczy nam stu niewolników, za to zaś, iż napadł na przyjaciół kolonii, dostarczy dalszych dwustu, których podziela pomiędzy siebie McCullum i jego przyjaciele. McCullum zaznaczył, że na tych stu będziemy musieli długo czekać, wobec czego może nam zaraz dać za nich pięćdziesięciu.

Miałem ochotę sprzeciwić się tej horrendalnej propozycji, ale zarówno McAllister, jak Merrick nalegali, by ją przyjąć. Gdybyśmy pozostali, mówili, padlibyśmy niechybnie pastwą chorób. Oświadczyłem więc staremu łobuzowi, aby przysłał mi niewolników na statek następnego dnia, jako że pragnę jak najrychlej podnieść kotwice.

– Nie spiesz się, młodzieńcze – odparł. – Nie mam ochoty karmić cudzego bydła, ale że jesteś porządny chłopak, powiem ci pewną nowinę. Doniesiono mi, że w pobliżu przylądka Mount kręci się francuski handlarz, który ma na pokładzie wielu czarnych niewolników. Jeśli go schwytasz, nie będziesz potrzebował płacić za ładunek. Dla moich małych

stateczków on za duży, więc ci go daję w prezencie i postaram się, aby nie zmiarkował, że na niego dybiesz.

Podziękowałem McCullumowi za wiadomość, ten jednak rzekł:

– Rozwazałem, ile warta jest ta informacja i tak myślę, że jeśli sprzedam ją za dwudziestu pięciu niewolników to będzie cena godziwa; niechaj więc nie będzie sporów między nami, a ćwierć setki czarnych przyślę ci jutro rano.

Widziałem, że nie było rady na to oczywiste zdzierstwo postanowiłem jednak odegrać się na nim w miarę możliwości przy płaceniu za naprawę statku.

Załadowaliśmy na powrót statek, co trzeba było robić rozważnie, jako że musiało się znaleźć miejsce w międzypokładzie na niewolników, których mieliśmy otrzymać i na tych, których zamierzaliśmy zdobyć.

Wczesnym rankiem przywiązaliśmy żagle i stanęliśmy w kanale wyjściowym gotowi natychmiast podnieść kotwice, gdy tylko powieje morska bryza. To uczyniwszy, wyglądaliśmy pilnie przybycia niewolników, przyrzeczonych nam przez McCulluma. Wszelako miast niewolników dojrzeliliśmy samego McCulluma który podpłynął łodzią do burty i rzekł:

Ej, zacny młodzieńcze, a gdzie zapłata za moich skutników?

– Pieniądze – odparłem – są dla was przygotowane i zamierzałem odesłać je przez łodzie, na których przybędą niewolnicy.

– Nie, kochasiu, Andrew McCullum za stary wróbel na te plewy. Zamiast zapłaty podniesiesz fokmarsel i tyle cię będzie widać. Dasz mi zaraz pieniądze, a ja przyślę ci natychmiast niewolników.

Słyszając to poprosiłem, by zszedł do kabiny i tam wyliczyłem mu pieniądze, po czym szepnąłem Merrickowi, aby dotrzymał mu towarzystwa, częstując go dobrym rumem z Jamajki i prawdziwym tytoniem wirginia, sam zaś wyszedłem na pokład, rozkazałem wybrać na krótko łańcuch kotwiczny, puścić gordingi i wybrać marselszoty w oczekiwaniu na niewolników.

Gdy wszystko już przygotowano, a niewolników nadal nie było śladu, zszedłem do McCulluma i oświadczyłem krótko:

– No, McCullum, czas na nas.

– Jeszcze chwilkę, panie. Martwię się, czemu ci Murzyni dotąd tu nie przybyli. Poczekajcie z godzinę, pojedę na ląd i popędzę ich.

– Ach nie, teraz już nie warto. Myślę, że sam wystarczysz, McCullum. Popilotujesz nas do przylądka Mount. A jeśli potrzeba ci ubrania, to coś tu na statku dla ciebie się znajdzie.

– Hola, mój panie! Nie masz chyba zamiaru porywać Sandy’ego McCulluma z Sierra Leone?

– Uczynię to z pewnością, o ile tych dwudziestu pięciu Murzynów nie stawi się tu za pół godziny, albo nie zwrócisz zapłaty za skutników.

– Ach nie, nie uprowadzisz mnie pan, nie wierzę w to A zresztą mogą zjawić się tu i inne okręty.

– Słuchaj, Cullum, wcale nie pragnę ciebie porywać, powiedziałeś wszakże, iż będę dziś miał dwudziestu pięciu niewolników, a ich nie ma. Więc albo niewolnicy, albo zwracaj pieniądze.

– Pieniądz, to pieniądz, nie dostaniesz ani grosza.

– A więc to tak. Widzę, że chcesz mnie oszukać i ograbić. Daję ci pół godziny na rozważenie, a jeśli po tym czasie nie zapłacisz mi za niewolników, ruszam w drogę.

– Chwilkę, chwilkę, pošlę kilka słów na brzeg i będziesz miał niewolników za godzinę.

McCullum z wyraźną niechęcią wypisał świstek i wręczył go sternikowi swej łodzi, po czym z podwójnym zapalem zabrał się z powrotem do rumu Trevor, który przybył, aby mnie pożegnać, ostrzegł, bym był ostrożny, bo osadnicy mogą przysłać zamiast niewolników innych ludzi i próbować opanować statek. Posłuchałem jego rady i choć nie przypuszczałem, by mogli ważyć się na taką zuchwałość, kazałem podnieść sieci abordażowe, załadować działa i broń ręczną.

Gdy po upływie godziny nie widać było żadnej nadpływającej łodzi, zacząłem myśleć, że towarzysze McCulluma nie przyślą już niewolników Ale wtem pojawiają się dwa stateczki, płynące ku nam pod żaglem.

– Dam głowę – rzekł Trevor – że poza niewolnikami są tam jeszcze inni ludzie Każdy z tych stateczków może pomieścić osiemdziesięciu do stu Judzi. Pożegnaj teraz pana i pana Merricka i każe Saint Pierre’owi wybrać kotwicę, wtedy będę mógł łatwiej pomóc, jeśliby było potrzeba. I niech pan wpuszcza ich na pokład tylko małymi partiami, a ci, którzy podadzą się za niewolników, niech schodzą zaraz pod pokład. A teraz zachciej pan, kapitanie, przyjąć podziękowanie, żeś dał mi możliwość stać się znów uczciwym człowiekiem. Gdy powrócisz do Anglii z narzeczoną, w co nie wątpię, znajdziesz mnie może na poziomie, na jakim niegdyś byłem.

– Dzięki za życzenia i przyjm je również ode mnie. – Trevor uściśnął nam ręce i odjechał na Saint Pierre’a wśród pożegnalnych okrzyków naszej załogi, której był powszechnym ulubieńcem.

Gdy łodzie zbliżyły się dostatecznie blisko, wezwałem McCulluma na

pokład. Przyszedłszy na rufę i spostrzegłszy podciągnięte sieci abordażowe spytał, czy znów się obawiamy ataku krajowców. Zaprzeczyłem, mówiąc jednak, że nie postąpił z nami uczciwie, wobec czego przygotowałem się na wszelkie niespodzianki.

– A teraz, McCullum, każ tym łodziom, aby wszyscy niewolnicy przeszli do jednej z nich i niech podejną do burty; jeśliby obie spróbowały podejść, otworzę do nich natychmiast ogień.

– Szczwany z ciebie chłop – przyznał McCullum – nie mogę powiedzieć, abym sobie nie myślał, że wasz statek przydałby cię nam tu w kolonii, ale niech już będzie, jak chcesz.

Na jego wezwanie łodzie spuściły żagle i wówczas okazało się, że podejrzenia Terevora były uzasadnione; zamiast niewolników łodzie roiły się od uzbrojonych ludzi.

Oświadczyłem McCullumowi, że wart jest, by go wyrzucić za burłę, ale ponieważ udzielał nam pomocy, pozwolę mu zwrócić otrzymane pieniądze. A potem niech jedna z łodzi podejdzie i zabierze go ze statku, ale wara komukolwiek dotknąć stopą pokładu.

– Powoli, powoli, stanie się, jak chcesz, ale skoro wyłudziłeś już ode mnie pieniądze, daj mi chociaż z beczułkę rumu i trochę tytoniu.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu, po czym gdy tylko wypłacił mi pieniądze, pozwoliłem łodzi podejść do burty, spuściłem do niej rum i tytoń, zapraszając McCulluma, aby poszedł w ich ślady.

Stary lis, dobrze już podchmielony, powiedział: – No, żegnaj, młodzieńcze, a gdy zjawisz się następnym razem w Sierra Leone, postaram się dla ciebie o tęgich Murzynów; dobry z ciebie chłopak.

Roześmieliśmy się z Merrickiem i życzyliśmy mu pomyślności, po czym postawiliśmy marsie, wybraliśmy kotwicę i niebawem wyszliśmy na morze w ślad za Saint Pierre'em.

Po osiągnięciu pełnego morza skierowałem się na południe, a omijając z daleka płycizny St. Anne, wziąłem kurs na przylądek Mount i wkrótce straciłem z oczu towarzysza.

Gdy pewnego dnia o świcie odkrył się przylądek Mount, dostrzegliśmy duży statek stojący przy nim na kotwicy. Podnieśliśmy francuską flagę, na co statek odpowiedział tym samym, dzięki czemu mogliśmy podejść blisko do niego, bez wzbudzenia podejrzeń. Zbliżywszy się doń na pięćdziesiąt jardów, odstoniłem ambrazury dział, podniosłem angielską flagę i wezwałem go do opuszczenia swojej.

Przełożyłem następnie ster na wiatr i podpłynąłem szybko wzdłuż burty obcego statku. Część ludzi szepiła takielunek naszego fokmasztu

z olinowaniem jego grotmasztu, pozostali zaś przeskoczyli na nieprzyjacielski pokład. W czasie krótszym niż potrzeba, aby to opowiedzieć, zapędziliśmy zaskoczonych znieścacka Francuzów pod pokład i oto byliśmy panami francuskiego statku Foudre o czterystu pięćdziesięciu tonach i czternastu działach. Miał on na pokładzie ładunek niewolników, których dopiero co zdążył tego ranka zaokrętować.

Po zamknięciu i zabezpieczeniu jeńców stwierdziłem, że kapitan z częścią załogi był na lądzie, a pierwszy oficer, Guillaume Perroquet, nie omieszkał rzec, iż gdyby nie to, nie poszłoby nam tak łatwo. Biedak nie wiedział, że pomiędzy Anglią i Francją istnieje stan wojenny, wylewał przeto obficie łzy, biadając nad swą niedolą. Nie czekałem na dalsze jego wyjaśnienia, tylko wysadziłem Francuzów do ich własnych łodzi, kazałem Trenalowi objąć nad przyzem dowództwo i po pół godzinie od chwili zaabordowania nieprzyjaciela oba statki oddalały się od kotwiczowiska w stronę pełnego morza. Poszło nam tak szczęśliwie, że w tej błyskawicznej akcji nie mieliśmy ani jednego rannego.

– No, Tom – powiedziałem do Merricka – ten przyz powetował nam jałowe zwycięstwo nad „algierczykiem”.

Ciekaw jestem, czy „francuz” ma dość wody i żywności na przejście do Indii Zachodnich; jeśli ma, to sędzę, że będzie najlepiej wysłać go od razu wprost na Antiguę, a my – zdobywszy ładunek niewolników – podążymy tam za nim. Przede wszystkim jednak trzeba będzie zakotwiczyć gdzieś przy wybrzeżu i przejrzeć dokładnie statek i ładunek.

– Zupełnie słusznie – odparł Tom. – Dziwię się nieostrożności Francuzów. Z tego co słyszałem od ciebie i od innych o zwyczajach panujących wśród statków handlujących w Gwinei, nigdy nie przypuszczałem, aby jakikolwiek statek pozwolił zbliżyć się do siebie innemu, nie będąc uprzednio przygotowanym do walki.

– Tak, zapewne. Wprawdzie Francuzi nie są nigdy tak ostrożni, jak my, mimo to schwytanie tego przyzu możemy przypisać bardziej szczęściu niż naszej zręczności. Ludzie muszą się chyba cieszyć ze zdobycia tego statku, jak z Saint Pierre’a i z^o daru, jaki otrzymali od Dormera. Zarobili już więcej niż w trzech czy czterech zwykłych rejsach.

Następnym miejscem, w którym rzuciliśmy kotwicę, było Grand Cess. Zbadawszy dokładnie nasz przyz stwierdziliśmy, że na pokładzie znajdowało się trzystu siedemdziesięciu niewolników. Trenal, który zdążył już przejrzeć ładunek i papiery okrętowe, oznajmił, że na statku było jeszcze sporo towarów wymiennych, jako że „francuz” nie uiścił zapłaty za niewolników, natomiast z wodą i żywnością było krucho.

Nabywszy w Grand Cess trochę niewolników, skierowaliśmy się stamtąd wzdłuż wybrzeża, a spotykany po drodze rodakom komunikowaliśmy o wybuchu wojny. Zakotwiczyliśmy wreszcie w Apollonii, w pobliżu Behin, gdzie znajdował się angielski fort i gdzie wódz, Quacco Blay, miał na sprzedaż sporo niewolników.

Zanim jednak pozwolono rozpocząć z wodzem handel, kazano nam wykupić od angielskiego agenta niewolników zgromadzonych w forcie, a następnie wypłacić mu dziesięć procent prowizji od wszystkich transakcji zawartych przez nas z wodzem. Mimo to cena niewolników spadła tak bardzo z obawy, iż wojna z Francją zahamuje swobodę handlu, że zrobiliśmy bardzo korzystny interes.

Zaraz po naszym zakotwiczeniu agent pełniący władzę w forcie, James Collins, posiał łódź do wszystkich kotwiczących tam statków, zapraszając kapitanów i okrętowych supercargo na ląd do jego kwatery. Gdy, zgodnie z zaproszeniem, przybyliśmy tam wraz z Merrickiem, ulokowano nas w przestronnych i przewiewnych pomieszczeniach domu wybudowanego na szczycie fortu. Agent i dwaj jego pomocnicy pędzili tam żywot na modłę krajowców ze swymi tubylczymi żonami i rodzinami. Tubylcza służba i dozorca, w liczbie wystarczającej do obsługi dział pod kierownictwem dziesięciu żołnierzy angielskich, zamieszkiwali w forcie, rodziny ich mieściły się natomiast w domach położonych na zewnątrz. Komfort, jakim agent zdołał się otoczyć, jak również; dobra kuchnia, jaką prowadził, budziły niekłamany podziw.

Przed zejściem na ląd upewniłem się u Trenala, że zmieści jeszcze na pokładzie Foudre'a około czterdziestu dodatkowych niewolników. Po uiszczeniu za nich zapłaty pozostało jeszcze na statku sporo wartościowych towarów, które przeznaczaliśmy na pokrycie zakupów Black Prince'a. Udało nam się w ten sposób pokryć koszty zakupu ponad połowy niewolników, nie ruszając zgoła naszych własnych towarów.

W ładunku zdobytym na statku Foudre znajdowało się kilkanaście skrzyń wyborowych spirytualii, win i konserw żywnościowych, Collins rad był, mogąc zakupić je na swój własny użytek i zapłacił nam za nie dobrze złotym piaskiem i kością słoniową. Zachowałem wszakże kilka z nich na upominek dla króla Blaya, którego jako jednego z najbardziej wpływowych wodzów w tej części Afryki trzeba było grubo posmarować przed uzyskaniem zezwolenia na handel. Trzeba było okupić się jego ministrom oraz różnym dworzanom i pomocnikom, stosownie do ich znaczenia i wpływów.

Z Collinsem załatwiliśmy transakcję szybko i sprawnie, ale z wodzem

szło oporniej. Najpierw odbyliśmy z nim wiele rozmów co do warunków, potem zaś okazało się, że proponowanych na sprzedaż niewolników trzeba zbierać partiami po kilku lub kilkunastu z podległych wodzowi wioski.

Pierwszego dnia po naszym przybyciu król zapowiedział przez posłańców, iż następnego dnia złoży nam wizytę, przysyłając mi w darze wołu, sześć kóz, dwa tuziny kur, dziesięć kaczek oraz mnóstwo korzeni jamsów i patatów. Odwzajemniłem się sześcioma galonami rumu, czterema gąsiorami jałowcówki i skrzynką kordiału.

Od rana Collins rozkazał przygotować na przyjęcie króla największą komnatę fortu i przybrać się odświętnie całemu garnizonowi. Dla podkreślenia naszej godności wybraliśmy do asysty osobistej dziesięciu najokazalszych marynarzy pod wodzą Jaga i Cundy'ego, zbrojnych w muszkiety i kordelasy.

O dziesiątej przybył goniec, zapowiadając zbliżanie się króla. Stosownie do panującej w takich okolicznościach etykiety Collins nakazał zamknąć bramy i obsadzić stanowiska bojowe na wałach, jak gdyby przygotowując się do odparcia ataku wroga, a nie na przyjęcie zaprzyjaźnionego władcy.

Doszły nas dźwięki bębnow i innych tubylczych instrumentów i niebawem dojrzelismy wylaniającą się spoza ogrodzenia, otaczającego siedzibę króla, procesję, która poczęła zbliżać się w naszym kierunku. Na czele postępowali dobosze walący w bębny obwieszane czaszkami pobitych w boju nieprzyjaciół. Za nimi kroczyło dwójkami czterdziestu ludzi zbrojnych w muszkiety; ci tworzyli straż przyboczną króla Blaya, który właściwie nazywał się Ehin. Za nimi szło sześciu krajowców niosących sześć fantastycznie ukształtowanych mieczy, państwowych, których rękojeści obłożone były cienką złotą blachą, ściągniętą złotym drutem. Dalej posuwał się olbrzymi czerwony parasol uwieńczony u szczytu godłem królewskim wykonanym z kości słoniowej, pod nim zaś kroczył stary, siwy Murzyn, przybrany w jedwabie, karmazynowo-żółte szaty, z masywnymi złotymi bransoletami na przegubach rąk i nóg. Niósł on ogon świętej słonicy, godło królewskie Ehina Blaya, o którego posiadanie stoczono wiele krwawych wojen.

Następnie, pod jedwabnym baldachimem, pojawił się sam monarcha niesiony przez ośmiu krzepkich Murzynów w ozdobnie wykonanym koszu o długości sześciu stóp, i takiejż szerokości, przybranym różnokolorowym jedwabiem. Król Blay, wyciągnięty na wypełniających kosz poduszkach, przybrany był w szkarłatny, bramowany złotem surdut i takąż kamizelkę, zaś na głowie owiniętej w starą, barwną chustę bandana, miał trójgraniasty

kapelusz, kunsztownie zdobiony złotą taśmą i piórami. Nogi aż po biodra okrywała piękna skóra lamparcia o brzegach obszytych dzwoneczkami.

Po obu stronach kroczyli członkowie królewskiej rady przybocznej oraz ulubione żony króla, wykrzykując ustawicznie jego mnogie tytuły. Za lektyką postępowali czarownicy okryci amuletami, po nich znów szli muszkietierowie, a pochod zamykała druga partia doboszów, poprzedzana przez wojowników zbrojnych w dzidy i tarcze.

Podzieliłem się z Collinsem uwagą, że Ehin Blay zdawał się utrzymywać bardzo paradny dwór. Potwierdził me spostrzeżenie dodając, że król nie skąpił wydatków na wszelkie ceremoniału mogące przyczynić się do podniesienia jego godności.

– Widzisz pan na razie orszak samego króla, a za chwilę ujrzysz świty jego dostojników. Ci będą iść pieszo, jakkolwiek lektyki będą im również towarzyszyły. Mogą oni jednak mieć tylko po czterech tragarzy, a w obecności króla nie wolno im być niesionym w lektykach.

Przyglądałem się z zainteresowaniem pochodowi, podziwiając porządek szyku i składowość, z jaką ludzie maszerowali i zmieniali kierunki, rozwijając się za wrotami w dwuszereg i formując szpaler dla niosących wodza tragarzy.

Gdy orszak zbliżył się, Collins rzucił pytanie, kto zacz nadchodzi i czego żąda, na co zabrzmiała odpowiedź: „Quacco Blay Ehin przybywa złożyć przyjacielską wizytę”.

Na to wrota zostały szeroko rozwarte, a z dział fortecznych rozległa się powitalna salwa. Ehin Blay zszedł ze swego kosza i wkroczył do fortu w asyście ministra skarbu, otofosanfo, tłumacza, okyami, i herolda, obofo, jak również mieczników, czarowników i Murzyna z ogonem świętej słońicy oraz sześciu paziów dzierżących packi na muchy. Towarzyszyły mu również cztery spośród jego żon. Po przywitaniu orszaku przy wrotach zaprowadzono go na znajdującą się nad nimi galerię, gdzie miano oczekiwać nadejścia królewskich dostojników. Wkrótce potem nadciągnął minister wojny, czyli sofahin, po nim zaś pięciu paninów, naczelników wiosek. Towarzyszyły im również świty, podobne do królewskiej, lecz nie tak liczne i nie tak okazale przystrojone. Każdy z dostojników, zbliżywszy się, oddawał królowi honory.

Gdy już się wszyscy zgromadzili, przenieśliśmy się do dużej sali, w której na podwyższonym podium ustawione były ogromne fotele okryte czerwonym aksamitem i przeznaczone dla Ehina, Collinsa, Toma Merricka i dla mnie. Dostojnicy murzyńscy i sekretarze Collinsa zasiedli na zwykłych krzesłach ustawionych na stopniach podium, podczas gdy

pozostali uczestnicy zgromadzenia musieli zadowolić się dalszymi stołkami.

Skoro tylko rozsiedliśmy się, krajowcy zaczęli drzeć się wniebogłose, wykrzykując tytuły króla Blaya, na co tenże odpowiadał co pewien czas mechanicznie: „Quacco Blay! Atinasu marrah! – Quacco Blay, tu obecny!” Po kwadransie tych wrzasków Collins zaklaskał w dłonie i służba poczęła roznosić między zebranych napoje, ściśle różnicując ich gatunki w zależności od godności poszczególnych uczestników zgromadzenia. Gdy wychylono napoje, bez czego nie załatwia się w Afryce żadnych interesów, Collins przedstawił królowi oficjalnie mnie i Toma Merricka. Przy tej okazji wręczyliśmy przygotowane na tę okoliczność dary, składające się z dwóch dużych czerwonych aksamitnych parasoli, pluszowego surduta bramowanego srebrną taśmą oraz pół tuzina sztuk kwiecistego jedwabiu.

Dary przyjął jeden z dworzan króla, zaś jego minister skarbu obdarował mnie woreczkiem złotego piasku, zawierającym dwie większe oraz dwie małe bryłki, co było oznaką szczególnej łaski. Merrick otrzymał nieco mniejszy woreczek. Po wzajemnym złożeniu darów i wymianie podziękowań rozniesiono dalsze napoje, po czym na ten dzień zebranie zostało zamknięte. Etykieta nie pozwalała bowiem załatwiać jakichkolwiek interesów podczas tak ceremonialnych wizyt.

Przy opuszczaniu fortu przez orszak królewski oddano znów salwę działową i na pewien czas pozostaliśmy sami. Natomiast około godziny czwartej zjawił się w forcie herold oznajmiając, że Ehin Blay oczekuje naszej rewizyty następnego dnia. Na znak swego pełnomocnictwa obofo dzierżył potężną trzcinową łaskę, zakończoną królewską oznaką przedstawiającą słonia przebitego mieczem. Przyjęliśmy oczywiście zaproszenie, po czym obofo oświadczył, że Ehin Blay odwiedzi nas prywatnie tego wieczora i spożyje z nami wieczerzę.

Jakoż tuż przed zachodem słońca Ehin Blay przybył pieszo, jedynie w asyście okyami i obofo oraz dwóch paziów z packami na muchy. Do stołu zasiadł z nami tylko król, zaś członkowie jego świty siedzieli na stołkach nieco poza nim. Od czasu do czasu wódz podawał im kąski swych potraw i łyk napoju ze swej szklanicy. Po wieczerzy wódz zwierzył się, że oprócz złota ma także na sprzedaż sporo kości słoniowej. Jak słyszał, podobno pojawiły się w pobliżu słonie, których za czasów jego dziadka było bardzo wiele nad rzeką Bousaha, nie opodal wioski zwanej Niba. Następnego dnia wódz zamierzał wraz ze swymi czarownikami odprawić zaklęcia nad grupą wojowników udających się na polowanie na

słonie.

– Wiesz, Bob – rzekł do mnie Tom Merrick – nigdy nie widziałem słonia. Dlaczego nie mielibyśmy się wybrać wraz z nimi? Mamy tu spędzić ponad tydzień, a że powiodło nam się z Foudre'em, wspólnicy nie będą mieli za złe, jeśli zabawimy o dzień lub dwa dłużej.

– Jestem na Złotym Wybrzeżu od około piętnastu lat, niemal od małego chłopca i choć czasem sam robiłem wyprawy, to jednak nigdy nie polowałem z Murzynami na słonie, lamparty czy inną zwierzynę. Nie wiem nawet czy kiedykolwiek słyszałem, aby czynił to jakiś Europejczyk, nie wyłączając Holendrów, posiadających forty i faktorie na dużej przestrzeni w górnym biegu rzeki Ancobra – zauważył Collins.

– A ja – odparłem – widziałem w Indiach Wschodnich wiele słoni, ale żadnego w jego naturalnym, dzikim środowisku. Miałbym wielką ochotę zrobić małą wyprawę w głąb lądu.

Zwróciłem się do okyami, by spytał króla, czy zezwoli nam towarzyszyć jego myśliwskiej ekspedycji, by przyjrzeć się, jak się poluje na słonie.

Jego królewska mość, który do tej chwili zdążył już sobie nieźle podpisać, odrzekł, iż nie może udzielić odpowiedzi, póki jutrzejszego ranka nie uczyni czarów i zaklęć.

Musieliśmy zadowolić się tą odpowiedzią i wkrótce potem król wraz ze swą świtą opuścił fort w lektyce oczekującej go przy wrotach. Było to okolicznością nader szczęśliwą, gdyż po wielu kolejkach Ehin Blay był już na tak miękkich nogach, że z pewnością nie dotarłby o własnych siłach do królewskiego pałacu.

Sam czułem również, że wypite trunki uderzyły mi nieco do głowy, wyraziłem więc życzenie bezzwłocznego udania się na spoczynek, tłumacząc, że następnego ranka będę musiał pojechać na statek, by przygotować dla króla nowy upominek.

Collins wielce oponował przeciwko naszemu odejściu, zaklinając się, że jest jeszcze wcześniej i że łyknięcie sporej ilości solidnego trunku najpewniej zabezpiecza przed afrykańską malarią. Jak się okazało, był on zagorzałym wyznawcą swej zasady, gdyż długo jeszcze po położeniu się do łóżek słyszeliśmy śpiewy, krzyki i toasty dochodzące z sali biesiadnej.

Gdy wstaliśmy następnego dnia o świcie, wydawało się przez jakiś czas, że wszelki ruch w forcie zamarł całkowicie. W końcu natknęliśmy się na jednego z tubylczych urzędników idącego właśnie sprawić niewolników. Kazaliśmy mu przygotować łódź z obsadą dla przewiezienia nas na statek. Szczęściem brzeg był dogodnie ukształtowany i przebycie

przyboju nie było przedsięwzięciem niebezpiecznym. Pomiarkowałem jednak, że dostarczenie wody na statek będzie sprawą trudną i żmudną, jako że można było tego dokonać jedynie przez zakotwiczenie łodzi na zewnątrz przyboju, wypuszczanie na linie pustych beczek na ląd i przeciąganie przez przybój z powrotem beczek pełnych.

Przekonaliśmy się, że Trenal poczynił daleko posunięte przygotowania na przyjęcie niewolników i urządził w salonie kantor handlowy. Po wczorajszym pokazie, zgotowanym nam przez Ehina Blaya, wybranie dla niego stosownego upominku okazało się trudniejsze niż się spodziewaliśmy. Na szczęście znaleźliśmy na pokładzie Foudre'a kilka dużych skrzyń wypełnionych szkłem i porcelaną, wśród czego natrafiliśmy na wazy, świeczniki i mnóstwo półmisek i talerzy. Wybraliśmy z tego przyzwoitą kolekcję, dodając kilka dużych cynowych dzbanów, które wypolerowaliśmy tak, iż błyszcząły jak srebro.

Zapakowaliśmy to wszystko nadzwyczaj starannie w celu przewiezienia na ląd, po czym powiedzieliśmy Trenalowi, że udajemy się na kilka dni na wyprawę myśliwską, lecz że przed wyruszeniem uzgodnimy cenę, jaką będzie płacił za niewolników. Uczyniwszy to powróciliśmy na brzeg. Po przybyciu do fortu zastaliśmy Collinsa oczekującego nas ze śniadaniem. Nie znać było po nim zupełnie wczorajszej pijatyki, choć przyznał się, że bawił się kielichami jeszcze długo po północy.

Po śniadaniu wsiedliśmy w lektyki i w otoczeniu naszych marynarzy i ludzi z fortu wyruszyliśmy do pałacu Ehina Blaya. Przy bramie spotkał nas obofo wraz z okyami, którzy przez dwa obszerne dziedzińce zawiedli nas do zbudowanego z gliny budynku o długości około siedemdziesięciu i szerokości czterdziestu stóp, przykrytego ostrym pochyłym dachem. Przed budynkiem oczekiwał nas król przybrany w strój czarownika, naszywany gęsto małymi dzwoneczkami i amuletami. Czynił on zaklęcia, mieszając w dwóch dużych glinianych garnkach, ustawionych po obu stronach wejścia i wypełnionych jakimś paskudztwem.

Monarcha powitał nas nadzwyczaj przyjaźnie, po czym powiódł do wnętrza budynku składającego się z trzech komnat i usadowił na fotelach stojących przy królewskim tronie. Tron – było to pięknie rzeźbione krzesło wręczone ongiś w darze jego ojcu w podzięcie za to, iż stanął po stronie angielskich kupców zaatakowanych przez Holendrów z fortu Axim i wspomaganych przez licznych Fantisów.

Wydobyliśmy wówczas nasze nowe dary, które olśniły króla, jako że nigdy przedtem niczego podobnego nie widział. Wynikiem tego zachwytu

był fakt, że prócz zwyczajowych darów w złocie otrzymaliśmy z Merrickiem po dwudziestu pięciu młodych i krzepkich niewolników.

Po dokonaniu tej wymiany zaprowadzono nas do innego domu, gdzie – zwyczajem krajowców – przygotowano dla nas Ucztę.

Przybranie stołu było dość dziwaczne, gdyż ze złotymi i srebrnymi naczyniami tubylczego wyrobu mieszały się pospolite gliniane naczynia, również krajowego pochodzenia. Natomiast potrawy były nie do pogardzenia. Wśród wielu rodzajów zup i potraw mięsnych znajdowały się również pyszne langusty i ostrygi.

Ehin Blay nalegał, byśmy jedli i zdawał się doznawać zawodu, że apetyty nasze nie stały na wysokości poczynionych przez niego przygotowań. Podczas uczty pito, jak zwykle, bardzo wiele. Wlewano w nas niemal przemocą wino palmowe, wódkę i wszelkie rodzaje trunków. Z trudem opieraliśmy się gościnnym naleganiom gospodarza.

Owo śniadanie, czy jakkolwiek można by je nazwać, zakończyło oficjalną część naszych pertraktacji handlowych z monarchą. Powróciwszy do fortu przystąpiliśmy rychło do uzgodnienia ceny niewolników. Wymiarkowaliśmy, że nie naruszając zbytnio naszych towarów, będziemy mogli nabyć tu około trzystu dwudziestu niewolników, co pozwoli nam wypełnić całkowicie ładownię Foudre'a i przeszło w połowie ładownię Black Prince'a. Powiedziałem zatem Merrickowi, że mając na uwadze okoliczność, iż niewolników trzeba będzie gromadzić małymi partiami, a zaopatrzenie w wodę będzie także procederem uciążliwym, zgodziłbym się nawet wyruszyć z sofahinem i jego wojownikami do wioski Niba, jeśli czary i zaklęcia Ehina Blaya okażą się dla nas pomyślne.

Nie wiadomo czy wróżba wypadła pomyślnie, czy też dary nasze usposobiły przychylnie wodza, dość że po południu przybył okyami z wieścią, iż Ehin Blay zezwala nam wziąć udział w polowaniu na słonie w towarzystwie sofahina, który zwał się Kwamina Ensa. Oznajmił, że wyprawa rusza następnego dnia.

Usłyszawszy to Collins oświadczył:

– Można ruszać bez obawy z tymi ludźmi, gdyż Blay nigdy nie dozwoli, aby uczyniono krzywdę Anglikowi. Możecie jednak nabawić się malarii, czerwonki i wszelkiego rodzaju złośliwych chorób. Jeśli zachorujecie i pomrzecie, nie mówcie, że mnie nie ostrzegali.

Tom tak był ciekaw zobaczyć słonia, że żadne przestrogi i perswazje nie potrafiłyby odwieść go od powziętego zamiaru. Widząc jego zdecydowanie, nie zamierzałem czynić jakichkolwiek przeszkód, posłałem więc na statek po strzelby, proch i kule, po czym poczyniliśmy

przygotowania do wczesnego wyruszenia następnego dnia.

O świcie wsiedliśmy w oczekujące nas lektyki i wzięwszy Toby'ego oraz sześciu Murzynów z naszej załogi do niesienia ekwipunku, ruszyliśmy do domu Ehina Blaya. Tam oczekiwał nas sofahin wraz z gotowymi do pochodu czterdziestu ludźmi. Blay nalegał jednak, byśmy łyknęli sobie na drogę dla zabezpieczenia przed szkodliwymi wpływami złego porannego powietrza.

Droga nasza wiodła zrazu przez odkrytą trawiastą sawannę, która – jak można było poznać po widocznych śladach – musiała być zalewana w porze dżdżystej. Po godzinie marszu przybyliśmy nad rozległy basen wodny, zwany laguną Ebunesu i rozciągający się niemal dokładnie w kierunku równoleżnikowym. Na zewnątrz pasa trzciny, okalającego brzeg, oczekiwały nas łodzie. Po pewnych tarapatach przeniesiono nas przez trzciny i wsadzono do łodzi. Największe z nich mierzyły około dwudziestu stóp długości i dwóch szerokości, niektóre zaś nie były dłuższe niż piętnaście stóp i tak wąskie, że zaledwie można w nich było przykucnąć. W jednej z większych usadowił się sofahin z Merrickiem i ze mną oraz dwoma wiosłarzami, z których jeden siedział na rufie, a drugi klęczał na dziobie. Odbiliśmy od brzegu, a za nami uczyniły to inne łodzie. Po dwudziestu minutach wiosłowania okrążyliśmy niewielki przylądek i ujrzeliśmy widok zgoła niezwykły.

Po obu stronach laguny widać było polanki, do których dostarczano żywność, natomiast sama wioska nie znajdowała się na lądzie, lecz składała się z pewnej liczby chat zbudowanych na palach w niejakiej odległości od brzegu. Chaty stały na pomostach wznoszących się około czterech lub pięciu stóp ponad wodą. Duże i przestronne te pomosty mieściły w połowie chaty, w połowie zaś były odkryte, służąc jako miejsce do gotowania i spożywania posiłków oraz do spania. Nocami krajowcy oporządzali na nich sprzęt rybacki.

Skierowaliśmy się do jednej z takich chat i wspiąwszy się na pomost zabraliśmy się do śniadania, oczekując przybycia reszty ekspedycji. Toby usmażył złowione w nocy ryby, które smakowały nam wybornie. Sofahin poczęstował nas rodzajem zupy przyrządzonej z miejscowej wędzonej ryby i spożywanej z bananowym budyniem zwanym foofoo. Byłaby to nadzwyczaj smaczna potrawa, gdyby nie olbrzymia ilość pieprzu, jaką krajowcy dodają do wszystkich swych posiłków. Podano nam także młode wino palmowe, przyjemny, chłodny i odświeżający napój, zupełnie nie podniecający. Jednak już po kilku godzinach stania nabiera ono niemiłego smaku i zapachu, stając się ciężkim, bardzo idącym do głowy trunkiem.

Krajowcy piją je właśnie w tej postaci, mierząc wartość wszelkich trunków ich mocą. Zdaje się, że Murzyni z zachodnich wybrzeży Afryki uważają upicie się za największe szczęście, od którego większym może być tylko pozostawanie w tym stanie.

Chata, w której spożywaliśmy posiłek, należała do naczelnika, czyli panina wioski i przez cały czas, kiedy w niej przebywaliśmy, mieszkańcy tłoczyli się, by ujrzeć białych ludzi. Wielu z nich nigdy przedtem nie oglądało białego, mimo iż mieszkali tak blisko wybrzeża. Chwilami na pomoście zbierało się ponad pięćdziesięciu ludzi i obawiałem się, czy nie zawali się on pod takim ciężarem i nie zsybie nas wszystkich do wody. Pomost nie zdradzał jednak objawów uginania się, mimo że pozornie był dość kruchy.

Gdy wsiedliśmy na powrót do czółen, część krajowców z wioski poszła w nasze ślady, widocznie nie zaspokoiwszy jeszcze swej ciekawości. Gdy dotarliśmy jednak do końca laguny, gdzie trzeba było wpłynąć w wąski kanał między trzcinami, sofahin kazał im zaprzestać towarzyszenia nam, pod groźbą narażenia się na niełaskę Ehina Blaya. Wiosłowaliśmy przez dość sporą odległość tym kanałem, podczas niezwykle dokuczliwego upału. Powietrze nie drgnęło nawet od najłżejszego powiewu, a słońce zalewało nas pionowymi niemal promieniami. W końcu kanał rozszerzył się i znaleźliśmy się na rzece Bousaha, która – jak powiadano – żeglowna była dla łodzi na trzy do czterech dni wiosłowania w górę jej biegu.

Brzegi rzeki porosłe były gęstą dżunglą, splątana gęstwą pnączy okrytych często bogatym kwieciem. Tu i ówdzie strzelały w niebo na wysokość wielu stóp smukłe, pierzaste palmy pnące, łagodzące ciężki, masywny wygląd puszczy. Wśród drzew można było niekiedy dostrzec małe i przelatujące ptaki różnych kształtów i upierzenia. Barwność scenerii zwiększały stada papug i turakonów, fruujących wysoko ponad drzewami. Po kilku godzinach wiosłowania dotarliśmy do dużej wsi, która, jak oznajmił sofahin, była celem naszej podróży. Była to Niba. Po wylądowaniu zaprowadzono nas do przestronnego, czystego i przewiewnego budynku, zbudowanego z bambusów i oddanego nam do wyłącznej dyspozycji.

Tutejsi krajowcy objawiali podobną ciekawość, jak mieszkańcy wioski nad laguną, ale sytuację ułatwił sofahin, umieszczając straż, która nie pozwalała tłumowi gromadzić się wokół nas. Gdy tylko Toby urządził dla nas chatę, sofahin złożył nam wizytę w towarzystwie panina wioski. Oznajmił, że ludzie wyruszyli już na tropienie słoni, byli oni jednak zbyt daleko od Niby, abyśmy mogli podążyć za nimi. Następnego dnia

mieliśmy udać się dalej w górę rzeki do innej wioski, zwanej Esnati. Tam właśnie słonie zniszczyły przed kilku dniami wiele plantacji.

Urządziliśmy się z Tomem bardzo wygodnie, a pod wieczór wybraliśmy się na przechadzkę po wiosce. Zadziwiło nas promieniujące zewsząd wrażenie dostatku i wygody, kontrastujące korzystnie z wieloma wioskami angielskimi. Plantacje bananów, palmy kokosowe, półka zbóż uprawnych, ryżu, patatów, korzeni jamsów i orzeszków ziemnych dostarczały potrzebnej żywności. Krajowcy posiadali ponadto wiele kóz i drobiu, a niemal przy każdej chacie widniały plantacje pieprzu i poletka tytoniowe. Tu i ówdzie można było dostrzec dowody wiary krajowców w czary i gusła, w postaci garnków z komfo i różnych amuletów, jak kości, czaszki i inne przedmioty. W małej chatce położonej w środku wioski zgromadzone były miejscowe święte bębny, obwieszane czaszkami ludzkimi, zaś u dachu zawieszane były rogi i gwizdki sporządzone z niewielkich kłów słoniowych i ludzkich kości.

W chacie naszej panował chłód, a bambusowe łóżka pokryte matami okazały się bardzo wygodnym legowiskiem. Toteż wypoczęliśmy znakomicie i rano byliśmy zupełnie gotowi do dalszej drogi, gdy wszedł Toby z oznajmieniem, że łodzie czekają. Aż do popołudnia posuwaliśmy się w górę rzeki, mijając liczne małe wioski, położone na jej brzegach. W ich pobliżu widać było jazy i różne niezwykle pomysłowo wykonane kosze służące do połowów krewetek.

Mieszkańcy Esnati wielce ucieszyli się naszym przybyciem, jako że słonie wyrządziły w ich plantacjach do tkliwe szkody. Krajowcy bardzo byli radzi, że się je przepędzi lub upoluje, sami nie mogli zrobić tego dotąd z powodu zakazu Ehina Blaya.

Skoro tylko wylądowaliśmy, sofahin posłał po panina i rozkazał mu rozesłać gońców do sąsiedniej wioski po wszystkich mężczyzn. Mieli otrzymać jego dyspozycje na jutrzejsze polowanie.

Wkrótce zebrało się sporo krajowców. Rozesłano ich w różne miejsca jako naganiaczy, mających spędzić słonie na odkrytą leśną polankę, gdzie miał się na nie zasadzić sofahin ze swymi wojownikami.. Tam również miano na jednym z drzew przygotować dla nas jakby „ambonę”, z wysokości której moglibyśmy przyglądać się polowaniu, bez narażania się na niebezpieczeństwo.

Umieszczono nas w chacie podobnej do tej, jaką dysponowaliśmy w Niba. Pędzenie miało się rozpocząć o świcie, że zaś trzeba było wstać nazajutrz o czwartej dla zajęcia wyznaczonych stanowisk, poszliśmy wcześniej spać Toby obudził nas tuż po trzeciej, przynosząc jakąś gorącą

zupełną, będącą z pewnością lepszym środkiem przeciwko nocnym chłodom niż łyk wódki, do jakiego namawiał nas sofahin. Przewodnikami naszymi byli czterej krajowcy dzierżący pochodnie z gałęzi palmowych, w których podtrzymywali ogień, uderzając nimi o drzewa. Wiedli nas oni poprzez dżunglę zaledwie dostrzegalnym szlakiem który nawet w dzień byłby trudny do przebycia. Trzeba było stapać z największą ostrożnością, omijając starannie zwalone pnie i zwisające pnącza. Było już niewiele do wschodu słońca, gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie znajdowało się pomieszczenie zbudowane specjalnie dla nas wśród gałęzi drzew. Ukryliśmy się na nim wraz z Tobym dzierżąc strzelby i oczekując niecierpliwie sygnału nagoniaczy.

Gdy pierwsze promienie słońca ozłociły wierzchołki puszczy, dał się słyszeć odgłos wielkiego bębna, co miało być sygnałem dla nagonki. Natychmiast rozległy się zewsząd okrzyki i dęcie w rogi. Na odkrytej przestrzeni, rozciągającej się pod nami, dojrzelśmy sofahina ustawiającego swych ludzi na stanowiskach, lecz niebawem wszyscy znikli i na trawiastej polanie zamarł wszelki ślad życia, prócz przelatujących tu i tam motyli.

Hałas przybliżał się do nas coraz bardziej, ale upłynęła długa chwila, zanim usłyszeliśmy jakiś trzask wśród drzew w odległości około czterdziestu jardów. Widziałem głowy łowców, wyglądających niespokojnie ze swych kryjówek, i sofahina, który dawał im znaki, aby się nie ruszali. Zaraz potem na odkrytą polanę wbiegło słońiętko, nie mające więcej niż pięć stóp wysokości.

– Och – szepnął Merrick – podróżnicy opowiadali mi różne historie, ale klęę się na Boga, że nigdy bym się tu nie trudził, gdybym wiedział, że to takie maleństwo. Przecież to nie większe niż dobry koń.

– Sza! – syknąłem. – To tylko słońiętko. Patrz no, żaden z łowców ani nie drgnął. Poczekaj trochę, a zaraz coś zobaczysz.

W tejże chwili rozległo się przeraźliwe trąbienie i na środek polany wypadł potężny słoń z trąbą wzniesioną do góry i stulonymi uszami. Za nim pędziło kilka innych, mając pomiędzy sobą niechybnie matkę słońiętka.

Sofahin wydał głośny okrzyk i wyskoczywszy ze swej kryjówki cisnął dzidę w tylne odnóża wielkiego słońia. Potwór odwrócił się natychmiast, jakby chcąc zdeptać karła, który ośmielił się go zaatakować, ale w tej samej chwili z ukrycia wyskoczyli inni wojownicy i niebawem potężne zwierzę, naszpikowane dzidami, osunęło się na ziemię, ginąc z bólu i utraty krwi. Towarzyszy jego zasypano dzidami i zatrutymi strzałami, ale

prócz wielkiego słońca padło z ran tylko słońiatko wraz z matką, która stała się ofiarą swej troskliwości. Pozostałe zwierzęta przerwały się poprzez kordon naganiaczy, lecz w ich trop udali się doświadczeni łowcy. Ponieważ wszystkie słońce odniosły rany od zatrutych strzał, spodziewano się znaleźć je martwe w kręgu kilku mil.

Merrick chciał, byśmy udali się w trop za jednym z największych słońi, lecz sofahin sprzeciwił się temu, twierdząc, że tragarze nie potrafią przenieść nas tą drogą. Oświadczyliśmy, że pójdziemy pieszo, na co sofahin odrzekł, iż jest odpowiedzialny za nasze bezpieczeństwo przed Ehinem Blayem i nie pozwoli nam udać się w głąb dżungli bez tragarzy. Gdyśmy się jeszcze co do tego sprzeciali, przybył goniec od Collinsa z oznajmieniem, że gubernator fortu holenderskiego Santo Antonio w Axim zapowiedział złożenie wizyty swemu confrere'owi angielskiemu. Miał nadzieję poczynić pewne transakcje handlowe z dwoma angielskimi okrętami, o których słyszał, iż miały jakoby zjawić się w Axim. W związku z tym Collins wzywał nas do natychmiastowego powrotu, jako że był to nader rzadki wypadek, aby Holender odstąpił od swego tradycyjnego zwyczaju, nakazującego mu pertraktować jedynie ze swymi rodakami i że tego rodzaju postępowanie musiało wskazywać na jakieś szczególne względy, mogące przynieść nam znaczne korzyści.

Postanowiliśmy z Tomem wracać bezzwłocznie, cofnęliśmy się przeto do Esnati, gdzie wsiedliśmy do łodzi i powiosłowaliśmy spiesznie w dół rzeki Bousaha. Przez Niba i wioskę nad laguną przejechaliśmy nie zatrzymując się, o czym, wsiadłszy znów do lektyk, dotarliśmy do fortu krótko po zachodzie słońca.

Collins ucieszył się niezmiernie z naszego powrotu i wyraził nadzieję, że nie zaszkodziła nam ta, jak się wyraził, zwariowana ekspedycja. Dowiedziałem się ze zmartwieniem, że podczas naszej nieobecności panował tak silny przybój, iż trzeba było przerwać załadunek zarówno beczek z wodą, jak i niewolników, a kilka beczek rozbiło się w czasie próby przyholowania ich do łodzi.

Następnego ranka przybyli gońcy z oznajmieniem, że gubernator holenderski spędził noc w Eskiménu i przybędzie do fortu w ciągu dnia.

Jakoż wkrótce po południu dojrzelśmy zbliżający się wzdłuż brzegu morskiego orszak poprzedzany przez olbrzymią holenderską flagę i wyszliśmy na jego spotkanie. Tuż za flagą niesiono w sześciu lektykach białych żołnierzy, przy czym każdemu z nich towarzyszył krajowiec, niosący jego muszkiet i oporządzenie. Za nimi postępowało dwudziestu uzbrojonych tubylców, a potem niesiono w lektykach, ocienionych

pięknymi namiotami, holenderskiego agenta i jednego z jego sekretarzy. Po nich kroczył różnorodny tłum tragarzy niosących bagaże. Pochód zamykał następny oddział uzbrojonych krajowców.

Powitawszy naszych gości salwą z dział fortecznych i okrętowych, wprowadziliśmy Mynheera Van Steckena do komnaty recepcyjnej fortu. Zaledwie usiadłszy zaczął mówić o tym, co sprowadziło go do Behin. Okazało się, że przed paru dniami przybyła do Axim jedna z łodzi należących do statku Holenderskiej Kompanii Afrykańskiej, który miał przywieźć sześciomiesięczny zapas zaopatrzenia i towarów. Oficer dowodzący łodzią doniósł, że statek uległ zagładzie w pobliżu Grand Lahou, a jego kapitan i większa część załogi zostali zmasakrowani przez krajowców. Zaledwie jednemu oficerowi i siedmiu marynarzom udało się ująć i dotrzeć po wielkich trudach do Axim. Mynheer Van Stecken oświadczył, że brakuje mu w Axim broni, prochu i towarów handlowych, natomiast w oczekiwaniu przybycia statku zgromadził tam wielką liczbę niewolników. Gdyby nie mógł się ich pozbyć, musiałby żywić ich przez następnych sześć miesięcy, jako że nie spodziewał się przybycia w tym czasie innego statku kompanii.

Oświadczyłem gotowość zawarcia z nim transakcji handlowej, tym bardziej że znaczna część naszego ładunku składała się właśnie z broni i prochu, dzięki czemu można było ustalić bardzo dogodny warunki wymiany. Przyrzekłem, że skoro tylko zaokrętuje niewolników zakupionych w Behin i uzupełnię zapas wody, zajdę do Axim, by przyjąć na pokład oferowanych mi przez niego na sprzedaż niewolników.

Słyszając to Mynheer roześmiał się i rzekł:

– Co? Chcesz pan ładować tu niewolników i wodę? Wszak widzisz, jak ciężki jest przybój już teraz, a cóż będzie, gdy nadejdzie zbliżająca się pora niepogody? Będziesz miał szczęście, gdy zdarzy się jeden dzień w tygodniu, dogodny do zaokrętowania niewolników, a miesiąc może upłynąć, zanim będziesz miał na pokładzie beczki, z wodą. Natomiast w Axim możesz ładować o każdej porze. Kończ zatem jak najprędzej swe tutejsze interesy, wysyłaj swych niewolników łądem, a skoro zawiniesz do Axim, załaduję ci na statek wszystkich niewolników przez dwa dni, a w ciągu następnych dni dostarczę ci zapasu wody i manioku.

Collins potwierdził słuszność jego wywodów mówiąc, że byłby już przedtem zaproponował podobne rozwiązanie sprawy, ale nie był pewny, jak przyjmie nas Mynheer Van Stecken.

Rozmowę naszą przerwało nadejście obofa Ehina Blaya, dzierżącego godło królewskie swego pana. Obofo oznajmił, że wódz przybędzie

nazajutrz, by zobaczyć się z gubernatorem holenderskim, i dodał, iż oczekuje wynagrodzenia i pozytywnej odpowiedzi.

Dwa następne dni upłynęły na uroczystościach podobnych do tych, jakie opisane były poprzednio. Korzystając z tego, że przybój nie dawał się zbyt łatwo we znaki, przyspieszyłem załadunek niewolników, złota i kości słoniowej tak, że gdy na trzeci dzień Mynheer Van Stecken wyruszył, do Axim, mogłem mu przyrzec, iż uczynię to w dwa dni po nim.

Po zamknięciu rachunków z Collinsem i Ehinem Blayem Merrick zakomunikował, że zrobiliśmy doskonały interes i że po zaokrętowaniu w Axim pełnego ładunku niewolników na Black Prince'a, pozostanie nam jeszcze pokaźna nadwyżka towarów na dalszy zakup złota. Była to zaiste bardzo dobra wiadomość. Obliczając mój udział w kwotach uzyskanych z przyzów oraz z dochodów handlowych, miałem nadzieję, że po powrocie do Anglii będę dysponował poważną sumą. Gdyby zatem udało mi się w Charlestonie, dokąd instrukcje moje pozwalały mi zejść i co też zamierzałem uczynić, skłonić Muriel do złączenia ze mną swych losów, nie groziłaby jej w żadnym razie bieda.

Ponieważ przybój utrzymywał się nadal pomyślny, zakończyliśmy prace w Behin w przewidywanym czasie. Złożywszy pożegnalne wizyty Blayowi i obdarowawszy wszystkich jego dworzaków oraz ulubioną żonę pięknymi upominkami, pożegnałem z kolei Collinsa, dziękując mu serdecznie za uprzejmość i pomoc. Za czym udałem się na okręt i nakazałem obu statkom podnieść kotwice. Wziąwszy kurs na Axim przybyliśmy tam po kilku godzinach żeglugi. Po drodze obserwowaliśmy ruiny fortu Elise Cartago, położonego nieco na wschód od wejścia w rzekę Ancobra.

Po zakotwiczeniu przed Axim kazałem oddać fladze holenderskiej honory w sposób praktykowany przez okręty wojenne, na co odpowiedziano w przepisowej formie z fortu Santo Antonio. Wkrótce potem Mynheer Van Stecken przybył łodzią na pokład, by zabrać mnie wraz z Merrickiem na ląd, gdzie mieliśmy dzielić z nim mieszkanie.

W drodze na ląd przepływaliśmy obok półwyspu Bobowasua, gdzie – jak poinformował nas gospodarz – admirał Van Ruyter ustawił baterię, która zmusiła Portugalczyków do poddania fortu Santo Antonio, składającego się podówczas z domu i baterii położonych na skale. Budowę obecnego fortu rozpoczął gubernator holenderski, Schoorwas, pochowany wewnątrz fortu. Nad grobem, który nam pokazano, widniała płytką z wrytym niezgrabnie napisem:

WILLEM SCHOORWAS
COMMAD. OP. AXEM
1659

Fort obsadzony był silnym garnizonem i uzbrojony w dwadzieścia dwa żelazne działa. Od strony lądu chroniły go dwa bastiony oraz solidne wrota wiodące na opatrzony strzelnicami podwórzec. Dziwiły mnie te umocnienia i ostrożność, jaką Mynheer Van Stecken okazywać w stosunkach z krajowcami. Nie pozwalano tubylczym wodzom, jak w Behin, wchodzić do fortu i nigdy nie dopuszczano ich dalej jak na podwórzec, gdzie odbywano wszystkie z nimi rozmowy. Tam też, wkrótce po naszym przybyciu, zjawił się miejscowy król wraz ze swymi naczelnikami, by oddać honory gubernatorowi i jego gościom.

Znajdujące się w ogrodzonym miejscu obszerne szopy wypełnione były niewolnikami, oczekującymi na transport statkiem, który uległ rozbiciu. Rozpoczęliśmy niebawem kroki potrzebne do uzupełnienia naszego ładunku oraz zapasu wody, jak również mąki maniokowej i suszonych ryb przeznaczonych do wyżywienia niewolników podczas podróży przez Atlantyk.

Zauważyłem, że niezależnie od braku zaufania, jaki Holendrzy wykazywali wobec krajowców, sprawowali oni nad nimi znacznie rozleglejszą władzę niż Collins w Behin. Mynheer Van Stecken poinformował mnie, że forty holenderskie ciągnęły się daleko w górę rzeki Ancobra. Ponadto Holendrzy utrzymywali mniejsze komendy przy kopalniach złota, w których zatrudniano niewolników przy wydobywaniu cennego kruszcu dla Holenderskiej Kompanii Afrykańskiej.

Prócz załadowania pełnego kontyngentu niewolników udało mi się nabyć bardzo korzystnie złoto za pozostałe towary. Po czterech dniach od przybycia do Axim byłem gotów do udania się w dalszą drogę. Rzadko kiedy tak cenny ładunek znajdował się na pokładzie jakiegokolwiek statku pochodzącego z Liverpoolu.

Podczas naszego pobytu byłem świadkiem nader odrażającego barbarzyństwa krajowców. Pewnego wieczora, wyszedłszy z gubernatorem na przechadzkę, usłyszeliśmy donośny głos bębnow i rogów. Zbliżywszy się do miejsca, skąd dochodził ten hałas, ujrzeliśmy tłum ludzi otaczający wodzów i naczelników nadzorujących egzekucji kilku nieszczęśników, uznanych winnymi dokonywania czarów. Dwóch straceńców palono na ogniu, następnych zaś czterech rozrywano powoli na sztuki. Wyrywano im palce u rąk i nóg, potem i same kończyny. Zachęcano małe dzieci, aby

kroiły ciała ofiar i chociaż zadawane przez nie rany nie były groźne, przyczyniały jednak niepomiarne bólu torturowanym. W rany te wcierano paprykę, a konwulsje nieszczęsnych zdawały się sprawiać patrzącym żywą radość.

Wśród ofiar przeznaczonych do publicznej egzekucji znajdowała się kobieta o skrepowanych rękach i nogach. Na zapytanie mego towarzysza, co zamierzają z nią uczynić, odpowiedziano, że czeka ją jeszcze okropniejszy los niż towarzyszy niedoli. Miano ją zanieść na szlak wędrujących mrówek i porzucić tam na pożarcie żywcem przez owady.

Przybyliśmy za późno, by uratować któregokolwiek z mężczyzn, ale postanowiłem ocalić kobietę. Mynheer Van Stecken sprzeciwiał się stanowczo mieszanii się do jakichkolwiek tubylczych spraw nie mających nic wspólnego z handlem, lecz w końcu uległ moim namowom, dzięki czemu udało mi się wykupić kobietę i uchronić ją od straszliwego losu. Odesłałem ją też zaraz na statek.

Pożegnawszy się z Holendrami postanowiłem, przed podróżą przez Atlantyk, zejść do Cape Coast, jakkolwiek przedłużało to mój rejs. Pragnąłem jednak poinformować tamtejszego gubernatora o wojnie pomiędzy Anglią i Francją oraz o treści depesz przychwyconych na pokładzie Saint Pierre'a. Gubernator serdecznie za to podziękował, przyrzekając poinformować radę Kompanii Afrykańskiej o usługach, jakie mu oddałem.

Gdy położyliśmy się na kurs prowadzący od wybrzeży afrykańskich na Antiguę, Tom Merrick powinszował mi pomyślnego zakończenia pierwszej części podróży, do czego w znacznej mierze przyczynił się fakt, iż podczas kontaktu z lądem nie zdarzyły się prawie wypadki chorób, wymagające wkroczenia lekarza.

Podróż przez, Atlantyk przebiegała normalnie pod korzystnym pasatem. Czas schodził nam głównie na suszeniu statku i osprzętu oraz na doglądaniu niewolników. Pewną liczbę spośród nich przyuczyliśmy do obsługi dział tak, byśmy mogli mieć pełną obsadę dział na obu statkach w przypadku napotkania nieprzyjaciela.

Aż do przybycia w pobliże Indii Zachodnich nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Tam wszakże natknęliśmy się na korsarski, czy raczej piracki, szkuner, który pewnego dnia podszedł do nas o świcie pod francuską flagą i posłał nam pocisk przed dziób na znak, byśmy stanęli w dryf. Spotkawszy się jednak z cieplejszym przyjęciem niż oczekiwał, szybko umknął.

– Za cztery dni będziemy na wyspie Antigua – mówiłem właśnie do

Toma Merricka następnego dnia wieczorem, gdy ten, wskazując na widnokrąg, rzekł: – Co to?

– Nie wiem – odrzekłem. – Wygląda bardzo dziwnie. Obawiam się, że może to zwiastować huragan. Ale pasat dmie jeszcze ciągle, a chyba huragan nie będzie wiał w kierunku przeciwnym.

Zaledwie zdążyłem to wypowiedzieć, gdy zapadła nagle zupełna cisza. Spojrzawszy ponownie w kierunku wskazywanym przez Toma dostrzegłem ciężkie chmury i wybiegające z nich błyskawice. Wywołałem natychmiast całą załogę do skrócenia żagli i niebawem okręt płynął pod krańcowo zarefowanym fok – i grotmarslem oraz forstensztakslem. Opuściłem stengi i górne reje, przykazując sygnałem Trenalowi na Foudre, by naśladował moje manewry i przygotował okręt na spotkanie złej pogody.

Po skróceniu żagli zamocowaliśmy podwójnymi linami działa, zamknęliśmy i zasunęliśmy ambrazury, opuściliśmy zasłony na iluminatory i zaklinowaliśmy pokrywy na lukach, pozostawiając jedynie dwa małe otwory, dające dostęp powietrza dla niewolników, których trzeba było spędzić pod pokład.

Wkrótce po zachodzie słońca niebo zawałyły ciężkie chmury i zapadła ciemność, niemal namacalna, rozjaśniona tylko ostrym światłem błyskawic od strony, z której nadchodził sztorm. Cisza była tak zupełna, że płomień zapalonej na rufie świeczki nawet nie drgnął.

Świadomość, że będąc wkrótce zmuszeni walczyć ze sztormem, nie możemy w tej chwili niczego przedsięwziąć, była niezwykle przyniatająca. Ludzie snuli się po pokładzie, jak gdyby bojąc się przerwać koszmarną, wiszącą nad nami ciszę, a rzucane z rzadka słowa wypowiedane były szeptem. Po pewnym czasie dało się odczuć kilka bardzo lekkich, przerywanych powiewów wiatru, a w chwilę później usłyszeliśmy jakby szum potężnego przyboju i dojrzeliliśmy, jak cała powierzchnia wody po nawietrznej przemieniła się pod strumieniami padającego deszczu w jedno morze ognia. Nastąpiła jaskrawa, oślepiająca błyskawica, a po niej ogłuszający huk grzmotu i lunęła ulewa, jak gdyby wrota niebieskie rozwarły się nad nami. Musieliśmy chwycić się olinowania, by strugi wody nie, powaliły nas na pokład.

Wtem deszcz ustał tak prawie nagle, jak spadł i znów zapadła nad nami martwa cisza. Trwało to jednak zaledwie kilka chwil, po czym wiatr runął na nas z pełną mocą, tocząc przed sobą wał białej piany. Szczęściem nie uderzył w żagle z przeciwnego kierunku, lecz niemal położył nas na burcie, a fok – i grotmarsel wyrwały się z lików z hukiem podobnym do wystrzału

działowego. Sztaksel wytrzymał jednak uderzenie wiatru i pod jego działaniem odpadliśmy, a po chwili gnaliśmy ze sztormem omal nie taranując Foudre'a, który nie odpadł tak szybko jak my.

Rozkazałem podnieść na olinowaniu bezanmasztu kawałek smołowanego brezentu, by wykręcić okręt z powrotem do wiatru, lecz siła wichru była tak potężna, że nie udało się tego zrobić. W dodatku szot forstensztaksla pękł i żagiel rozleciał się na strzepy. Udało się to w końcu po obsadzeniu ludźmi olinowania bezanmasztu i postawieniu na nim, po wielkich trudach i wysiłkach, niewielkiego kawałka brezentu. Okręt szedł teraz przez fale nieco łatwiej. Kazałem zapalić światło sygnałowe, by Foudre wiedział, gdzie jesteśmy. Pokład nasz przedstawiał obraz zupełnego bezładu. Fala zwaliła się przez burtę, wyrwijąc z podstaw i umocnień łodzie oraz zapasowe stengi i reje, mimo że były one dodatkowo uwiązane. Spod pokładu dochodziły ryki i wrzaski niewolników owładniętych prawdopodobnie dzikim przerażeniem.

W odpowiedzi na nasz sygnał Foudre zapalił również światło. Ucierpiał on bardziej od nas, tracąc fok i grotmarsareję. Stermarsel, wyrwany z uchwytu sejzingów, trzepotał się w strzepach, bynajmniej nie ułatwiając tym Trenalowi wykręcenia statku pod wiatr.

Sztorm trwał przez całą noc bez przerwy. Pracowaliśmy bez wytchnienia, mocując zapasowe stengi i reje i usuwając za burtę wraki potrzaskanych łodzi, przy której to czynności kilku ludzi doznało obrażeń. W końcu słońce weszło i mogliśmy rozejrzeć się lepiej w sytuacji. Foudre trzymał się nadal jeszcze za naszą rufę, sterując pod wiatr. O dziesiątej wiatr ucichł równie nagle, jak nastał, pozostawiając jednak groźną, stromą i krzyżującą się falę, która zdawała się nadbiegać ze wszystkich kierunków. Niebo zawalone było chmurami, a dokoła unosiły się po morzu szczątki wraków, miotane wściekle we wszystkie strony.

Okręt kołysał się i pracował tak ciężko, że niebawem zaczął przeciekać, zmuszając nas do uruchomienia pomp przy użyciu niewolników. Ci byli szczęśliwi, że ciężka praca wybawiła ich od okropności przebywania w ładowniach i międzypokładach.

Nagle wichur uderzył znów z całą siłą. Żagle Foudre'a chwyciły wiatr z przeciwnej strony, pchając statek gwałtownie wstecz. Myśleliśmy już, że zatonie na naszych oczach, przy czym nie mogliśmy przyjść mu z pomocą. Chociaż fala wdarła się na jego pokład, zmywając wszystko, co napotkała na drodze, szczęściem jednak luki okazały się szczelne i po kilku minutach statek odpadł od wiatru na lewym halsie, na którym leżeliśmy i my, co prawda dopiero po zrąbaniu bezanmasztu. Jeszcze przez dwie godziny

sztormowaliśmy pod wiatr, po czym siłą wichru spadła, a ponieważ można było utrzymać właściwy kurs pod baksztagiem, postawiliśmy fokzagieli i grotsztaksle. Wkrótce potem Foudre zasygnalizował, że podczas ponownego uderzenia wichru został uszkodzony ster, który przestał działać, wobec czego statek musi znów sztormować pod wiatr. Uczyniliśmy więc to samo, pozostając w jego pobliżu przez noc i część następnego dnia, do chwili gdy pogoda poprawiła się i można było ponownie położyć się na kurs. Foudre sterował za pomocą łodzi o wyjętym korku, wyluzowanej za rufę na mocnej linie i kierowanej taliami przełożonymi przez końce dwóch belek, wysuniętych z obu burt w rufowej części statku.

Cała załoga na obu statkach zabrała się do naprawiania szkód. Niewolników wypuściliśmy na pokład, by dać im odetchnąć świeżym powietrzem i odprężyć się. Troską napawał mnie fakt, że podczas gwałtownych przechyłów okrętu wielu z nich zostało rannych. Na pokładzie Black Prince'a nie mniej niż dziesięciu miało złamane kończyny, dwóch zaś zmarło od doznanych obrażeń. Przecieki statku zaczęły przybierać poważne rozmiary i wody przybywało, mimo że pompy pracowały bez przerwy i drużyny niewolników czerpały wodę wiadrami.

Zszedłem w końcu do ładowni, by ustalić miejsce przecieku. Po cierpliwych poszukiwaniach odkryłem, że otworzyła się ponownie jedna z przestrzelin, jakie otrzymaliśmy podczas walki z Algerine. Woda buchała przez nią strumieniami przy każdym ruchu statku.

Kazałem bezzwłocznie sporządzić plaster z małego zapasowego szprytzagli i po wielkich trudach udało się nam podciągnąć go pod przestrzelinę. Stwierdziłem z zadowoleniem, że przeciek zmniejszył się znacznie i same tylko pompy mogły stopniowo usuwać wodę.

Tom powiedział do mnie potem: – Za wcześnie wieszowaliśmy sobie sukcesu, Bob. Mając gorsze statki i mniej praktyki morskiej, moglibyśmy łącznie pójść rybkom na żer.

– To prawda, Tom. Wyszliśmy jednak jakoś z tej biedy, podczas kiedy na pewno niejedyn dobry marynarz rozstał się z życiem. Bądźmy radzi, że nam się udało.

W tejże chwili marynarz na oku zakrzyknął, że widzi statek z prawej przed dziobem. Dostrzegłszy, iż była to fregata ze zniesionymi masztami, wzięliśmy na nią kurs, a gdyśmy się do niej zbliżyli, podniosła flagę francuską.

Widać było, że załoga usiłuje postawić zapasowy maszt. Wydało nam się wszakże, iż jest ona bardzo nieliczna i nie wie, jak zabrać się do rzeczy.

Podniosłem flagę angielską, a zbliżywszy się jeszcze bardziej ujrzałem, że ambrazury dział były odkryte, same zaś działa wyrzucone za burtę.

– Hej, Tom – powiedziałem – mamy znów szczęście. Zabierzemy tego ptaszka na Antiguę i pokryjemy sobie nim szkody, jakich doznaliśmy podczas huraganu.

Zarządziłem alarm bojowy, po czym podszedłem od dziobu do fregaty na odległość strzału pistoletowego i rozkazałem jej opuścić banderę, popierając rozkaz wystrzałem z działa skierowanym przed dziób. Okręt opuścił natychmiast banderę. Jak się okazało, była to francuska fregata Tonnant, idąca do kraju z depeszami. Huragan zaskoczył ją całkiem zniecka i zmiotł wszystkie maszty w chwili, gdy większość załogi znajdowała się na rejach przy skracaniu żagli. Katastrofa ta zmniejszyła do zaledwie czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi liczbę załogi, już przedtem znacznie przerzedzoną przez żółtą febrę. Wielu spośród pozostałych doznało obrażeń przez działa zerwane ze swych umocnień w czasie huraganu.

Myślałem, że dowódca fregaty, pan L'Estrange, kawaler Orderu Św. Ludwika, zemdleje, gdy mu oświadczyłem, że został wzięty do niewoli przez statek handlowy posiadający list kaperski i trudniący się handlem niewolnikami, oraz że jest to już nasz trzeci przyz. Był to jednak kawaler bardzo dumny, kazał przeto bezzwłocznie resztkom swojej załogi przyjąć od nas hol. Zaledwie uporaliśmy się z tym, gdy na widnokręgu ukazała się angielska eskadra Indii Zachodnich pod dowództwem admirała Sir Harry'ego Jonesa. I ona także mocno ucierpiała podczas huraganu. Ze składu eskadry brakowało jednego okrętu liniowego, jednego brygu i dwóch transportowców. Dwa dalsze transportowce były ogołoczone z takielunku, żaden zaś okręt zespołu nie znajdował się w tak dobrym stanie jak Black Prince.

Po trzech dniach korzystnej pogody zawinęliśmy wraz z eskadrą do portu Falmouth na wyspie Antigua.

Wywiedzieliśmy się od kilku członków załogi Tonnanta, komandor L'Estrange wyrzucił bowiem wiezione depesze za burtę, że flota francuska ma się spotkać na wyspie Gwadelupa w celu podjęcia próby zdobycia kilku brytyjskich wysp. Dowiedzieliśmy się także, iż prócz okrętów wojennych, Francuzi oczekują nadejścia z Europy licznych transportowców z wojskiem. Sir Harry Jones starał się przeto doprowadzić jak najspieszniej do porządku swą eskadrę, by przyłapać te siły, zanim zdążą one połączyć się z główną flotą.

Zorganizowany wysiłek, zapał i dobra praktyka morska mogą zdziałać

cuda. Wkrótce też ogołoczone z osprzętu i podobne do wraków okręty, które z wielkim trudem dotarły na kotwiczowisko, zaczęły przybierać wygląd brytyjskich okrętów wojennych. My jednak nie mogliśmy uzyskać jakiegokolwiek pomocy z lądu prędzej, nim nie zostały zaspokojone pilniejsze potrzeby eskadry.

Pierwszym naszym zadaniem było zgłoszenie do sądu wiceadmiralskiego dwu naszych przyzów i uzyskanie zezwolenia na wyładunek niewolników z Foudre'a. Udzielono go, nam natychmiast, wobec czego wyokrętowaliśmy wszystkich niewolników zarówno z Foudre'a jak i z Black Prince'a, po czym przekazaliśmy ich pod opiekę panu Stevensonowi, agentowi firmy Merrick i Floyd. Pan Stevenson, z gościnnością cechującą wszystkich urzędników w Indiach Zachodnich, zaprosił Toma i mnie, byśmy u niego zamieszkali, czyniąc to samo wobec pana L'Estrange, zwolnionego na parol.

Formalności w lądzie przyzowym nie zabrały zbyt wiele czasu. Sir Harry Jones, potrzebujący fregat i mniejszych okrętów, zakupił oba przyzy dla królewskiej marynarki wojennej. Tonnant zatrzymał swą nazwę, natomiast Foudre został przechrzczony na Satellite. Oba okręty, pod dowództwem oficerów marynarki wojennej, spisały się bardzo dobrze w Indiach Zachodnich.

Mimo że na osłoniętych wodach portu Black Prince nie przeciekał zanadto, zdawałem sobie sprawę z tego, że nie byłoby rozsądne iść na morze, nie dokonawszy gruntownej naprawy. Przystąpiłem zatem do całkowitego wyładowania okrętu, opuściłem wszystkie stengi, pozostawiając jedynie kolumny masztów i bukszpryt, po czym uszczelniłem ambrazury i luki smołowanymi pakułami, przygotowując w ten sposób statek do położenia na burtę. Przy kolumnach masztów przyśrubowaliśmy duże, mocne wysięgniki i z marsów przepuściliśmy przez ich końce pod kadłubem prewentry wantowe. Wynajawszy kilka dużych, zaopatrzonych w kabestany lichtug, które należycie zabalastowaliśmy, położyliśmy statek na burcie wynurzając stępkę. Przy badaniu dna okazało się, że woda przedostała się pod poszycie ochronne, co spowodowało konieczność całkowitego jego usunięcia. Trzeba było usunąć także sześć czy siedem desek poszycia dna, a dwie wręgi okazały się tak uszkodzone, że zaszła potrzeba przyśrubowania na nich od wewnątrz wzmocnień. Gdy poluzowaliśmy talie i postawiliśmy okręt na równej stępce, spostrzegłem, że grotmaszt, najbardziej uszkodzony ze wszystkich trzech masztów, był tak zgnieciony, że trzeba było go wyjąć i zrobić nowy. Wszystko to zajęło bardzo wiele czasu. Dopiero po dwóch

miesiącach od przybycia na Antiguę stwierdziłem z radością, że Black Prince był znów w najzupełniejszym porządku i w stanie takiej gotowości morskiej, jak wówczas, gdy wychodziliśmy z Liverpoolu.

Sir Harry Jones wyszedł na morze na długo przedtem, ale Tonnant i Satellite zostały wykończone mniej więcej w tym samym czasie co i my, wobec czego oczekiwały w porcie na rozkazy. Wówczas to bryg Rover przywiózł wiadomość o klęsce zadanej eskadrze francuskiej przez Sir Harry'ego Jonesa. Tonnant i Satellite otrzymały rozkaz przejścia na Jamajkę w celu połączenia się tam z eskadrą. Postanowiłem towarzyszyć im do Kingstonu, jako że na wyspie Antigua mogłem sprzedać tylko część przywiezionych niewolników.

Przejście nie trwało długo i odbyło się bez szczególnych wydarzeń. Zbyłem też bez trudności resztę Murzynów po dobrej cenie. Po zrobieniu tego naradzaliśmy się z Tomem, co czynić dalej. Ponieważ Anglia wypowiedziała wojnę Hiszpanii, otwierały się widoki zarobienia na przyczach na wodach posiadłości zamorskich tego kraju. Odnieśliśmy już jednak tyle sukcesów, że mogliśmy śmiało wyruszyć w podróż powrotną do kraju, tym bardziej że chciałem koniecznie zejść do Charlestonu i, zobaczyć moją Muriel. Wiedziałem wprawdzie, że pozostanie mi wierna, ale nie mogłem oprzeć się przerażeniu na myśl, iż ojciec mógł starać się narzucić jej jakiegoś wybranego konkurenta.

Tom proponował, abyśmy poszli ku zachodniej części Kuby, a potem wracali na Wschód, omijając wyspę od strony północnej, i wykorzystując panujący tam prąd wyszli z Cieśniny Florydzkiej obok wysp Bahama. W ten sposób – tłumaczył – moglibyśmy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, wykonując rajd korsarski po drodze do kraju. Skłonny byłem przyjąć tę propozycję, a że nie powinno było nastęrczać trudności znalezienie ładunku dla takiego okrętu jak Black Prince, który mógł udać się do kraju nie czekając na konwój, przeto zdecydowałem przyjąć ładunek od jakiegokolwiek kupca, który przewidywałby zejście do Charlestonu.

Zastanawiałem się jeszcze nad tym, co robić, gdy doręczono mi wiadomość od admirała, który wzywał mnie do natychmiastowego stawienia. Po przybyciu na pokład Implacable'a, jego okrętu flagowego, Sir Harry spytał, czy nie zechciałbym oddać mego statku w czarter rządowy.

Odrzekłem, iż będzie to zależało od okoliczności, lecz byłbym zaszczycony jego propozycją, jeśli byłaby wykonalna. Oznajmił mi wówczas, że pragnie przesłać depesze małej eskadrze, która ma nadejść

z Anglii. Trzeba było uprzedzić ją, że admirał zamierza wyjść z Jamajki w celu zaatakowania Gwadelupy i wyznaczyć jej spotkanie w pobliżu tej wyspy. Dalej miałem iść do Nassau i zostawić podobne rozkazy dla wszelkich okrętów mogących tam zawinąć, potem zaś pójść do Charlestonu i Halifaxu. W tym ostatnim porcie miałbym zdecydować, czy odnowić czarter, czy też go zakończyć.

Bardzo to odpowiadało moim zamiarom, powiedziałem jednak Sir Harry'emu, że w zasadzie sprawa sprowadza się do ustalenia warunków, co do których muszę naradzić się z synem armatora statku, pełniącym obowiązki supercarga.

– Idź więc pan i powracaj jak najrychlej. Jeśli się bowiem zgodzisz, chciałbym abyś podniósł kotwicę jutro z pierwszym powiewem porannej bryzy.

Powróciliśmy z Tomem natychmiast do admirała i szybko uzgodniliśmy warunki. Admirał zaprosił nas na wieczór na obiad, co było dowodem jego niezwyklej łaskawości. Podczas obiadu i długo po nim rozpytywał o szczegóły naszej podróży i był ubawiony faktem, że George Dormer wykradł sobie żonę z Wysp Kanaryjskich. Kazał mi zabrać ze sobą dziennik okrętowy, gdy zgłoszę się jutro rano po rozkazy. Chciał przejrzeć zapisy odnoszące się do naszej walki z Algerine i wystąpić do Admiralicji z wnioskiem o nagrodę dla nas za zniszczenie jednego z tych statków, będących zakałą cywilizacji. Uśmieł się, że zdobycie trzech, przyzów przyszło nam z taką łatwością. Ostrzegł nas jednak, iż bezpieczne dostarczenie powierzonych nam depesz jest zadaniem znacznie ważniejszym niż branie jakichkolwiek przyzów, jakkolwiek powinniśmy bronić się do upadłego przed wzięciem nas do niewoli. Zalecił nam staranne unikanie wszelkich możliwych starć, chyba że byłoby to niezbędnie konieczne.

Gdy admirał podniósł się od stołu i życzył nam dobrej nocy, doręczono nam zaproszenie do mesy młodszych oficerów, w której znajdowało się kilku dawnych kolegów Dormera. Prosili, by zająć do nich i opowiedzieć przy grogu, jak George wykradł narzeczoną. Serdeczne przyjęcie, jakie nam tam zgotowano, przeciągnęło się do siódmej szklanki pierwszej nocnej wachty. Oficerowie zapewniali przy pożegnaniu, że nie powinniśmy być korsarzami, lecz oficerami marynarki wojennej.

Nazajutrz rano zameldowałem się po depesze i rozkazy. Prócz depesz prawdziwych, które miałem zniszczyć lub wyrzucić za burtę w razie niebezpieczeństwa dostania się do niewoli, wręczono mi także depesze fałszywe, które miały ewentualnie wpaść w ręce nieprzyjaciela. Sir Harry

Jones nakazał mi iść jak najspieszniej do Cieśniny Zawietrznej i halsować w jej pobliżu przez dziesięć dni. Jeśli w tym czasie nie napotkam eskadry, której powinienem wypatrywać, będzie to oznaczało, że obrała ona jakąś inną drogę. Wówczas mam iść dalej do Nassau.

Jak przyrzekł, admirał dokonał w naszym dzienniku okrętowym bardzo pochlebnego zapisu, który nie tylko stwierdzał, że oficerowie i załoga Black Prince'a zasłużyli na nagrodę pieniężną za zniszczenie pirata, lecz wyrażał nadzieję, że kapitan statku, pan Robert Hawkins, otrzyma od rządu jego królewskiej mości wyrazy szczególnego uznania za męstwo i wysoką sztukę żeglarską, jakie przy tej sposobności wykazał.

– No więc, mój kochany – rzekł szarmancki admirał – życzę ci pomyślnego rejsu i dobrych wiatrów. Niechaj ci szczęście dopisuje w miłości tak samo, jak dopisywało ci w działaniach wojennych.

Powróciwszy na statek stwierdziłem, że Trenal podniósł marsie, obrasował reje przeciwnie i wybrał na krótko łańcuch kotwiczny. Łódź moja znalazła się niebawem na żurawikach i kotwica poszła w górę. Gdy statek odpadł od wiatru, przebrasowaliśmy przednie reje, postawiliśmy kliwer i forstensztaksel, a potem wszystkie żagle i biorąc kurs do wiatru przeszliśmy za rufą admirałskiego okrętu, salutując go flagą Salut został nam oddany, sam admirał powiewał ku nam kapeluszem z rufowej galeryjki.

Pohalsowaliśmy do wschodniego krańca Jamajki, a gdy tylko nabraliśmy dostatecznej wysokości na wietrze, wzięliśmy hals na północ. Po kilku dniach osiągnęliśmy pozycję, na której mieliśmy oczekiwać nadejścia eskadry z Anglii. W ciągu dnia halsowałem pod wiatr pod skąpymi żaglami, a wieczorem spuszczałem marsie i pozwalałem statkowi stracić z wiatrem odległość przebytą w dzień. Dni mijały jednak, a eskadry nie było widać. Spotkaliśmy tylko kilka małych szkunerów, które omijały nas z daleka. Wreszcie, gdy zbliżał się już prawie koniec wyznaczonego terminu, usłyszeliśmy tuż przed świtaniem gwałtowną kanonadę po nawietrznej. Wykreściłem natychmiast do wiatru i wkrótce ujrzałem jedno z najpiękniejszych, a zarazem najgroźniejszych widowisk – bitwę morską.

Eskadra angielska składała się z pięciu okrętów liniowych i czterech fregat płynących w asyście dużego konwoju transportowców i statków handlowych. Przeważająca siłą eskadra francuska usiłowała odciąć część konwoju, ale Anglicy udaremnili ten zamiar, zmuszając ją do przyjęcia walki. Gdy przybyliśmy na miejsce bitwy, szczęście obróciło się już na korzyść Anglików, bowiem dwa francuskie okręty liniowe opuściły bandery, a jedna z fregat miała zniesione maszty. Odpierała ona jednak

nadal dzielnie ataki fregaty angielskiej, podchodzącej właśnie do abordażu. Jak należało się spodziewać, również i Anglicy nie uszli cało. Trzy okręty liniowe musiały zaniechać pościgu za resztą eskadry francuskiej, usiłującej teraz ująć pod wszystkimi żaglami. Następowaly jej gęsto na pięty te spośród angielskich okrętów, które nie utraciły zdolności bojowej.

Przed zespół francuski wysforowała się duża fregata, a ponieważ wydawało się, że uda jej się ująć, ruszyłem na nią i otwarłem ogień, gdy tylko podeszliśmy na odległość strzału działowego. Odpowiedziała natychmiast, celując przede wszystkim w omasztowanie, aby unieruchomić statek. Ponieważ zbliżaliśmy się do siebie i powinniśmy byli przejść w nieznacznej odległości, postanowiłem zaryzykować z bliska salwę kulami na łańcuchach, używanymi do podcinania masztów. Mimo że olinowanie nasze I żagle nieco ucierpiały, wytrzymałem cierpliwie i dałem rozkaz otwarcia ognia dopiero z najbliższego dystansu. Salwa okazała się znakomicie skuteczna, zmiatając nieprzyjacielowi fokstengę i grotreję, lecz w tejże samej chwili nasza grotstenga zwała się z trzaskiem na pokład. Jednocześnie Tom Merrick, stojący na rufie, został ciężko ranny odłamkiem drewna. Nie miałem czasu oglądać się na niego, zniesiono go jednak natychmiast pod pokład. Grotstenga padając przykryła część dział i żagle zaczęły płonąć. Cała załoga, prócz ludzi obsługujących działa dziobowe, rzuciła się do gaszenia ognia. Na szczęście wrak nieprzyjacielskiej fokstengi runął na dziób okrętu, pozbawiając go zdolności manewrowania. Fregata znalazła się w takiej pozycji, że nasze czynne działa mogły ostrzeliwać jej rufę, czyniąc znaczne szkody. Natomiast nieprzyjaciel, usadowiony na marsach, nękał dotkliwie z broni ręcznej naszych ludzi tłumiących ogień i usuwających z pokładu wrak stengi.

Pozostałe okręty francuskie przeszły z przeciwnej strony fregaty, wskutek czego niewiele zdołały nam zaszkodzić. Natomiast dowódca prowadzącego szyk angielskiego okrętu liniowego, widząc co się dzieje, skierował swój okręt pomiędzy nas i fregatę, a przechodząc posłał swą potężną salwę w rufę nieprzyjaciela. Salwa ta zmiotła „francuzowi” grot i stermaszt, co okazało się dostatecznym argumentem do natychmiastowego opuszczenia przez niego flagi. Dowódca angielski obwołał mnie, nakazując posłać łódź i objąć fregatę w posiadanie, dzięki czemu po raz drugi w ciągu trzech miesięcy odebrałem francuskiemu kapitanowi szpadę na rufie jego własnego okrętu.

Uwolnwszy się od nieprzyjaciela załoga ugasiła szybko ogień

i niebawem usunięto z pokładu szczątki omasztowania i postawiono zapasową grotstengę. Na zdobyczej fregacie odrąbałem olinowanie utrzymujące strzaskane wraki stengi i rei, po czym udało mi się postawić fokzagieli i skierować okręt z wiatrem w ślad za angielską eskadrą.

Do południa wzięto jeszcze dwa dalsze okręty liniowe i fregatę. Admirał angielski, nie widząc nadziei dognania innych okrętów francuskich, szybszych od jego eskadry, wykręcił do wiatru i nakazał zespołowi uformować na powrót szyk, a konwojowi zebrać się razem.

Podprowadziłem francuską fregatę do okrętu liniowego, który przypieczętował ostatecznie jej zdobycie, i poprosiłem o przysłanie załogi celem przejęcia okrętu, oznajmiając, iż obarczony jestem misją przewiezienia depeesz. Zameldowałem się u dowodzącego admirała, który kazał kontynuować powierzone mi zadanie. Z pokładu Centuriona, tak bowiem nazywał się okręt liniowy, przysłano załogę przyzową pod dowództwem porucznika. Przekazałem mu fregatę, noszącą nazwę Sanglier. Uczyniwszy to powróciłem na mój okręt i zszedłem do Toma, który leżał obandażowany na koi na rufie. Mimo odczuwanego bólu był on bardzo uradowany wynikiem całodziennego akcji i rzekł:

– Widzę, Bob, że jak wrócimy do kraju, ogłoszą cię bohaterem. Dwie fregaty, statek korsarski oraz lugier – wszystko to zdobył Black Prince pod dowództwem kapitana Hawkinsa. Miałeś więcej szczęścia niż wielu dowódców służących od młodości w marynarce wojennej.

McAllister zameldował, że spośród naszej załogi siedmiu ludzi jest rannych i trzech zabitych. Dziwna rzecz, poległo właśnie trzech rozbitków z Betsy, których zdawał się prześladować jakiś zły los.

Po odwiedzeniu rannych zabrałem dziennik okrętowy oraz depeesze i udałem się na pokład admirałskiego okrętu Dreadnought o osiemdziesięciu działach.

Dowodzący eskadrą admirał Thompson powitał mnie przy wejściu, mówiąc: – Gratuluję, kapitanie, żeś tak dzielnie zmusił fregatę do walki. Uważam, że, zasługa zdobycia fregaty przypada tobie i twojej załodze.

Podziękowałem za uznanie i wręczyłem mu depeesze powierzone mi przez Sir Harry'ego Jonesa. Przejrzał je pospiesznie, po czym wezwał dowódcę okrętu flagowego i polecił mu podnieść sygnał nakazujący dowódcom wszystkich okrętów stawić się natychmiast. Spytałem, czy zechciałby zwrócić uwagę na wpis dokonany w moim dzienniku okrętowym przez Sir Harry'ego i czy nie wyrządziłby mi zaszczytu, dokonując podobnego zapisu o przeprowadzonej akcji.

– Chętnie to uczynię, panie – odrzekł. – Zdaje się, że umiesz zarówno

dbać o interesy twego okrętu, jak walczyć. Ale przede wszystkim, czy nie potrzebujesz pomocy dla statku lub twoich rannych? Widzę, że postawiłeś już grotstengę, snąć nie traciłeś czasu.

Podziękowałem, mówiąc, że mam na okręcie dobrego lekarza, który zatroszczył się należycie o rannych, natomiast byłbym wdzięczny za kilka zwojów lin, potrzebnych do wymiany odstrzelonego takielunku ruchomego.

Zapewnił, że będę je miał bezzwłocznie i wydał rozkazy, by liny zrzucono mi do łodzi.– Teraz zaś – rzekł – sekretarz przygotowuje raport ze stoczonej walki, a pan, kapitanie, zechciej zejść do mego salonu na posiłek, którego zapewne potrzebujesz po trudach dnia.

Przy winie i sucharach admirał polecił mi iść najkrótszą drogą do Nassau i pozostawić tam przekazane depesze, po czym udać się do Charlestonu, gdzie przeznaczone dla Halifaxu depesze powinienem powierzyć innemu okrętowi. Admirał życzył sobie, bym przewiózł do kraju raport z bitwy stoczonej przez jego eskadrę, przy czym dodał: – Spodziewam się, że gdy przedstawiś go w Admiralicji, otrzymasz od rządu jakiś materialny dowód uznania za dzisiejszą akcję. Uczyniłem o niej szczególną wzmiankę, dokonując – zgodnie z twą prośbą – odpowiedniego zapisu w dzienniku okrętowym. A teraz spiesz na swój okręt, bo – jak widzę – twoi ludzie już gotowi i muszę przyznać, rzadko kiedy zdarzyło mi się widzieć, aby szkody zostały tak szybko i sprawnie usunięte. Żegnaj i dobrych wiatrów.

Podziękowawszy admirałowi za uprzejmość powróciłem spieszenie na pokład Black Prince'a. Wziąłem na powrót kurs na północ i wkrótce straciliśmy eskadrę z oczu. Skoro tylko podnieśliśmy żagle, zajrzałem do dziennika okrętowego i stwierdziłem, że admirał Thompson zapisał co następuje:

„Polecam kapitanowi Hawkinsowi odczytać ten zapis jego oficerom i załodze.

Wyrażam podziękowanie kapitanowi okrętu Black Prince, panu Robertowi Hawkinsowi, oraz jego oficerom i załodze za dzielne i zręczne zmuszenie fregaty Sanglier do przyjęcia walki, która zakończyła się zdobyciem tego okrętu. Pozwalam sobie prosić Lordów Admiralicji, by zechcieli przyznać kapitanowi, oficerom i załodze statku Black Prince udział w zyskach przyzowych, wynikających z dzisiejszej akcji, tak jak gdyby stanowili oni załogę okrętu wojennego jego królewskiej mości.

John, Thompson kontradmirał floty pomocniczej.

Po odczytaniu tego załoga wydała trzykrotny okrzyk „hurra!”, a gdy

jeszcze oznajmiłem, że z Charlestonu pójdziemy wprost do Anglii, wioząc raport z ostatniej bitwy, radość jej nie miała miary. Wszyscy bowiem pragnęli znaleźć jak najrychlej sposobność do wydania dobrze zasłużonych zarobków przyzowych.

Przebyliśmy szybko Cieśniną Zawietrzną i weszliśmy na niebezpieczne dla żeglugi wody wysp Bahama, obfitujące w rafy i wymagające nawigowania z dużą ostrożnością i uwagą. Krajobraz przedstawiał scenerię o nieporównanej piękności. Niskie rafy koralowe pokryte były gdzieśgdzie falującymi pióropuszcami kokosowych palm, pod którymi tuliły się białe, strzechą kryte osiedla rybaków i łowców okrętowych wraków, mających na tych wysepkach swą główną siedzibę. Od głębokiego błękitu wód odcinały się prześliczne przemykające tu i tam białe żagle małych stateczków, na których mieszkańcy uprawiali swój proceder. Wśród panującej ciszy, przy spokojnej wodzie, widać było za burtą w pobliżu brzegu sceny, z którymi nie mogły się równać obrazki wyjęte z czarodziejskich baśni. Z dna pokrytego srebrzystym piaskiem wyrastał koral najróżnorodniejszej postaci i barwy. Nawet na głębokości dwudziestu sążni woda była tak kryształowo przejrzysta, iż można było dojrzeć na dnie każdą muszelkę. Wśród różnobarwnych falujących wodorostów przemykały we wszystkich kierunkach ryby, niektóre precudne, inne o kształtach dziwacznych, to lśniące złotą łuską, to znów błękitne, zielone, żółte lub koloru żywego cynobru. I niezbyt wielkiej potrzeba było wyobraźni, by pomyśleć, że przepływamy oto ponad siedliskiem syren i trytonów. Oczekiwało się niemal w każdej chwili widoku spoczywającego na marskim posianiu sędziwego Trytona, wzywającego mocy Neptuna, by przepędzić śmiertelników, którzy odważyli się wdrzeć do jego królestwa.

Mimo tych wszystkich cudów trzeba było dawać baczenie i wyteżać uwagę, nie tylko z powodu raf i prądów, lecz także ze względu na niebezpieczeństwo grożące ze stroiły ludzi. Mieszkańcy tych baśniowych wysp nie cieszyli się bowiem dobrą sławą. Wprawdzie Czarnobrody i inni piraci ponieśli już dawno karę za swe zbrodnie, ale jednak wśród łowców wraków było wielu takich, którym tylko brak sposobności, a nie chęci, nie pozwolił stać się równie groźną, jak ich poprzednicy, plagą dla spokojnych i bezbronnych kupców.

Aby zapobiec zdryfowaniu, musieliśmy często zakotwiczać. Pewnej nocy, przy panującej ciszy, nie mogliśmy z początku dostać dna, lecz po pewnym czasie wysondowaliśmy dno na głębokości dwudziestu sążni. Widząc, że głębokość wody gwałtownie maleje, rzuciłem na dziesięciu

sążniach kotwicę zawożną, po czym podniosłem sieci abordażowe i nakazałem kanonierom wachtowym ułożyć się do snu na pokładzie przy działach. Przekazałem wachtę na pokładzie Trenalowi, sam zaś zszedłem na dół, by posiedzieć przy wezglowiu Merricka, którego stan poważnie mnie martwił. Miał ciągle wysoką gorączkę, a rana jego nie goiła się bynajmniej tak, jak byśmy sobie tego życzyli.

Tom majaczył i bełkotał coś o domu i George’u Dormerze, mówiąc sam do siebie, tak jakby mnie przy nim nie było. Nagle zerwał się, usiadł i rzekł: – Pst! Maurowie, George! – po czym zdawał się pilnie nasłuchiwać. Nie słysząc niczego podejrzanego usiłowałem uspokoić go i skłonić do położenia się, ale zaczął się ze mną szamotać, wołając: – Gdzie moja szpada? – i usiłował wyskoczyć z koi.

W tejże chwili posłyszałem skrzyp wiosła w dulkach, krzyknąłem więc McAllisterowi, by pilnował Merricka i wyskoczyłem na pokład, wołając do Trenal, by ogłaszał alarm bojowy. Załoga rzuciła się w mgnieniu oka do broni, sam zaś – dopadłszy jarzm bukszprytu – zobaczyłem wiosłujące ku nam cztery duże łodzie. Poza nimi można było dostrzec kadłub i maszty małego szkunera, a padające nań promienie wschodzącego Księżyca oświetliły wysunięte z burt statku długie wiosła.

Rozkazałem nabić działa kartaczami i wycelować je w łodzie, po czym zachować absolutną ciszę i czekać z otwarciem ognia na rozkaz. Zbliżywszy się, łodzie podzieliły się tak, by zaatakować nas z obu burt! Gdy znalazły się w odległości pięćdziesięciu jardów, nakazałem otworzyć ogień. Jedna z łodzi zatonała natychmiast, lecz pozostałe wiosłowały nadal i wkrótce pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu zdecydowanych na wszystko rozbójników zaczęło wspinać się po dziobie.

Na szczęście, gdy kierowałem akcją na dziobie, Trenalowi udało się podać cumę z rufy i uwiązać ją poza kluzę kotwiczną do zapasowej, prawoburtowej kotwicy dziobowej. Zwolniliśmy stopery pokładowe i łańcuch zaczął wybiegać z kluzy, obracając statek i odsłaniając działom burtowym pole ognia na piracki szkuner. Rzuciłem się z załogą pokładową i kanonierkami dziobowych dział do odparcia wdzierających się na pokład napastników, a tymczasem Trenal objął komendę nad działami i otworzył ogień do szkunera.

W niepewnym świetle trudno było jednak dobrze wycelować działa i szkuner ciągle posuwał się w naszą stronę. Zauważyłem też, że piraci, znajdujący się pod dziobem, usiłują przeciąć łańcuch kotwiczny. Widząc, co się święci, kazałem Czarnemu Jackowi, spychającemu napastników handszpakami, wziąć do pomocy jednego człowieka i odciąć stopery

kotwicy znajdującej się w kluzie. Kotwica runęła w dół, druzgocąc stojącą pod nią łódź i porywając usadowionych na niej piratów. Szczęściem łańcuch zapasowy trzymał, a ogień, jaki otwarliśmy z garłaczy, odpędził opryszków usiłujących przeciąć łańcuch kotwiczny. Tymczasem jednak kilku innym udało się ucześcić głównego łańcucha kotwicznego.

W tej samej chwili szkuner, mimo że wielce ucierpiał od naszego ognia, podsunął się do burty, i trzeba było zasunąć ambrazury, aby straceńcy nie przedostali się przez nie do wnętrza okrętu. Wkrótce rozgorzała walka wręcz, ponieważ ochronne sieci abordażowe, choć mocne i dobrze smołowane, zostały niebawem posiekane w strzępy i piraci zaroili się na śródokręciu.

Na baku udało nam się uporać z napastnikami, a Trenal, widząc, że piraci wdarli się na pokład, zebrał swych ludzi na rufówce, po czym spoza barykad zasypaliśmy rozbójników gradem pocisków z broni ręcznej. Pod działaniem tego ognia napastnicy zaczęli się chwiać, tymczasem jednak śródokręcie i pokład szanćcowy zmienił się w ruinę. Skoro tylko piraci zaczęli się cofać, runęliśmy na nich wraz z Trenalem i z naszymi ludźmi i dosłownie wyrzuciliśmy ich za burtę na ich własny statek. Szkuner, przyciskany prądem do naszej burty, nie mógł odbić, co widząc, kazałem obsadzić działa i wykończyć wroga, oddając salwę z bezpośredniej bliskości. Na szkunerze zaczęto wkrótce krzyczeć, że statek tonie, po czym piraci usiłowali powtórnie przedostać się na nasz pokład. Rzuciwszy szpring pozwoliliśmy Black Prince'owi wykręcić się z prądem, odsuwając szkuner, który wkrótce zdryfował wolno poza rufę. Kilku piratów uczepiło się naszych łańcuchów i lin zwisających za burtę, tych jednak pozbyliśmy się bez trudu. Wtedy dopiero można było zająć się własną załogą. Będąc w korzystniejszym położeniu, nie ponieśliśmy tak poważnych strat, jak można tego było oczekiwać. Mimo to spośród moich ludzi na dziobie czterech zostało zadźganych na śmierć długimi nożami piratów, a co najmniej szesnastu było rannych. Razem ze stratami, jakich doznaliśmy w walce z fregatą Sanglier, było to poważne uszczuplenie naszej załogi. Łańcuch kotwicy zawoźnej pękł wkrótce potem jak rzuciliśmy szpring, a wybrawszy luźny jego koniec nie mogliśmy się nadziwić, jak zdołał tak długo wytrzymać, będąc przecięty więcej niż w trzech czwartych.

Gdy się rozwidniło, dostrzegłem, iż znajdowaliśmy się w zatoczce okolonej zewsząd rafami, z których najbliższa wyłaniała się z morza nie dalej niż o pięćdziesiąt jardów. Na nią właśnie zdryfował piracki szkuner i przez nią przewalała się teraz fala. Kilku członków jego załogi schroniło się na maszty, inni zaś czepiali się tu i tam skały.

Zaproponowałem, by wziąć ich na pokład i przewieźć do Nassau, gdzie zostaną oddani w ręce władz powołanych do tępienia piractwa. Po rozważeniu postanowiliśmy jednak zabrać tylko tych, którzy znajdowali się na masztach, ale i to nie przyszło nam łatwo, wiedzieli bowiem, że los ich rychło przypieczętowany zostanie stryczkiem. Dopiero po zestrzeleniu trzech spośród nich przekonaliśmy pozostałych, by zeszli do łodzi, gdzie zostali natychmiast powiązani.

Gdy tylko mogłem opuścić pokład, zszedłem do biednego Toma, którego udało się McAllisterowi z trudnością powstrzymać od wyrwania się na pokład i przyłączenia do walki. Odtąd jednak gorączka zaczęła spadać i Tom zapadł w spokojny, pokrzepiający sen, z którego obudził się zapewne w lepszym samopoczuciu i prawdopodobnie bez gorączki.

Aby wydostać się z zatoczki, w którą zapędził nas prąd, trzeba było wywieźć kotwice zawoźne. Wybrawszy kotwicę rozpoczęliśmy wykonywać żmudny i przykry manewr mozolnego wyciągania się spośród raf. Na szczęście, gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz nich, zerwała się bryza” która pozwoliła nam położyć się na powrót na kurs do Nassau.

Zebrawszy jeńców na pokładzie stwierdziłem, że trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej plugawo i odpychająco wyglądającą bandę. Jeden z nich był Hiszpanem o wąsach i czuprynie stanowiących zmierzwioną gęstwą włosów i wybitym oku, pozostali przedstawiali pstrą zbieraninę Mulatów i Murzynów. Usiłowałem wydobyć, kto był ich wodzem, wszyscy jednak milczeli ponuro. Kazałem zatem umieścić ich w międzypokładzie i choć byli skuci, postawiłem przy nich podwójną wartę.

W dwa dni po tym starciu rzuciliśmy kotwicę na redzie Nassau, gdzie oddaliśmy przeznaczone dla tego portu depesze jak również i piratów. Widząc, że gdybym pozostał, by świadczyć przeciwko nim, podróż doznałaby zwłoki, pozostawiłem na miejscu jako świadków trzech spośród zaokrętowanych w Liverpoolu Murzynów, którzy wyrazili chęć osiedlenia się na wyspach Bahama. Po czym podniosłem kotwicę i ruszyłem najkrótszą drogą do Charlestonu, dokąd przybyliśmy bez żadnych, godnych uwagi przygód.

Nikogo zapewne nie zdziwi, że oddawszy jak najspieszniej depesze gubernatorowi, zacząłem dopytywać się o Muriel Penmore. Żywiłem nadzieję, iż do tego czasu, a szczególnie po sukcesach, jakie odniosłem w podróży Black Prince’a, ojciec jej zmienił zdanie i zgodzi się na moje starania o rękę jego córki. Gdyby się jednak okazało, że nadal tkwi w swej zatwardziałości, chciałem pójść za przykładem George’a Dormera

i skłonić ją, by powierzyła swe losy w moje ręce i uciekła ze mną na pokładzie statku.

Jakież było moje rozczarowanie, gdy się dowiedziałem, że pan Penmore wraz z całą rodziną wyruszył kilka dni przedtem do Anglii, otrzymawszy wiadomość o śmierci kuzyna, który pozostawił mu w spadku tytuł baroneta i rozległe włości. Powróciwszy na statek w stanie krańcowego przygnębienia oznajmiłem Tomowi, powracającemu już wówczas do zdrowia, że wszystkie moje nadzieje zostały zniweczone. Bo jeśli zwykły Penmore, plantator z Karoliny, uważał za bezczelność, iż marynarz ze statku handlowego śmie ubiegać się o rękę jego córki, to cóż dopiero mówić o jego zapatrywaniu z chwilą, gdy został Sir Rupertem Penmore?

– Nie martw się, Bob – odrzekł wierny, dzielny przyjaciel. – Musimy ruszać natychmiast i najprawdopodobniej przybędziemy do Anglii nie później niż Mohawk; tam znajdziesz na pewno jakiś sposób, by poślubić twą Muriel.

Nie tracąc czasu uzupełniłem zapas wody i prowiantu i po dwu dniach od naszego przybycia wyszliśmy na morze w podróż powrotną do Anglii, stawiając wszystkie żagle, jakie tylko Black Prince mógł unieść. Podnieśliśmy się z początku wysoko na północ, a dostawszy silny wiatr zachodni wzięliśmy kurs na przylądek Lands End. Weszliśmy wkrótce w obszar mglistej pogody, a potem zaczęliśmy napotykać liczne góry lodowe, wśród których trzeba było żeglować z największą ostrożnością. Szczęśliwie udało nam się ich uniknąć, nie ponosząc żadnych szkód, chociaż pewnej nocy zarówno podróż Black Prince'a, jak i ta opowieść mogły zakończyć się nagle i tragicznie.

Ponieważ w ciągu całego dnia widzieliśmy dokoła duże góry lodowe, skróciłem z zapadnięciem zmierzchu żagle i wystawiłem dodatkowe wachty na oku, zmieniając je co pół godziny. Panujące dotkliwie zimno dawało się bowiem we znaki ludziom przebywającym do niedawna w klimacie tropikalnym. Sam również pozostałem przez całą noc na pokładzie. Około jedenastej poczułem, że temperatura obniżyła się gwałtownie przy jednoczesnym zgęstnieniu mgły. Obawiając się, że zbliżamy się do jakiejś wielkiej masy lodu, wykręciłem statek pod wiatr, brasując grotmarsel tak, by chwycił wiatr z przeciwnej strony. Wkrótce jednak do uszu mych doszedł odgłos fal jak gdyby załamujących się na rafach lub skałach. Nie odważyłem się wszakże na wykonanie zwrotu, jako że odgłosy te dochodziły nie tylko od strony podwietrznej, lecz także od dziobu i od rufy. Cała załoga wypadła na pokład pod wrażeniem

wiszącego nad nami niebezpieczeństwa i wszystkie oczy starały się bezskutecznie przebić otaczający nas mglisty mrok. Wtem targnął nami wir powietrzny i żagle chwyciły wiatr z przeciwnej strony. Promień księżyca, przebiwszy się przez mgłę, oświetlił górującą nad statkiem i wznoszącą się tuż przy burcie ponad wierzchołki masztów olbrzymią górę lodową. Na szczęście pod naporem wirowego podmuchu odpadliśmy od wiatru, a po przebrasowaniu rei żagle chwyciły i zaczęły odpychać statek od niepożądanego sąsiedztwa, gdy nagle potężna część góry oderwała się i z hukiem tysiąca armat runęła w morze, miażdżąc je w pianistej kipieli. Liczne, duże odłamki lodu spadły na rufę, roztrzaskując i znosząc jedną z umieszczonych tam łodzi. Wytworzona fala zakołysała i wstrząsnęła okrętem, a każdy z nas uczuł, iż cudem uniknęliśmy grożącego nam niebezpieczeństwa.

W tejże chwili Cundy, który odbył kilka rejsów na statkach wielorybnych, przybiegł na rufę i wrzasnął: – Na miłość boską, panie, uciekajmy! Góra przewróci się zaraz i może unieść nas na sobie!

Zacząłem wydawać właśnie potrzebne rozkazy, gdy uczulem, że statek unosi się w górę. Stało się to, czegośmy się obawiali. Zanurzona część góry lodowej podniosła się, niosąc nas na swym grzbiecie. Niebawem wynurzyliśmy się zupełnie z wody i zawisliśmy wysoko leżąc na burcie, przechyleni pod kątem czterdziestu pięciu stopni, przy czym dziób znajdował się około trzydzieści stóp wyżej niż rufa. Stało się to błyskawicznie, lecz bez gwałtownych wstrząsów. Po kilku wahaniciach góra odzyskała równowagę pozostawiając nas w opisanej wyżej pozycji.

Całą załogę, podobnie jak Toma i mnie, ogarnęło przerażenie. Marynarze wspięli się na podwietrzną część rufy błagając, bym nakazał opuszczenie statku. Inni biegali, pytając co czynić, i cały statek przepełnił się lamentem i zawodzeniem nad nieszczęściem, które nas spotkało. Jeden Cundy zachował przytomność umysłu. Radził mi kazać natychmiast zaklinować pokrywy luków i przywiązać ludzi do olinowania i pachołków, aby zapobiec zmyciu ich za burtę, gdyby okręt ześliznął się z góry lodowej i zanurzył się głęboko w morze, co mogło w każdej chwili nastąpić.

Wydałem niezwłocznie potrzebne rozkazy, po czym nie pozostało nam nic innego, jak nie tracić nadziei i oczekiwać brzasku dnia. Godziny wlokły się wśród nużącego, posepnego zimna i mroku. Wreszcie nastał poranek, mgła rozeszła się i mogłem zorientować się w naszym położeniu. Góra lodowa piętrzyła się za rufą na wysokość ponad dwustu stóp. Leżeliśmy w szczelinie na małej, pochylonej półce lodowej, a przed zsunieniem się do morza, znajdującego się o czterdzieści jardów pod nami,

broniał nas gruby zwał lodu ciągnący się przed dziobem.

Wraz z Jagiem, Cundym i kilku najzręczniejszymi marynarzami zeszliśmy na lód i zaczęliśmy badać, czyby nie udało się w jakiś sposób usunąć tej bariery.

– Ach, kapitanie – rzekł Cundy – gdybyśmy tylko mieli piły do cięcia lodu i łopaty, moglibyśmy rychło rozciąć ten zwał i na powrót zwodować statek.

Nie mając tych narzędzi trzeba było spróbować innych środków. Przeszukując dokładnie barierę odkryliśmy w dolnej jej części kilka sporych otworów. Te postanowiliśmy zapełnić prochem i w ten sposób wysadzić w powietrze masę lodową.

Powierzyłem to dzieło Cundy'emu, sam zaś nakazałem załozie załadować do łodzi zapas wody i żywności, po czym opuścić je na wodę. Gdyby statek, zsunąwszy się do wody, przewrócił się stępką do góry, łodzie stanowiłyby jedyny nasz ratunek. Kazałem także wynieść z rufy kotwicę i wbiwszy ją w lód, umocować do niej linę przepuszczoną przez kluzę rufową. Drugim końcem liny owinałem buchtę dokoła grotmasztu, po czym obłożyłem go na kabestanie. Tym sposobem udałooby się nam, być może, regulować szybkość statku podczas zsuwania się jego po pochyłości do morza. Przygotowania te zajęły nam sporo czasu. Stwierdziłem z radością, że w miarę jak lód topił się w promieniach słońca, statek prostował się coraz bardziej. Zanim miny zostały założone i przygotowane do odpalenia, przechył statku nie był już większy niż dziesięć stopni. Również i góra lodowa zmieniła nieco swe położenie, wyrównując trochę przegłębienie statku na rufę.

Po pewnym czasie Cundy zameldował, że wszystko jest gotowe. Uważał on, iż nie byłoby roztropnie popuszczać statku na linie, gdyż albo lina, albo kabestan mogłyby się zerwać. Radził, aby cała załoga opuściła się do łodzi, które powinny odплыć na bezpieczną odległość, prócz ludzi wysadzających minę, ci zaś, po zapaleniu ładunku, powinni wziąć nogi za pas i odbiec w jak najodleglejszy koniec góry.

Stosowne zarządzenia zostały niebawem wydane. Kazałem Trenalowi i Merrickowi odwiosłować na łodziach na dostateczną odległość, sam zaś pozostałem na górze lodowej wraz z Jagiem i Cundyni, aby odpalić minę. Tom usiłował przekonać mnie, że on powinien zająć moje miejsce, ale nie chciałem o tym słyszeć. Kwadrans po trzeciej zapaliliśmy lont obliczony na dziesięćminutowe paleme się, po czym w trójkę rzuciliśmy się pędem do ucieczki w bezpieczne miejsce, na ile pozwalała nam rozmiękła i zdradliwa powierzchnia góry. Wreszcie, zadyszani, dopadliśmy solidnej

bryły lodu, za którą ukryliśmy się uważając, że znajdujemy się poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Tam czekaliśmy na wybuch. Po kilku minutach masa lodowa u dziobu statku wystrzeliła w górę w olbrzymich kłębach dymu, porywając z sobą bloki i bryły lodu. Rozległ się głuchy, ponury grzmot i statek zaczął poruszać się, z początku wolno, potem zaś coraz szybciej, a po chwili znikł zupełnie w pianie i bryzgach wpadając do morza. Widzieliśmy tylko maszty, kołyszące się gwałtownie w obie strony, potem zaś kadłub wychynął z fal, ociekając strumieniami wody ze szpigatów i furt burzowych, które pozostawiono w tym celu otwarte.

Nie było zbyt wiele czasu na to, by patrzeć, co dzieje się ze statkiem i łodziami, gdyż cała dolna część góry odłamała się i blok, na którym staliśmy, zaczął się toczyć, zrzucając nas w morze. Gdy wynurzyłem się na powierzchnię, wdrapałem się na bryłę lodu i pomogłem uczynić to samo Jagowi. Nie widać było jednak Cundy'ego i zaczęliśmy się już obawiać, czy nie został uwięziony pod lodem, gdy usłyszeliśmy jego głos w odległości dwudziestu jardów. Wdrapawszy się na leżący pomiędzy nami lód ujrzeliśmy, jak czepiał się krawędzi płaskiej bryły lodu, na którą wciągnęliśmy go wraz z Czarnym Jackiem. Bloki lodowe, pływające między nami i łodziami, zasłaniały nam widok i chociaż widzieliśmy szczyty masztów statku, nie mieliśmy pojęcia jak się nań przedostać.

– Nie możemy trwać w bezruchu i zmarznąć – rzekł Cundy. – Niech pan posuwa się za mną wedle możliwości; ale najpierw musimy zrobić coś w rodzaju liny, aby związać się na wypadek, gdyby któryś z nas ześliznął się w szczelinę między lodami.

Przy użyciu długiej szarfy, którą miałem dokoła pasa, oraz trzech naszych szali związaliśmy więź długą na dwadzieścia stóp. Cundy postępował na przedzie, a my za nim, kierując się w stronę statku, skacząc, ślizgając się i wdrapując z lodu na lód. Po wielu potłuczeniach i niejednej lodowej kąpieli dotarliśmy wreszcie na dużą, płaską bryłę lodu, poza której krawędź nie mogliśmy się już posuwać.

Stąd zobaczyliśmy, że niektóre łodzie dobiły już do burty statku, dwie zaś jeszcze poszukiwały nas wśród lodu. Na nieszczęście przez jakiś czas nikt ani na statku, ani na łodziach, nie dostrzegł nas, mimo że krzyczeliśmy, machali i wykonywali najdziwniejsze ruchy, zarówno dla zwrócenia uwagi, jak i dla utrzymania krążenia krwi. Wreszcie jedna z łodzi zwróciła się w naszym kierunku. Odwróciwszy się do obu mych towarzyszy, którzy pozostali nieco z tyłu, by obwieścić im radosną nowinę, zobaczyłem nagle o piętnaście kroków za nimi olbrzymiego białego niedźwiedzia, kroczącego po lodzie wprost na nas.

– Uwaga, niedźwiedź za wami! – wrzasnąłem. Czarny Jack i Krwawy Bill zwrócili się natychmiast w stronę, którą wskazywałem.

– Fraszka – powiedział Cundy. – Niech pan odstepi w lewo, a ty, Jack, w prawo. Już ja go załatwię.

Miś widząc, że został zauważony, przyspieszył natychmiast kroku i nie potrzeba było ani Jagowi, ani mnie powtarzać dwa razy, byśmy posłuchali wskazówki Cundy'ego. Ten zaś zdarł z siebie kaftan i porzucił go na lodzie, a gdy niedźwiedź przystanął, by go obwąchać, Cundy skoczył za Jagiem, który niósł sznur zrobiony z szarfy i szali. Zwierz stracił pewną chwilę na obwąchiwaniu kaftana, po czym poszarpał go na strzępy i rzucił się w moim kierunku. Usłyszałem niebawem tuż za sobą ciężki jego oddech, postanowiłem przeto odwrócić się i spojrzeć, mu w oczy, ufając w bliskość łodzi, której załoga dobywała ostatków sił, spiesząc mi na ratunek.

Ku memu zdziwieniu miś zatrzymał się i podniósłszy się na zadnie łapy zaczął bić w powietrzu przednimi. Tuz za nim spostrzegłem Jaga i Cundy'ego, dających mi znaki, bym zachował spokój, nie wiadomo dlaczego. Niedźwiedź zaczął znów posuwać się ku mnie i już miałem spróbować przemknąć mimo niego, by połączyć się z towarzyszami, gdy ujrzałem, że zarzucili mu sznur na szyję i zaczynają zaciskać z całych sił pętlę. Zwierz, zaskoczony i na wpół zdławiony, przewrócił się na grzbiet, ale byłby się rychło uwolnił z uwięzi, gdyby z łodzi, która w tejże chwili nadpłynęła, nie wyskoczyli ludzie uzbrojeni w muszkiety i bosaki. Po kilku chwilach padł trupem.

Wkrótce zebraliśmy się znów wszyscy na statku. Niedźwiedź, który chciał zrobić sobie ze mnie ucztę, został poćwiartowany i powędrował do kotła. Skórę zasoliliśmy w beczce na pamiątkę tej przygody.

‘Stwierdziłem z zadowoleniem, że chociaż znaczna część zewnętrznego poszycia została zdarta, cieśla badając zęzę uznał, iż statek jest szczelny jak butelka. Natomiast ster wyskoczył ze swych uchwytów i mimo że wstawiliśmy go z powrotem, głowica okazała się tak zgięta, że trzeba było założyć talie na sektor sterowy i przepuścić ich ciągi do koła sterowego poprzez końce belek wysuniętych po obu burtach na rufie. Za pomocą tego urządzenia dało się dość dobrze sterować.

Z marsa można było teraz dostrzec długi, wolny szlak wiodący wśród lodu ku czystej wodzie w kierunku wschodnim. Weszliśmy nań i do zachodu słońca pozostawiliśmy lody za rufą.

Nazajutrz zauważyliśmy dziwne zjawisko. Mimo że wiał silny wiatr północno-zachodni, morze pozostawało zupełnie gładkie. W kierunku,

skąd wiał wiatr, widać było liczne góry lodowe, którym należało przypisać ten łagodzący morze efekt. Radzi byliśmy, żeśmy uniknęli niebezpieczeństwa zagrażającego nam poprzedniego dnia, nie omieszkałem także wyrazić stosownego uznania Czarnemu Jackowi i Krwawemu Billowi za odważne przyście mi z pomocą w przygodzie z niedźwiedziem.

Wkrótce po południu z oka na maszcie zameldowano dwa żagle przed dziobem, a do zachodu słońca widać było już i żagle główne. Sądząc z ożaglowania jeden z tych statków był dużym, potężnym okrętem i – jak można było sądzić z wąskich, górnych lików marsli – „francuzem”. Drugi statek, o ile dało się ocenić z tej odległości, miał wygląd angielskiego statku handlowego.

Nie pragnąłem zetrzeć się z bliska w nocy z obcymi okrętami, toteż widząc przy świetle księżyca, że jesteśmy od nich w odległości trzech mil, skróciłem żagle, oczekując świtu, aby powziąć plan akcji.

– Bob – powiedział Tom – dlaczego nie prześlisz się obok nich? Wieziesz przecież depesze. Skorośmy ich zauważyli, trzeba nam umykać, a nie ryzykować tuż przed końcem podróży.

– Masz słuszość, Tom. Coś mi jednak mówi, że mniejszy statek to z wszelką niemal pewnością Mohawk i że Sir Rupert, jego małżonka i Muriel znajdują się w mocy Francuzów.

– Pleciesz bzdury, Bob. Przecież Mohawk wyruszył w podróż kilka dni przed nami, a nas zatrzymała w dodatku ta przygoda z lodami.

– To prawda. Ale czyż Mohawk nie mógł także opóźnić się wskutek lodów?

– Nie sądzę. A zresztą cóż ci to da, jeśli zdobędziesz ten statek?

– Nie wiem, ale postaram się ocalić Muriel, jeśli to Mohawk.

– Dobrze. Wiesz przecież, Bob, że będę ci zawsze pomagał w tych przedsięwzięciach. Ale przecież należy się także coś ludziom, którzy stali tak dzielnie u naszego boku podczas całej podróży.

– Zgoda, Mam jednak następujący plan: Jeśli „francuz” zdobył Mohawk, to znaczy, że żegluje on lepiej niż Mohawk. My zaś wiemy, a przynajmniej tak nam się wydaje, że żeglujemy szybciej niż ten „francuz”, sądząc po tym, jak zbliżyliśmy się do niego od chwili, gdyśmy go dostrzegli. Mój plan polega na tym, aby odciągnąć „francuza” ku podwietrznej, z dala od Mohawka, a gdy będziemy już w dostatecznej od niego odległości, odbić go, zanim „francuz” za nami nadaży. Potem zajmiemy „francuza” tak długo, póki Mohawk nie oddali się na bezpieczną odległość.

- To by było dobre, jeśliby się udało, ale nie będzie to łatwe.
- Nie szkodzi, spróbujemy.

O świcie postawiłem znów wszystkie żagle i ruszyłem za tajemniczymi statkami, które podniosły flagi angielskie. Uczyniłem to samo i trzymałem nadal kurs, jak gdyby nie żywiąc żadnych co do nich podejrzeń.

Większy okręt, będący dużą, ponad czterdziestodziałową fregatą, skrócił żagle do marsli i zajął pozycję na nawietrznym trawersie mniejszego. Gdy podeszliśmy bliżej, dało się na rufie tego ostatniego wyraźnie odczytać napis: Mohawk, Liverpool. W pewnej chwili do relingu rufówki tego statku podskoczył jakiś człowiek, wołając: – Uważajcie, na miłość boską, jesteśmy francuskim przyzem! – W tejże chwili zawrzała tam bójka i człowiek ten został natychmiast porwany na dół. Nie mieliśmy czasu zajmować się jego osobą, gdyż natychmiast przełożyłem ster na wiatr i wyostrzając błyskawicznie do wiatru za rufą fregaty poczęstowałem ją nakrywającą salwą, zanim jej dowódca zdążył zorientować się co do mych zamiarów. Następnie odpadłem na przeciwny hals i oddaliłem się pod wszystkimi żaglami w kierunku południowo-zachodnim.

Na francuskim statku zapanował popłoch po tym nieoczekiwanym pozdrowieniu, ale po krótkiej chwili fregata zrobiła zwrot w ślad za mną. Dzieliła nas już jednak spora przestrzeń. Zauważyłem, że na pokładzie Mohawka załoga przyzowa nie bardzo dawała sobie radę z manewrem. Chociaż przebrasowano tylne reje, jak gdyby w zamiarze powtórzenia manewru fregaty, żagle dziobowe zostały częściowo opuszczone, a szoty i fały fokmarsła poluzowane.

– Patrz no, Tom, chłopcze drogi – powiedziałem – oto atut, na który nie liczyłem. Francuzi byli na tyle nieostrożni, że pozostawili na przyzie angielską załogę, co nie ulega dla mnie wątpliwości. Wydaje się, że Anglicy są dość silni i mogą sprawić załodze przyzowej wiele kłopotu.

Mimo że spodziewałem się żeglować szybciej od fregaty, stwierdziłem, iż czy to dlatego, że przygoda Black Prince'a z górą lodową osłabiła jego właściwości żeglarskie, czy też z innych powodów, nasz prześladowca był szybszy. Z trudem udało się nam utrzymać od niego w przyzwoitej odległości. Nie odpowiadało to moim planom, miałem bowiem nadzieję, że uda mi się ująć poza zasięg jego ognia działowego, a potem zwabić go w pościg bez własnego ryzyka.

Spostrzegłem się rychło, że idąc z wiatrem mieliśmy największą szansę oddalić się szybko od Mohawka, co było mym głównym zamiarem. Black Prince żeglował najsmiglej fordewindem, skierowałem go przeto ku

południowemu wschodowi. Fregata deptała nam po piętach niby chart za zającem i wkrótce otwarła do nas ogień z dział dziobowych, na co odpowiedzieliśmy z armat ustawionych naprędce w ambrazurach rufowych.

Chociaż „francuz”, chcąc podtrzymywać do nas ogień, musiał odchyłać się od kursu, wynagradzał sobie te straty wskutek naszego złego sterowania, spowodowanego doznanymi w lodach uszkodzeniami.

– Masz rację, Tom – rzekłem – powinienem był usłuchać twojej rady. Zapędzono nas teraz w ślepy zaułek i trzeba będzie użyć wszystkich umiejętności, aby się zeń wydostać. Musimy ukryć złoto, aby go nie znaleźli na wypadek, jeśli nas wezmą do niewoli. Hej, Trenal, zostań na pokładzie, a my z panem Merrickiem zejdziemy pod pokład i ukryjemy złoto i depesze.

Przechodząc z części rufowej do schowka, w którym przechowywaliśmy złoto, minęliśmy Jaga i Cundy’ego, obnażonych do pasa i obsługujących działa, w obwiązanych dokoła głów chustach. – Dziesięć gwinei za odstrzelenie stengi! – krzyknąłem.

– Nie trzeba nam za to płacić, kapitanie, nie uśmiecha nam się francuski kryminal – odrzekł Cundy.

Przy pomocy cieśli i kilku marynarzy umieściliśmy złoto, przedstawiające wartość siedemnastu tysięcy funtów, w niewielkiej przestrzeni pod zwojami lin, a przykrywszy je drewnem opałowym i podściółką, rzuciliśmy jeszcze na wierzch dodatkowy zwój grubej liny.

– Nie znajdą go tu w pośpiechu. A teraz ukryjemy dziennik okrętowy i depesze pod dolną boazerią burtową. Nie ma w nich żadnych tajnych wiadomości, a nawet jeśli nas wezmą, może uda nam się odbić okręt z powrotem.

W tej chwili rozległ się radosny krzyk ludzi, a gdy wyskoczyliśmy na pokład, ujrzeliśmy, że nieprzyjacielowi odstrzelono szprytreję, która spadła wraz z przywiązaniem do niej żaglem przed dziób, hamując ruch statku, dzięki czemu zaczęliśmy się wyraźnie od niego oddalać. Miałem właśnie natychmiast wykręcić pod wiatr, gdy pocisk działowy zerwał lewoburtowy wysięgnik, przez który przepuszczona była talia sterowa, co pozbawiło nas na pewien czas zdolności manewrowania. Trzeba było przełożyć ster lewo na burtę celem naprawienia go, wskutek czego okręt skierował się na zachodnio-południowy zachód, wystawiając się na burtowy ogień fregaty. Nie przyczynił nam on jednak zbyt wiele szkody i zdołaliśmy zamocować nowy wysięgnik i uchwycić koniec talii sterowej przy pomocy ludzi pracujących za burtą w pętłach bezpiecznego węzła.

Gdyśmy byli tym zajęci, „francuz” zdołał usunąć wrak szprytrei i podniósłszy na jej miejscu zapasową marsareję znów przybliżał się do nas. Mimo że nie miałem nadziei uniknięcia nieprzyjacielskiej niewoli, uradowałem się widząc, że Mohawk został najwidoczniej opanowany na powrót przez własną załogę i żeglował teraz ku wschodowi. Nie mogłem jeno pojąć, dlaczego fregata nie rezygnuje z pościgu za nami i nie zapewnia sobie posiadania już zdobytego przyzu.

Widząc, że fregata zbliża się do nas, mimo zmiany kursów i stosowanych przez nas manewrów, postanowiłem – znajdując się wprost przed jej dziobem – przejść nagle z lewego halsu na prawy i poczęstować ją podczas zwrotu salwą burtową. Liczyłem, że załoga nasza uwinie się prędzej niż nieprzyjacielska, co pozwoli nam oddalić się, zanim fregata zdąży odpowiedzieć ogniem.

Wydałem stosowne rozkazy i przekładając ster skrajnie na lewą burtę wykonałem szybki zwrot, posyłając nieprzyjacielowi z najbliższej odległości morderczą salwę. Jednak był on równie szybki jak i my i odpowiedział natychmiast, odstrzeliwując nam grot – i bezanstengę oraz stengę bukszprytu. Fregacie dostało się jeszcze gorzej, gdyż poprzez dym dojrzeliliśmy, jak jej fokmaszt zachwiał się i runął odstrzelony na wysokości piętnastu stóp nad pokładem.

Obie strony rzuciły się teraz do usuwania uszkodzeń, przy czym udało mi się ustawić tak w pobliżu rufy nieprzyjaciela, że tylko nieliczne jego działa mogły do nas strzelać. Wkrótce jednak większe jego pociski zrobiły swoje i po chwili odstrzelono nam bukszpryt i fokstengę, a potem i stermaszt. W dodatku przybiegł cieśla meldując, że dostaliśmy kilka przestrzelin na linii wodnej i w ładowni jest już wody na trzy stopy wysoko.

– Zdaje się, Tom, że trzeba będzie dać za wygraną. Postaram się jednak wytrzymać chociaż przez dziesięć minut’. Hej, chłopcy, odpędzimy ich teraz od dział!

Dzielni marynarze odpowiedzieli okrzykiem, choć ogień nieprzyjaciela poczynił wśród nich znaczne spustoszenia. Otwarli teraz tak gwałtowny i szybki ogień, że działa podskakiwały na lawetach, a niektóre zerwały się nawet z podstaw. Po następnych pięciu minutach zwałił się grotmaszt nieprzyjaciela, po czym na szczęście zdryfowaliśmy na tyle, że za pomocą wiosel obróciliśmy okręt w ten sposób, iż mogliśmy strzelać do niego całą burtą, podczas gdy on mógł tylko odpowiadać z dział rufowych.. Niemniej jednak stwierdziwszy, że wody przybywa w kadłubie błyskawicznie wobec zniszczenia pomp, zdecydowałem, iż trzeba się będzie poddać

w ciągu pięciu minut, by ocalić życie załogi.

– Trzymaj się, Bob – powiedział Tom Merrick – i oni muszą mieć dość. Patrz! Ogień na pokładzie nieprzyjaciela, a to gorsze niż woda.

Istotnie, widać było kłęby dymu dobywające się sprzed grotmasztu fregaty. Wiedząc, że załoga nieprzyjacielska będzie teraz zajęta, kazałem zamocować nad głównym lukiem talie i posłałem część kanonierów do wylewania wody, podczas gdy cieśla ze swą drużyną naprawiał pompy.

Tymczasem oba okręty zbliżyły się do siebie, o czym przypomniał mi dotkliwie ostry ogień muszkietowy podjęty przez nieprzyjaciela. Dostałem kulą w głowę i padłem bez zmysłów na pokład.

Gdy odzyskałem przytomność, stwierdziłem, że leżę w koi znajdującej się pod pokładem na rufie, noszącym ślady przebytej ostatnio walki. Tom Merrick i McAllister, stojący obok, przypatrywali mi się uważnie. Czułem, jakby głowę moją obejmowała rozżarzona żelazna obręcz, a dotknąwszy ręką głowy poznałem, iż jest całkowicie obandażowana.

– Dzięki Bogu, żeś żyw, Bob! – odezwał się Tom. – Myślałem, że już po tobie, gdyś upadł.

– No, panie Merrick. To był dobry strzał, nie ma co mówić. Ale mimo to kapitan ma głowę całą. Kula uderzyła ukośnie i nie ugrzęzła w czaszce. Niech pan dziękuje Bogu, kapitanie, że dał panu taki twardy łeb, inaczej nie leżałby pan tutaj.

Zacząłem sobie wkrótce przypominać przebieg wypadków i spytałem: – Czy statek został zdobyty? Co się w ogóle stało?

– Nie – odrzekł Tom. – Szczęście nie opuściło ciebie i tym razem. Gdy tylko upadłeś, posłyszeliśmy w kierunku północno-wschodnim odgłos dział i niebawem zobaczyliśmy dwie angielskie fregaty płynące ku nam wraz z Mohawkim. „Francuz” musiał je także dostrzec, zawołał bowiem, że się poddaje i spuścił banderę. Nie mieliśmy nawet łodzi, aby posłać na okręt nieprzyjacielski załogę przyciągającą, ale w każdym razie zaoszczędziliśmy pieniądze, które musielibyśmy zapłacić naszym fregatom za odbicie nas z niewoli. Przeciwnie, sami staliśmy się udziałowcami w wartości przyzu, którym okazała się fregata Venus o czterdziestu działach.

– A jak tam z naszym przeciekami i uszkodzonym omasztowaniem?

– Nie kłopotcz się teraz o nic, przestrelmy zatkaliśmy i okręt jest zupełnie suchy. Holują nas angielskie fregaty, przybyłe tu w poszukiwaniu Venus, której udało się przedtem zdobyć wiele angielskich statków powracających do kraju. Płyniemy za Calliope, zaś Venus za fregatą Inconstant. Przygotowujemy tymczasem zapasowe maszty. A teraz trzeba

ci dalej spać.

– Jeszcze słówko, Tom. Co z Penmore'ami, z Muriel, czy jest bezpieczna?

– Czy bezpieczna? Ależ tak, oczywiście! Porucznik z Calliope, który przewodzi ekipie awaryjnej pomagającej nam w naprawach, powiedział, że zarówno Sir Rupert, jak i cała jego rodzina znajdują się w całkowitym bezpieczeństwie.

– Muszę zobaczyć Muriel.

– Dobrze, postaramy się to urządzić, ale wpierw trzeba ci wypocząć. Hej, McAllister, kapitan nie nadaje się chyba jeszcze do zalotów, co?

– Och, nie. Przestraszyłby tylko zacną damę, gdyby się jej teraz pokazał. Niech będzie cierpliwy, a za dwa, trzy dni będzie już mógł przyjmować wizyty niewiast.

– Bzdury pleciesz, McAllister. Dwa, trzy dni! – wybuchnąłem.

– Kapitan jest w gorącej wodzie kąpany. Ale proszę bez psikusów. Trzeba zachowywać się spokojnie, bo dostanie pan gorączki czy innych komplikacji, które mogą być bardzo niebezpieczne.

Tom zaczął mnie także uspokajać i po chwili zapadłem znów w sen.

Następne dni upływały spokojnie. Zarówno na Black Prince, jak i na Venus postawiono zapasowe części omasztowania i wszystkie pięć okrętów płynęły w zespole do kraju. Co dzień pytano sygnałem z Mohawka o moje zdrowie, jako że było powszechnie wiadome, że zostałem ciężko ranny. Dziwne jednak, że pytając, nie wymieniano nigdy mego nazwiska. Mimo zapasowych masztów mogliśmy wraz z Venus doskonale nadażyć za Inconstantem, Calliope i Mohawkiem.

Kazałem, aby Black Prince trzymał się jak najbliżej tego ostatniego statku, na którego pokładzie często widywałem niewiasty, nie mając jednak nigdy pewności, czy Muriel była wśród nich. Wyzdrowiałem bardzo szybko, ponieważ kula przeszła tylko pod skórą nie uszkadzając kości mózgowych, jak to mówił McAllister. Wkrótce też mogłem objąć z powrotem czynnie dowództwo mego okrętu. Pragnąłem wielce udać się na Mohawka, by poprosić Sir Ruperta o rękę jego córki. Sądziłem, że będzie skłonny życzliwie mnie wysłuchać po tym, jak uwolniłem go wraz z rodziną od francuskiej niewoli, a także uchroniłem od poważnej straty materialnej, gdyż, jak powiedziano mi w Charlestonie, cały ładunek statku stanowił jego własność. Gdy pewnego ranka wyszedłem na pokład, spostrzegłem, że panuje zupełna cisza. Mohawk podniósł sygnał, iż Sir Rupert pragnie przybyć na statek, by osobiście wyrazić kapitanowi podziękowanie.

Uporządkowałem okręt, jak tylko się dało, starając się ukryć szkody zadane nam przez Venus. Z trudem opanowywałem podniecenie na widok opuszczanej z Mohawka łodzi i śledziłem pilnie, czy nie wsiadają do niej jakie niewiasty. Niestety, w miarę jak łódź przybliżała się, widać było coraz wyraźniej tylko wysoką postać Sir Ruperta. Stanęliśmy wraz z Merrickiem przy trapie, by powitać naszego gościa.

Przy wstąpieniu na pokład szanłowy Sir Rupert skłonił się głęboko, a my odpowiedzieliśmy w ten sam sposób. Po czym rzekł:

– Przybyłem, panie, by podziękować wam... – tu urwał, jakby ugodzony kulą i ozwał się: – Cóż do diaska? Chcę rozmawiać z kapitanem tego statku.

– Ja nim jestem – odparłem. – Czym mogę wam służyć, panie?

– Pan?! Nie wierzę! Pan, nędzniku, miałeś czelność... Przerwałem mu prosząc, by zechciał zejść na rozmowę do kabiny.

Nie odrzekł słowa i odwróciwszy się na pięcie zszedł na powrót do łodzi, nakazując wracać na Mohawka.

– Nie zazdroszczę ci teścia, Bob – zauważył Tom. – Ale może ja przejadę się do niego i spróbuję skłonić go do wysłuchania twych racji?

– Ach, Tom, to na nic. Ale kuter jest już w porządku, więc jeśli chcesz popробować szczęścia w straconej sprawie, to jedź.

– Nie upadaj, chłopcze, na duchu. Pojadę do tego starego sztywnego baroneta i może mnie wysłucha. Chciał przecież wyrazić podziękowanie nieznanemu człowiekowi i sam mi mówiłeś, że póki nie odkrył twych afektów do panny Penmore, traktował cię grzecznie. Może da się przekonać.

– Dobrze, Tom, jedź. Ale nie mam nadziei, aby ci się z nim powiodło.

– Głupstwa mówisz. Tak czy inaczej pojedę.

Gdy przygotowano kuter, Tom zwrócił się do mnie: – Co z tobą? Zapomniałeś najważniejszej rzeczy.

– Cóż takiego?

– Napisać list do panny Penmore. Toby pojedzie ze mną i uda mu się na pewno doręczyć jej przez kogoś ten list, jak i przywieźć nań odpowiedź. Jeżeli oboje bardzo tego pragniecie, to jestem pewien, że pokonacie niechęć Sir Ruperta do tego małżeństwa.

– Ach, zacy przyjacielu, zaraz napiszę. – Skreśliłem pospiesznie kilka słów do Muriel, zapewniając ją o mym nie gasnącym i niewypowiedzianym oddaniu. Błagałem, by mi odpowiedziała, czy darzy mnie nadal uczuciem. Tom odjechał na Mohawka, a zaledwie odbił od

burty, Trenal zameldował, że od Calliope zbliża się łódź.

Gdy podeszła do burty, spostrzegłem w niej dowódcę Calliope. Po przywitaniu wyraził radość, że widzi mnie na pokładzie, obawiał się bowiem, iż odniosłem poważną ranę.

– Na Boga! – wykrzyknął – to cud, żeście wszyscy nie polegli, zadając się z o tyle silniejszym od was okrętem co Venus. Ale czy nie ma tu mego stryja?

– Stryja? – zdziwiłem się. – Kogo masz pan na myśli?

– No przecież Sir Ruperta Penmore’a. Przybył dziś do pana z wizytą.

– Tak – odparłem – ale gdy tylko mnie poznał, opuścił okręt i powrócił na Mohawka.

– Gdy pana poznał? Czyżbyś go znał?

– Owszem, a przynajmniej znałem go. Pozwól, panie, do kabiny, to ci wszystko wytłumaczę.

Komandor Harold Penmore, tak bowiem nazywał się mój gość, zgodził się natychmiast. Opowiedziałem mu pokrótce historię mojej znajomości z jego stryjem oraz afektu do jego kuzynki.

– A więc to pan jesteś tym Robertem Hawkinsem, o którym tyle nawypisywał mi stryj, no a także Muriel, jeśli już o tym mowa. Wszakże stryj określał pana jako zwykłego awanturnika. Uważałem, że kuzynka moja, którą poznałem dobrze, gdym był pewnego razu w Charlestonie, nie zasługuje na to, aby zadawać się z jakimś bezecnym włóczykijem. Opowiedz mi pan swą historię, a jeśli się przekonam, że stryj jest w błędzie, oto bratnia marynarska ręka, że uczynię wszystko, by ci pomóc. Nie mogę uwierzyć, aby człowiek walczący i władający swym okrętem tak, jak to pan uczyniłeś, nie był człowiekiem honoru.

Gdy skończyłem, Penmore powiedział: – Nawet bez twych zasług rad będę uczynić wszystko dla ciebie, jako dla syna twego ojca. Wiedz bowiem pan, że ojciec twój, służąc w marynarce wojennej, ocalił życie memu ojcu. Czyż nie opowiadał ci nigdy o swym przyjacielu, Penmorze?

– Nie, nie znałem tego nazwiska, póki nie spotkałem w Charlestonie pańskiego stryja.

– Ciekawe, że nigdy nie mówił z panem o naszych ojcach, wiedział bowiem doskonale, jak bardzo się ze sobą przyjaźnili.

– Możliwe, że o tym nie pomyślał, Hawkinsów jest bardzo wielu. Musisz pan przy tym pamiętać, że chociaż dowodziłem statkiem Elizabeth, gdy przybyłem do jego domu, to jednak zanim zgłosiłem się ochotniczo na to dowództwo, byłem tylko zwykłym oficerem pozostającym bez zatrudnienia na określonym statku.

– To nie ma znaczenia, znać po was dobre urodzenie. I jeśli nawet stryj miał wówczas pewien powód, aby sprzeciwiać się twym konkutom, to fakt, że uwolniłeś go teraz od francuskiego więzienia powinien na niego wpłynąć. Jeśli więc pan pozwolisz, udam się zaraz na pokład Mohawka i postaram się trafić stryjowi do przekonania. Przecież mając pieniądze z przyzów, zdobytych w tej podróży, musisz być zamożnym człowiekiem i gdybyś służył w marynarce wojennej, to za zwycięsko stoczone boje miałbyś już prawo do tytułu. Trzy fregaty w ciągu czterech miesięcy! Człowieku, każdy dowódca okrętu, czynnie służący w marynarce wojennej, dałby sobie oczy wykłuć, byleby mieć takie szczęście jak ty. A więc, mogę jechać?

– Oczywiście i przyjm pan stokrotne dzięki. Ale na Mohawka pojechał teraz mój supercargo i przyjaciel, aby spróbować pomówić z pańskim stryjem.

– Tym lepiej. Obaj będziemy na niego nalegali i w końcu musi ustąpić. Zatem do zobaczenia i pamiętaj pan, że mam zamiar tańcować na twym weselu.

Komandor Penmore odbił od burty, by udać się na Mohawka, ale że nagle zerwał się wiatr, musiał zawrócić na swój okręt. Powrócił także Tom i skoro tylko podniesiono łódź i postawiono żagle, zdał mi sprawę z wyniku swej misji.

– Po pierwsze, drogi Bob, widziałem pannę Penmore i nie dziwię się, że zapałałeś do niej tak gorącym afektem. Gdyby nie była już z tobą zmówiona, to kto wie, czy sam nie zacząłbym do niej wzdychać. Ale jeśli chodzi o jej papę, to sądząc z min jakie przybiera i ze sposobu, w jaki spogląda na zwykłych śmiertelników, mógłby chyba być tureckim baszą lub samym wielkim wezyrem. Gdy zjawiłem się na statku, łaskawca ten, przebywający w kabinie, posłał mi wiadomość, że nie pragnie mnie widzieć. Wiedząc, że wymienienie twego nazwiska tylko umocniłoby go w tym zamiarze, kazałem mu oznajmić, iż przybywam w imieniu właścicieli Black Prince'a i pragnę pomówić z nim w sprawach handlowych. Nadeszła odpowiedź, że nie ma ze mną żadnych wspólnych interesów. Zdażyłem tymczasem upewnić się u kapitana, że statek został zacarterowany przez Sir Ruperta, posłałem mu więc ponownie stanowcze żądanie, aby przyjął mnie w nader ważnej sprawie. Po pewnym czasie wyszedł i ozwał się:

„A więc, mój panie, cóż to za ważna sprawa? Musi chyba być istotnie nader ważna, skoro nie wahasz się przerywać mego spoczynku w sposób tak niewłaściwy i nieokrzesany”.

Oświadczyłem, iż będę zobowiązany za podanie mi wartości statku i ładunku, abyśmy mogli ustalić wysokość naszych żądań za pomoc w odbiciu statku z rąk nieprzyjaciela.

„Pomoc w odbiciu, mówisz pan? Możesz powiedzieć temu parweniuszowi, który dowodzi pańskim statkiem, że nie uznaję żadnych żądań. Załoga sama odbiła swój statek i żałuję, że fregaty uratowały pana i jego przyjaciela od francuskiego więzienia, na które słusznie sobie zasłużyliście”.

„Dziękuję panu – rzekłem. – Nie przychodzę tu w imieniu kapitana Hawkinsa, lecz jako przedstawiciel właścicieli statku i widzą się zmuszony żądać udzielenia mi informacji, o które proszę”. – Odmówił z miejsca, ale ja, widząc wychodzącą na pokład jego córkę, ozwałem się: „A teraz proszę w imieniu kapitana Hawkinsa, by wolno mi było złożyć uszanowanie pańskiej córce”. – Zauważywszy zaś, że panna Penmore przysłuchuje się naszej rozmowie, dodałem: „Możesz pan bowiem być pewien, iż kapitan Hawkins bynajmniej nie myśli uważać twojej odmowy za ostateczną”.

Na to zwrócił się do córki i powiedział: „Muriel, nie przystoi, byś słuchała, co mówi ten osobnik. Zejdź, proszę, natychmiast do swej kabiny”.

„Już idę, ojczy. Ale – rzekła, zwracając się do mnie – powiedz mi pan, proszę, jak czuje się kapitan Hawkins? Czy rana jego jest groźna?”

Odparłem, że przychodzisz szybko do zdrowia, gdy wtem Sir Rupert, nie posiadając się z wściekłości, pochwycił ją za ramię i odprowadził do kabiny.

Niebawem kapitan, wydający się uczciwym człowiekiem, oświadczył mi w imieniu Sir Ruperta, że ów nie życzy sobie więcej ze mną rozmawiać oraz że nie uznaje w żadnym wypadku jakichkolwiek roszczeń w sprawie pomocy w odbiciu Mohawka. Kapitan dodał, że sam był poprzednio właścicielem tego statku, oświadczając, iż „gdybyście nie zaatakowali Venus, to oczywiście nigdy nie udałoby się nam, pod ogniem jej dział, uniknąć niewoli”.

– Całe szczęście, że Venus uszczupliła do tego stopnia swą załogę, wysyłając ją ze zdobytymi przedtem przyzami, iż na Mohawka mogła posłać zaledwie paru ludzi, pozwalając załodze angielskiej prowadzić statek. Tylko dzięki temu, gdy rozpoczęliśmy walkę z Venus, nie mieli zbyt trudności w przejęciu na powrót władzy nad statkiem.

– Podczas gdy rozmawiałem z kapitanem, podszedł Toby, mówiąc, że zrywa się wiatr. Po zadowolonej minie, jaka widniała na jego czarnym obliczu, poznałem, że otrzymał odpowiedź na twój list. Oddał mi ją po

wejściu do łodzi, oto ona.

– Dzięki ci, zacyci druhu. Zdaje mi się jednak, że wstawiennictwo twoje wiele nie działało. A teraz muszę przeczytać list.

W krótkich słowach, które Muriel zdołała skreślić, zapewniała mnie o niezmiennym afekcie. Nie wiedziała, że jestem na pokładzie Black Prince'a, póki nie dostała mego listu. Pisała, że udało się jej zjednać matkę dla sprawy naszego małżeństwa, natomiast ojciec wyrażał zawsze najwyższe niezadowolenie, gdy wymieniano moje nazwisko i zapewnił, iż nigdy nie dopuści, aby zaprzętało sobie głowę moją osobą, „Nie potrzebuję dodawać – pisała – że nie mogę mu być posłuszna, ty bowiem, najdroższy Robercie, żyjesz zawsze w moich myślach i modlitwach”.

Gdy zwierzyłem się Tomowi Merrickowi z tego, co powiedział mi komandor Penmore, jak i z tego, że lady Penmore odnosi się przychylnie do mego małżeństwa, poklepał mnie po plecach, mówiąc: – Odwagi, Bob. Masz sprzymierzeńców na wysokich szczeblach i ręczę, że będę na twym weselu w przeciągu miesiąca po przybyciu do Anglii.

W rzeczy samej nie traciłem nadziei zdobycia Sir Ruperta dla mojej sprawy, ale nie mogłem oczywiście układać żadnego planu działania przed przybyciem do kraju. Przy sprzyjających wiatrach ujrzeliśmy niebawem przylądek Cléire, a wkrótce potem rozstałem się z pozostałymi okrętami. Wziąłem kurs przez Kanał Św. Jerzego i bez dalszych godnych uwagi przygód przybyłem do Liverpoolu.

Pojawienie się nasze u ujścia Mersey i żegluga w górę tej rzeki pod zapasowymi masztami, na statku noszącym rzucające się w oczy ślady walki z Venus, wywołały ogromne poruszenie. Skoro tylko rzuciliśmy kotwicę na naszym starym miejscu, naprzeciwko kantoru firmy Merrick i Floyd, otoczyła nas cała flotylla łodzi, na których roiło się od ludzi pragnących poznać nasze przygody. Zaciekawienie wzmogło się jeszcze, gdy się rozeszło, że w podróży odnieśliśmy wiele sukcesów oraz że wieziemy depesze donoszące o zwycięstwie brytyjskiej eskadry. Okrzykom i wiwatom nie było końca.

Trudno opisać przywitanie Toma z ojcem, gdy panowie Merrick i Floyd przybyli po krótkim czasie na statek. Obaj nie szczędzili mi też pochwał za oddane im usługi. Oświadczyłem, że muszę wyruszyć natychmiast do Londynu, by doręczyć depesze w Admiralicji. Zaproponowałem tedy, że spędzę noc w mojej dawnej kwaterze w gospodzie Woolpack Inn, po czym jutro rano udam się w podróż. Pan Merrick nie chciał jednak o tym słyszeć i nalegał, bym zatrzymał się w jego domu.

– Zbójnicki rumak jest gotów – powiedział. – Porozumiem się też

z burmistrzem, byś miał pan stosowną asystę. Gdy Liverpool wysyła tak ważne depesze do Londynu, wypada, by odbyło się to z właściwą wystawą.

Z burmistrzem, który oczekiwał mnie na nabrzeżu, musiałem udać się do ratusza, gdzie trzeba było opowiedzieć obywatelom miasta i kupcom najważniejsze zdarzenia naszej podróży. Największym uznaniem cieszył się tu George Dormer, za dzielne porwanie swej narzeczonej. Widać, rozeszła się już wieść o moich konkurach wobec Muriel, gdyż w pewnej chwili na sali rozległ się okrzyk: – Ech, młodzieńcze, zrób tak jak twój przyjaciel. – Uwagę przyjęto ogólnym śmiechem i oklaskami.

Wieczorem u Merricków trzeba było znów staczać wszystkie przeżyte boje. Matka i siostry Toma Merricka płakały i śmiały się na przemian, a w końcu oświadczyły, że Tom nigdy już nie będzie się narażał na hazardy morza.

O dziesiątej zacząłem się żegnać, jako że trzeba było wyruszyć nazajutrz wczesnym rankiem. – Pójdę z Bobem – rzekł Tom – bo też należy mi się odpoczynek.

Matka nalegała, by pozostał w domu, ale Tom orzekł, że nie opuści mnie, póki wreszcie nie poślubię panny Penmore.

Przyłączył się do nas służący Toma, Standen, uradowany, że pan jego znów jest w domu. Także i Toby'ego wsadziliśmy z powrotem na konia, ku wielkiemu jego niezadowoleniu. Oświadczył, że całkiem już zapomniał jeździć konno, od kiedy wyszedł w podróż na pokładzie Black Prince'a. Burmistrz dostarczył asystę złożoną z sześciu krzepkich i dobrze uzbrojonych jeźdźców, a przybywszy nas pożegnać powiedział, bym się nie krępował w wydatkach na stosowne przybranie ich w Londynie tak, bym prezentował się okazale przy doręczaniu depesz w Admiralicji. Chętnie zabrałbym z sobą Jaga i Cundy'ego, ale ci oświadczyli wręcz, że z takim statkiem jak koń nie mieli nigdy do czynienia, natomiast podrażają do Londynu na piechotę, aby być na moim weselu. Nie mogłem się na to zgodzić, poprosiłem więc pana Merricka, aby kazał wysłać ich dyliżansem do gospody Pod Żłotym Lwem, gdzie postanowiliśmy z Tomem stanąć.

Nasza podróż do Londynu przemieniła się w jeden tryumfalny pochód, jako że eskorta nie omieszkała wszędzie rozgłaszać, iż wieziemy radosne depesze. Ziemianie i pastorki, u których zatrzymywaliśmy się na noc, prześcigali się w okazywaniu nam gościnności. Gdy przejeżdżaliśmy przez miejsce, gdzie Trevor nabawił się takiego strachu na widok czarnego oblicza Toby'ego, zwróciłem się do Toma:

– Ciekaw jestem, gdzie też obraca się teraz Trevor?

– Chciałbym i ja to wiedzieć – odparł Tom. – Zachował się przyzwoicie, gdyż uścił zapłatę za Saint Pierre’a, ale od tego czasu ojciec nic o nim nie słyszał. Sądzę jednak, iż Sir John Dormer będzie mógł coś o nim powiedzieć.

Po przybyciu pod Złotego Lwa wysłaliśmy gońca do Sir Johna, zawiadamiając go o naszym przybyciu. Nie upłynęła godzina, gdy zjawił się George Dormer przynosząc wiadomość, iż Stryj jego powiadomił Admiralicję, że nazajutrz o dziewiątej stawimy się tam z depezbami.

Nietrudno sobie wyobrazić, ile mieliśmy sobie do opowiadania. George oświadczył, że jest najszczęśliwszym na świecie człowiekiem i co dzień przekonuje się, iż powinien dziękować swej szczęśliwej gwiazdzie za poślubienie Doni Juanity.

Na pytanie czy nie słyszał o Trevorze, George uśmiechnął się i odrzekł, że Trevor jest teraz w Londynie. Posłał mu właśnie wiadomość o naszym przybyciu i z wszelką pewnością Trevor zjawi się wkrótce, by opowiedzieć własne dzieje. Gdy rozmowa zesła na moje starania o rękę Muriel, George oznajmił, iż widział się z komandorem Penmore’em tego samego dnia, w którym przybył on z Plymouth, gdzie zakotwiczył jego okręt. Od Penmore’a dowiedział się o bliskim przybyciu do Londynu Sir Ruperta wraz z rodziną. Mimo że rozmawiał ze stryjem w mojej sprawie, Sir Rupert trwa nadal w swym uporze. – Ale to nic, Bob. Pomogłeś mi do małżeństwa, a ja postanowiłem, że doprowadzę do twego. Niełatwo będzie skłonić starego pana do rozsądku, ale jeśli to się nie uda, to są jeszcze sposoby, aby obejść się bez jego zgody.

Pogawędkę przerwało przybycie krawca, po którego posłaliśmy, by wyekwipować się należycie wraz z asystą na jutrzejszą wizytę w Admiralicji. Po odprawieniu go poszliśmy wreszcie na upragniony spoczynek. Żegnając się George powiedział, że przybędzie po nas ze stryjem nazajutrz o ósmej. Prosił, byśmy następnego dnia opuścili gospodę Pod Złotym Lwem i zamieszkali w domu, który wynajął na jednej z nowych ulic w pobliżu Haymarket.

Wstawszy nazajutrz wcześniej przybraliśmy się starannie oraz zbadaliśmy wygląd asysty dodanej nam przez burmistrza Liverpoolu. W nowej barwie ludzie prezentowali się doskonale. Depesze admirała Thompsona i mój dziennik okrętowy owinęliśmy w piękną sztukę jedwabiu, co uczyniwszy zasiedliśmy do śniadania. Kończyliśmy je właśnie, wydając ludziom rozkaz, by dosiadali koni i podali nam nasze, gdy z ulicy doszły nas głośnie okrzyki i wiwaty. Gospodarz, wysłany dla zbadania przyczyny tych hałasów, oznajmił, iż przed zajazdem zgromadził

się liczny tłum pragnący ujrzeć zamieszkującego tu kapitana, który sprawił tęgie lanie Francuzom.

– Ostatnim razem, Bob, okrzyczeli nas za opryszków z gościńca. Musisz wyjść i pokazać się im.

– Niech pan to uczyni – prosił gospodarz – Są teraz dobrze usposobieni, ale byle co może ich rozgniewać, a wtedy mogą zabrać się do kamieni.

Chętnie zrezygnowałbym z tego zaszczytu, ale hałas wzmógł się do tego stopnia, że dla uspokojenia tłumu pokazaliśmy się wraz z Tomem w oknie. Przywitano nas entuzjastycznymi okrzykami i wiwatowaniem na cześć Anglii i jej marynarki, a wyciem na pohybel Francuzom i Hiszpanom.

Gdy wrzawa dosięgła szczytu, ujrzałem karete Sir Johna, poprzedzaną przez czterech lokajów, czyniących dla niej drogę. Sir John cieszył się widać popularnością u tłumu, gdyż skoro go rozpoznano, nastąpiły nowe wrzaski i wiwaty.

Kareta podjechała z pewną trudnością pod drzwi go spody, pozwalając nam wsiąść. Wewnątrz znajdował się George Dormer w towarzystwie stryja.

– Witajcie, kapitanie Hawkins i panie Merrick – powiedział Sir John. – Słyszę, że walczyliście jak lwy i powracacie okryci rozgłosem i chwałą. Ten oto mój bratanek winien wam także wdzięczność za pomoc w zdobyciu miłej żony. Przyznam, że osobiście nie lubię, jak Anglicy żenią się z katoliczkami i cudzoziemkami, ale jego żona powiada, że nie jest teraz ani jedną, ani drugą. Zaś marynarski księżulo zrzucił sutannę i jest teraz u George'a spokojnym majordomusem.

Podziękowaliśmy Sir Johnowi za uprzejme słowa, pytając o zdrowie jego żony i córek. Oświadczył, że czują się znakomicie i oczekują nas po wizycie w Admiralicji.

Przez całą drogę do Admiralicji otaczał nas wrzeszczący tłum, tak że lokajom Sir Johna i naszej liverpoolskiej eskorcie z trudem tylko udało się zrobić dla nas drogę. Po przybyciu poproszono nas do poczekalni i oznajmiono, że lord Temple przyjmie za chwilę. Zaledwie zdążyliśmy się rozsiaść, wszedł urzędnik mówiąc, że jego lordowska mość nas oczekuje, po czym wprowadził nas do innej komnaty, gdzie znaleźliśmy się w obliczu lorda Tempie i kilku innych dygnitarzy.

Sir John Dormer, którego lord znał dobrze, przedstawił mu nas obu z Merrickiem, po czym wręczyłem depesze admirała Thompsona i okazałem zapisy dokonane w moim dzienniku okrętowym.

– Na Boga, panie – powiedział lord Tempie – zaiste spisałeś się dzielnie

i nie wiem, jak mamy ci podziękować. Pomówię o tobie z jego dostojnością panem Pittem. Zwycięstwo admirała Thompsona miało jak największe znaczenie, pozwoliło ono bowiem Sir Harry'emu Smithowi wykonać z powodzeniem zamierzone plany. A także i dzięki depešom, któreś pan przejął i doręczył admirałowi Forsythowi, mogliśmy odwrócić role wobec Francuzów. Zamiast pozwolić im niszczyć nasz handel na zachodnich wybrzeżach Afryki, powstrzymaliśmy wyruszającą na te wody eskadrę francuską i sami teraz przygotowujemy wyprawę przeciw Gore. Pan, George, powinienes wziąć w niej udział!

Inni dostojnicy, którzy – jak się okazało – byli bądź admirałami, bądź członkami rządu, ściskali mi dłonie, gratulując dzielnych osiągnięć, jak raczyli nazwać moje wyczyny. Na dyskretny znak, dany przez Sir Johna, opuściliśmy komnatę, zaś lord Tempie oświadczył przy pożegnaniu, że niedługo o nim usłyszę.

Wyszedszy z Admiralicji udaliśmy się wszyscy do domu Sir Johna, gdzie musieliśmy znów opowiadać nasze przygody lady Dormer i jej córkom. George poszedł tymczasem po swą małżonkę, która – jak mówił – pragnęła podziękować gorąco Merrickowi i mnie za pomoc w skojarzeniu jej małżeństwa. Gdy pani Dormer weszła, byłem zachwycony wdziękiem i delikatnością, z jaką pocieszała mnie w mych tarapatach z Muriel.

Tuż przed obiadem drzwi otwarły się i lokaj zaanonsował przybycie Sir Ralfa Trevora. Drgnąłem, usłyszawszy to nazwisko, a po chwili ujrzałem wchodzącego onegdajszego kapitana Starlighta, przybranego nader szykownie. Popatrzyłem w zdumieniu na Toma i George'a, ten zaś rzekł:

– Niech mi wolno będzie przedstawić panów Sir Ralfowi Trevorowi, baronetowi z Trevor Royal w hrabstwie Northumberland.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytałem.

– To długa historia – odrzekł Sir Ralf. – Dzięki uprzejmych staraniom Sir Johna przywrócono mi tytuł i majątności, o czym opowiem później. Natomiast wam składam moje prawdziwie serdeczne gratulacje. Po ulicach krążą już ulotki podające pełny, prawdziwy opis podróży Black Prince'a, nie wyłączając desperackiej bitwy z krwiożerczymi piratami, zniszczenia francuskiej floty i życiorysu Roberta Hawkinsa. Dziś jesteś pan zaiste najślawniejszym człowiekiem w Londynie.

Pyszałkowatość kapitana Starlighta, jak i szorstkie maniery marynarza, znikły zupełnie. Sir Ralf Trevor zachowywał się teraz jak szlachcic wysokiego rodu, którym był istotnie. Zauważyłem także, zarówno podczas obiadu, jak i później, że młodsza panna Dormer spoglądała na pięknego baroneta okiem bynajmniej nie obojętnym, zaś Sir John z małżonką

przyjmował zyczliwie jego zaloty. Gdy po obiedzie damy pozostawiły nas samych, Sir Ralf opowiedział pokrótce swe dzieje po rozstaniu się z nami w Sierra Leone. Odbył zdumiewająco szybki rejs powrotny do kraju, by spotkać się z Sir Johnem. Ten zakomunikował rządowi, iż Ralf podejmuje się dostarczać dlań wiadomości z Francji. Przyjęto jego usługi, owe zaś okazały się niezwykle użyteczne. Gdy go spytano, jakiej oczekuje nagrody, poprosił, aby pozwolono mu przybrać tytuł dziadka świętego w 1715 roku za udział w ówczesnym spisku jakobitów. Ponieważ ojciec jego zmarł na wygnaniu, przyznano mu tytuł natychmiast, a gdy już to uzyskał, udało mu się z pomocą Sir Johna odzyskać majątności rodzinne. Teraz, jak mówił, zajmuje właściwą dla siebie pozycję. – Co prawda – powiedział – gdybyście nie chwycili mnie onegdaj w garść, nie wiem, czym bym w końcu został.

Ucieszyłem się powodzeniem Trevora i byłbym dalej go rozpytywał, gdyby rozmowy nie przerwało wejście komandora Penmore'a. Miałem z nim do omówienia znacznie bardziej interesujące mnie sprawy.

Komandor Penmore powiedział mi, że widział się ze swym stryjem i usiłował, choć bezskutecznie, poprzeć moją sprawę. Nie mając nadziei, aby udało się zmienić jego stanowisko, radził mi uprowadzić Muriel po przybyciu Sir Ruperta do Londynu i uprzedziwszy przedtem pastora wziąć z nią ślub na poczekaniu. Zwierzył się z tym Muriel w kilku słowach, które udało mu się zamienić z nią na osobności, a dzielna dziewczyna wyraziła zgodę. – Jestem przy tym pewien – powiedział – że wszyscy przyjaciele będą ci pomocni. – George Dormer, Trevor i Tom Merrick oznajmili jednogłośnie, że pomogą mi, ile tylko będą mogli. Przypuściliśmy do konfidencji Sir Johna, który oświadczył, że po ślubie mogę sprowadzić mą małżonkę do jego domu, a wówczas może zapewnić, iż Sir Rupert nie będzie nas molestował. – W każdym razie skoro się już raz ożenisz, nie będzie mógł cofnąć małżeństwa i będzie musiał uznać cię za zięcia.

Czułem się bardzo rozstrojony, oczekując przybycia Muriel do Londynu, jako że do tego czasu nie można było powziąć żadnego planu działania. Tymczasem lord Tempie nie zapomniał danej obietnicy i wspomniał o mnie swemu szwagrowi, ministrowi Pittowi. Ten zaszczycił mnie wyznaczeniem audiencji i przyjąwszy mnie nader uprzejmie, oświadczył, że wymienił moje nazwisko jego królewskiej mości. Król raczył z zadowoleniem wyrazić życzenie usłyszenia z mych własnych ust opowiadania o podróży Black Prince'a.

Prezydent ministrów przedstawił mnie królowi w pałacu St. James, po

zakończeniu sesji rady ministrów. Gdy ukląknęłam i ucałowałam rękę królewską, monarcha – mówiący wyraźnie cudzoziemskim akcentem – kazał mi powstać i opowiedzieć na swój sposób historią naszych przygód. Opowiedziałem, zwięźle jak tylko mogłem, o najważniejszych wydarzeniach naszej podróży, w czym król wciąż mi przerywał wykrzykując: „To nadzwyczajne!” Gdy skończyłem, podał mi rękę do ucałowania, obiecując, że będzie o mnie pamiętał. Po opuszczeniu sali pan Pitt oświadczył, że przedstawił mnie do godności szlacheckiej z prawem używania tytułu „Sir”, na co jednak król odrzekł, iż nie przypomina sobie precedensu uszlachcenia kapitana statku korsarskiego. Mimo wywodów, że zarówno Drake i Raleigh, jak i większość wybitnych marynarzy epoki elżbietańskiej, byliby uznani obecnie za korsarzy, jego królewska mość odparł, iż czasy się zmieniły. Pitt spodziewał się jednak i ufał, że uda się przekonać króla, aby rozważył ponownie swe postanowienie.

W trzy dni po mojej audiencji u króla przybył do domu George’a Dormera, gdzie zamieszkiwaliśmy z Tomem Merrickiem, komandor Penmore z oznajmieniem, że stryj jego przyjechał wraz z rodziną poprzedniego dnia do Londynu i zatrzymał się przy St. James Square w swym domu, który odziedziczył wraz z tytułem i majątkami. Zamierzał on wprowadzić Muriel w szeroki świat towarzyski, mając nadzieję, iż doprowadzi dzięki temu do małżeństwa, odpowiedniego jej urodzeniu i fortunie.

– A teraz, senor Hawkins – powiedziała pani Dormer – będziesz pan musiał wykraść żonę, tak jak to zrobił George. Spotkasz ją na pewno na balach i uroczystościach, po których ją będą prowadzić, a wtedy pewnej nocy uczynisz to, czego dotychczas nie zrobiłeś – umkniesz, uprowadzając z sobą cenny przyz.

– Możesz pani być pewna, że uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, a mając przed oczyma przykład jej męża, będę działał śmieiej, ufając w powodzenie.

Muriel zwróciła niebawem powszechną uwagę swą pięknnością i stała się królową zebrzań towarzyskich. Jednak mimo że często spotykałam ją na herbatkach i przyjęciach u dworu, ojciec pilnował jej tak ściśle i zazdrośnie, że nigdy nie udało mi się zamienić z nią nawet słowa. Oczy jej natomiast zwierzały mi bardziej wymownie od słów, że w uczuciach względem mnie pozostała nie zmieniona. Upatrywałam sposobności, aby ją porwać i wielokroć już przyjaciele moi wyczekiwali w pogotowiu wraz z ludźmi, by uprowadzić jej lektykę. Ale ojciec Muriel, podejrzewając widocznie, iż mogłem być poważny się na taki czyn, otaczał ją zawsze

znaczoną liczbą lokai i ludzi z pochodniami, że wykonanie naszych planów wywołać by musiało zaburzenia i zamieszki, tym bardziej iż ojciec zwykł był zawsze dzielić z córką lektykę i trzeba by go było uprowadzać wraz z nią. Sprawy ciągnęły się tak niefortunnie przez pewien czas i począłem już prawie wątpić o możliwości zdobycia przedmiotu mych pragnień, gdy pewnego dnia otrzymałem wiadomość od pana Pitta, który polecił mi przybyć do niego natychmiast.

Gdy zjawiłem się w jego domu, zachodząc w głowę co by za ważna była przyczyna, dla której pragnął mnie widzieć, oznajmił, że jest obecnie wolne stanowisko gubernatora Południowej Karoliny i jeślibym się zgodził je przyjąć, przedstawi moją kandydaturę jego królewskiej mości.. Dodał przy tym, iż zdarzały się uprzednio przypadki nadawania godności szlacheckiej gubernatorom posiadłości kolonialnych, wobec czego król nie będzie już mógł dłużej odmawiać mi tego zaszczytu, na który – jak raczył wyrazić się pan Pitt – w pełni sobie zasłużyłem.

Byłem tak zaskoczony, że zaledwie zdołałam wyjąkać jakieś stosowne podziękowanie, mówiąc jednocześnie, iż nie wyobrażam sobie, jak mógłbym przyjąć ofiarowywane mi stanowisko.

Minister Pitt zdziwił się i rozgniewał, nalegając, bym wyjawiał przyczynę mych wątpliwości. Opowiedziałem mu w końcu o moim afekcie do Muriel i o tym, że jej ojciec uparcie odmawia uznania mych zabiegów.

Na to pan Pitt rzekł: – Przyjm pan tę godność i choć nie wiadomo jak bardzo Sir Rupert byłby dumny ze swego rodu, z pewnością nie odmówi ręki córki gubernatorowi kolonii, w której niedawno sam był tylko kupcem i plantatorem. Nie wątpię przy tym, że nazwisko Sir Roberta Hawkinsa nie jest w niczym gorsze od nazwiska Sir Ruperta Penmore'a.

Odrzekłem, iż z przodków mych mogę być istotnie dumny.

– Z przodków, powiadasz pan? I Sir Rupert może mówić o rodzie! Dalejże, przyjmuj stanowisko, a Sir Rupert musi zezwolić ci na małżeństwo ze swą córką. A jeśli nie zezwoli pomogę ci, byś poślubił ją wbrew jego woli.

Oświadczyłem wobec tego gotowość przyjęcia stanowiska zaofiarowanego mi tak wielkodusznie, po czym pośpieszyłem, by podzielić się z Dormerem i Merrickiem szczęśliwą wieścią. Podczas naszej rozmowy wszedł komandor Penmore i usłyszawszy o co chodzi ofiarował się natychmiast wystąpić w moim imieniu do swego stryja z prośbą o rękę córki. – Musiałby być chyba szalony, by teraz jeszcze trwać w swym uporze.

Gdy komandor Penmore wyszedł, Merrick oświadczył: – A teraz kolej na małżeństwo moje i Trevora.

– Małżeństwo? O czym że to myślisz?

– No cóż, zacny młodzieńcze, tak bardzo zajmowałeś się swymi sprawami, że ślepy byłeś na sprawy innych. Dwie córki Sir Johna przyrzekły rękę Sir Ralfowi i mnie, postawiły wszakże warunek, że nie poślubią nas prędzej, zanim nie połączysz się z panną Penmore. Dlatego już dawno powinniśmy byli pomóc ci w jej porwaniu...

Oczekiwałem z największym niepokojem powrotu komandora Penmore'a, oddając się marzeniom i rozmyślaniom na temat, co uczynię po ślubie. Z rojeń tych wyrwał mnie brutalnie powrót komandora, na którego twarzy malował się gniew i niezadowolenie.

– Ten mój stryj – wybuchnął wszedłszy do izby – to najbardziej zatracona, przewrotna, stara kutwa, jaka kiedykolwiek chodziła po tym świecie! Powiada, że król może robić szlachciców i gubernatorów, ale nie może dostarczyć człowiekowi rodowodu, po czym zaczął bredzić o swych przodkach, o królu Arturze i innych podobnych niedorzecznościach. W końcu naprawdę uwierzyłem, że próżność zawróciła mi zupełnie głowę. Ale nigdy nie trać odwagi, mój drogi. Gdy wszedłem do stryja, Muriel znajdowała się w komnacie i choć kazał jej natychmiast wyjść, zdążyła ci przekazać, że choćby miała czekać i sto lat, nie poślubi nikogo innego prócz ciebie. Jak możesz sobie imaginować, nie poprawiło to humoru Sir Ruperta. Postanowiłem wszakże, że zostaniesz moim kuzynem, nawet gdybyś miał uprowadzić stryja razem z córką.

Miałem już zamiar powrócić do ministra Pitta, aby mu powiedzieć, że nie będę mógł teraz opuścić Anglii, jednak przyjaciele odwieśli mnie od tak pochopnego kroku. Udaliśmy się przeto wszyscy trzej do Sir Johna, by oznajmić mu nowiny.

Sir John uradował się wielce moją nominacją. – Patrzcie no! – rzekł. – Zdaje się, że stary pan jest sprytniejszy niż wy trzej, drodzy chłopcy. Wydam bankiet na cześć nowego gubernatora, zaproszę pana Pitta, wszystkich kupców związanych interesami z tą kolonią oraz Sir Ruperta Penmore'a. Nie będzie mógł odmówić, aby nie mieszać swych waśni rodzinnych ze sprawami publicznymi.

– Nie widzę w czym miałyby mi to pomóc, sir – odparłem.

– Powoli, chłopcze. Jeśli Sir Rupert przyjdzie na bankiet, będzie musiał pozostawić córkę w domu. Poproszę moją żonę, by zaprosiła Muriel wraz z matką na herbatę po bankiecie. Matka zapewne nie odmówi, skoro – jak powiadasz – sprzyja twemu małżeństwu. Będę miał pastora w pogotowiu

i weźmiesz ślub natychmiast po bankiecie. Potem zaś będę miał zaszczyt przedstawić Sir Rupertowi Sir Roberta i lady Hawkins.

– Jeśli to się da zrobić, sir, to z mej strony nie widzę przeszkód.

– No, chyba nie widzisz!

Zacny dostojnik zalecił pozostawić wszystko w jego ręku i nikomu o tym nie wspominać, prócz ministra Pitta, gdyby o to pytał.

Wkrótce potem prezydent ministrów zawiadomił mnie, iż nazajutrz król przyjmie mnie na audiencję, bym mógł ucałować jego rękę z okazji nominacji na gubernatora i zostać obdarzony tytułem szlacheckim.

Stosownie do tego udałem się nazajutrz rano do rezydencji prezydenta ministrów i pierwsze słowa, z jakimi do mnie się zwrócił, dotyczyły mego małżeństwa. Gdy opowiedziałem mu o planach Sir Johna, rzekł: – Jednym ze świadków na ślubie będę ja.

Audiencja u króla trwała bardzo krótko i nie wiem, czy był kiedykolwiek człowiek szczęśliwszy ode mnie, gdy po ceremonii pasowania król wypowiedział słowa: – Powstań. Sir Robercie Hawkins.

Sir Rupert odmówił z początku wzięcia udziału w bankiecie wydanym przez Sir Johna Dormera, lecz pan Pitt dał mu do zrozumienia, iż jego nieobecność mogłaby spowodować niełaskę króla. Musiał więc się zjawić, jakkolwiek na bankiecie twarz jego daleka była od wesołości widniejącej na obliczach otaczających go osób.

Po bankiecie minister Pitt wyróżnił Sir Ruperta oznajmieniem, że pragnąłby porozmawiać z nim na temat Południowej Karoliny. Poprosił go, by w tym celu towarzyszył mu do domu Sir Johna Dormera, czemu Sir Rupert nie mógł odmówić. Ja udałem się tam przed nimi, a przybywszy zastałem oczekującą mnie Muriel w towarzystwie swej matki, lady Dormer i pastora.

Wszystko było gotowe do ślubu, prosiłem więc duchownego, by przystępował bez zwłoki do ceremonii. Ten odrzekł jednak, że ma polecenie ministra Pitta, aby nie rozpoczynać przed jego przybyciem. Nie czekaliśmy na to zbyt długo, po czym pan Pitt spełnił rolę ojca, oddając w me ręce spłonioną narzeczoną. Gdy małżeństwo zostało zawarte, przeszliśmy wszyscy do salonu, w którym zebrane było liczne towarzystwo. Minister Pitt, przywiódłszy nas przed Sir Ruperta, przedstawił mu nas jako Sir Roberta i lady Hawkins.

Twarz Sir Ruperta pobladła z wściekłości, nie wyrzekł jednak słowa i wyszedł z komnaty. Lady Penmore wyszła za nim, by go uspokoić, a goście, rozumiejąc co zaszło, po złożeniu życzeń odeszli rychło, pozostawiając nas z żoną samych.

Muriel otrzymała nazajutrz gwałtowny list od ojca. Jednak równocześnie przysłał list minister Pitt, pisząc, że postara się skłonić króla do interwencji. Jakoż po kilku dniach Sir Rupert, skłaniając się do królewskiego rozkazu, przyjął nas oboje z żoną. Muszę przyznać, iż mimo tak gwałtownej i upartej opozycji wobec naszego małżeństwa, od tego czasu nigdy, ni jednym słowem, nie dał do zrozumienia, że uważał mnie kiedykolwiek za nieodpowiedniego zięcia.

Komandor Penmore otrzymał rozkaz przewiezienia mnie do siedziby mego urzędowania na pokładzie fregaty Calliope, na którą – ku wielkiej mej radości – zamustrowała cała bez wyjątku załoga Black Prince'a, dzięki mojej rekomendacji. Przed wyruszeniem na morze byłem obecny na weselu Toma Merricka i Sir Ralfa Trevora. W dniu swego ślubu Tom, w imieniu ojca, oznajmił zacnemu Trenalowi, iż został mianowany kapitanem Black Prince'a.

Dzięki stosunkom Muriel zgotowano mi w Południowej Karolinie serdeczne przyjęcie. Gdy po siedmiu latach powróciliśmy do Anglii, zastaliśmy wszystkich naszych przyjaciół w dobrym zdrowiu i pomyślności. Jestem szczęśliwy, że dobry los sprzyja nam wszystkim do dzisiejszego dnia.